Komandosi Hitlera
Tajna operacja: zabić marszałka Titę

Hrabianka w Abwehrze
Szpiegowska misja polskiej arystokratki

Zamach na Kennedy'ego
Sensacyjna rozmowa z ochroniarzem prezydenta

NR 7(113)/2022 LIPIEC 2022

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO RZECZY
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296 031

Od Stalina do Putina

ZABÓJCY Z ŁUBIANKI

eprasa.pl e73e707b89

WYDAWNICTWO INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ IPN

Do poczytania w wakacje

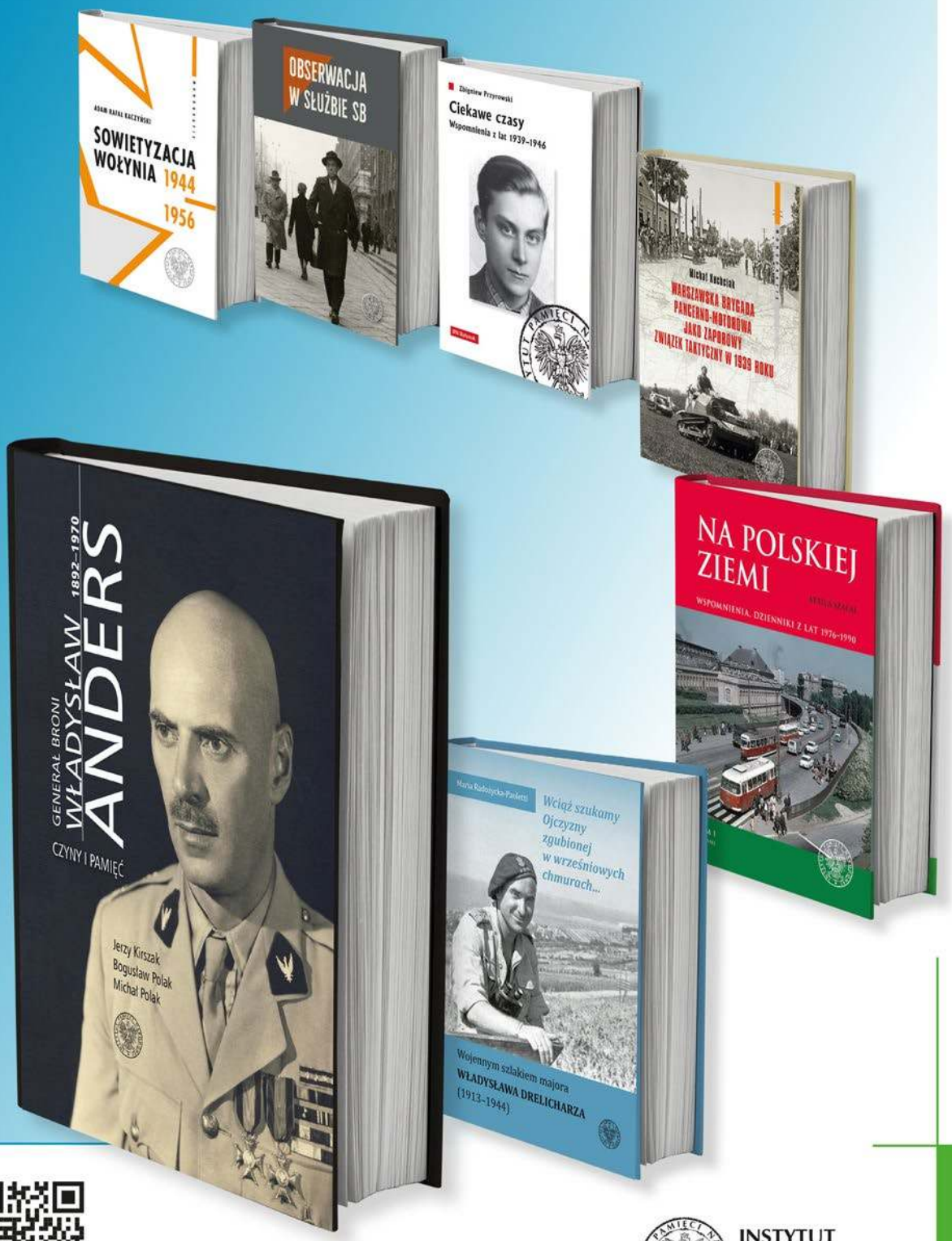

Pełna oferta na **ipn.poczytaj.pl**

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

eprasa.pl e73e707b89

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".
REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy:
Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Okładka: **Getty Images/Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon-pt w godz. 10.00-16.00
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296 031
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, czerwiec 1931 r.

Miejsce egzekucji mjr. Piotra Demkowskiego, skazanego na karę śmierci za szpiegostwo na rzecz Rosji bolszewickiej

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Zychowicz

Od Stalina do Putina

1 listopada 2006 r. Aleksander Litwinienko źle się poczuł. Były oficer FSB – który uciekł na Zachód – tego dnia spotkał się w londyńskiej restauracji z przybyszami z Rosji. Jeden z nich dodał mu coś do herbaty…

Litwinienko z objawami ciężkiego zatrucia trafił do brytyjskiego szpitala. Lekarze na początku nie potrafili ustalić przyczyny choroby. Stan Litwinienki tymczasem pogarszał się z godziny na godzinę. Rosjanin konał na oczach świata.

Po kolejnych badaniach w organizmie Litwinienki wykryto polon, silnie toksyczny i radioaktywny izotop. Rosjanin nie miał najmniejszych szans. Trzy tygodnie po otruciu zmarł.

Zdjęcie Litwinienki leżącego na szpitalnym łóżku trafiło na pierwsze strony gazet. I stało się symbolem zbrodniczych działań Kremla. Oślizgłych macek FSB, które sięgają wszędzie. Wszystkie tropy – jak w wielu podobnych przypadkach – prowadziły bowiem do Moskwy…

Ten, kto zna historię Związku Sowieckiego – za którego kontynuatora uważa się obecny reżim Federacji Rosyjskiej – nie mógł być zaskoczony. W czasach ZSRS w pobliżu Łubianki działało bowiem słynne i złowieszcze Laboratorium X. Pracujący w nim naukowcy wytwarzali trucizny na potrzeby tajnej policji.

Wyposażeni w nie agenci Czeka (a potem GPU, NKWD i KGB) tropili na całym świecie ludzi niewygodnych dla „ojczyzny światowego proletariatu". Karą za zdradę była śmierć.

Przykład z Sowietów brali ich wasale z Układu Warszawskiego. Wystarczy wspomnieć o słynnym zabójstwie bułgarskiego dysydenta Georgija Markowa. 11 września 1978 r. na londyńskiej ulicy został on dźgnięty… zatrutym parasolem.

O wielu podobnych morderstwach piszemy w tym numerze „Historii Do Rzeczy". Od 1917 r. władcy na Kremlu zmieniali się wielokrotnie. Ich metody pozostały jednak takie same. ©℗

eprasa.pl e73e707b89

/ TEMAT NUMERU

.6–11 JURIJ FELSZTINSKI
Tak zabija Putin

.12–15 PIOTR ZYCHOWICZ
Zamachy na Ukraińców

.16–18 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Uciekinierzy z KGB

.20–21 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Od arszeniku do nowiczoka

.22–23 OLEG KAŁUGIN
Cena zdrady Kremla

/ CZASY I LUDZIE

.24–27 PIOTR ZYCHOWICZ
Polska hrabina w Abwehrze

.28–31 MIKOŁAJ IWANOW
Dwa związki Polaków na Białorusi

.32–34 LESZEK LUBICKI
Bitwa pod Cedynią

.35–37 SŁAWOMIR KOPER
Kłopoty z Rygą

.38–40 JAKUB OSTROMĘCKI
Ormianie też mordowali...

.42–45 ARKADIUSZ KARBOWIAK
SS przegrywa z Titą

.46–48 TOMASZ STAŃCZYK
Męczeństwo służy państwu

.49–51 PIOTR SEMKA
Rotmistrz i orzeł

.52–54 MAREK GAŁĘZOWSKI
Mężni z brygady najmniej znanej

.55–57 GERALD BLAINE
Ochraniałem Kennedy'ego

.58–61 MACIEJ ROSALAK
Rotmistrz i orzeł

eprasa.pl e73e707b89

/ CO CZYTAĆ

.62–65 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Nieznajomy poeta Staff

/ FELIETONY

.74 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Rzeczpospolita Narodów

.75 PIOTR SEMKA
W anarchistycznej rodzince

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
W 80-lecie KNAPP

/ KRESY

.70–73 TOMASZ STAŃCZYK
Podróże Józefa Weyssenhoffa

/ BATALIE I WODZOWIE

.76–79 MACIEJ ROSALAK
Islam atakuje pierwszy

.80–81 MICHAŁ MACKIEWICZ
Technika wojskowa

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Skrzydlaty podwójny agent

REKLAMA

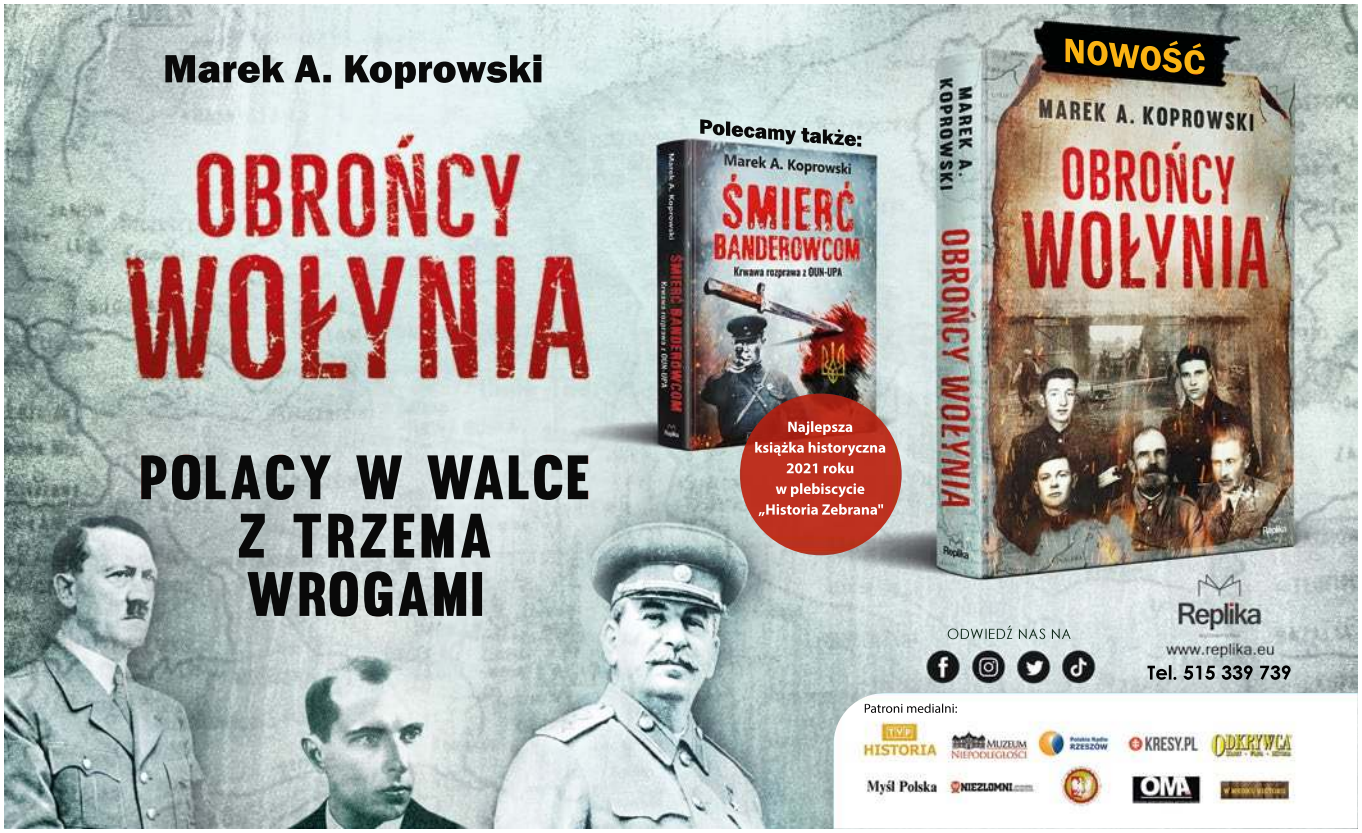

eprasa.pl e73e707b89

Wywiad / Z Jurijem Felsztinskim, rosyjskim historykiem, współautorem książki „Wysadzić Rosję”

Tak zabija

rozmawia Piotr Włoczyk

– Polon nie miał być żadnym sygnałem dla świata. To w zasadzie idealna trucizna, którą bardzo trudno wykryć. Kompletnym przypadkiem dowiedzieliśmy się, że FSB truje w ten sposób ludzi – mówi Jurij Felsztinski

PIOTR WŁOCZYK: Jak wyglądały ostatnie dni Jurija Szczekoczichina?

JURIJ FELSZTINSKI: To były nieopisane męczarnie. Jurij, mój znajomy, poczuł się źle 16 czerwca 2003 r., gdy przebywał w Riazaniu na wyjazdowym posiedzeniu komisji Dumy ds. walki z korupcją. Trzy dni później zaczęła mu schodzić skóra… Wyglądał tak, jakby uległ jakiemuś poważnemu wypadkowi i został poparzony. 21 czerwca trafił w bardzo ciężkim stanie do Centralnego Szpitala Klinicznego w Moskwie.

Co mu dolegało poza odchodzącą skórą?

Zanik błon śluzowych, czyli jego gardło i jama ustna stały się jedną wielką raną. Poza tym miał wysoką gorączkę, jego nerki przestawały działać i miał coraz poważniejsze problemy z oddychaniem.

Jak brzmiała diagnoza lekarzy?

„Rzadka reakcja alergiczna”. Jurij odszedł 3 lipca 2003 r. Biegli ustalili, że bezpośrednią jego przyczyną był zespół Lyella, czyli toksyczna nekroliza naskórka. Ta ostra reakcja alergiczna jest wyjątkowo rzadka. Nie stwierdzono jednak, co dokładnie mogło spowodować pojawienie się u niego zespołu Lyella.

Dlaczego?

Ponieważ nie wykonano specjalistycznych badań, a całą dokumentację medyczną Szczekoczichina objęto „tajemnicą lekarską”. Nawet dla rodziny nie zrobiono wyjątku. Władze dopilnowały, by ta sprawa nie została wyjaśniona.

Dlaczego pański znajomy zginął w tak makabryczny sposób?

Ponieważ Putin i jego dwór nie tolerują ludzi, którzy chcą innej Rosji. Szczekoczichin był progresywnym, demokratycznym politykiem i publicystą. Chciał wolnej Rosji w stylu zachodnim. Gdy po nieudanym przewrocie w sierpniu 1991 r. demokracja zaczęła się w Rosji powoli rodzić, Szczekoczichin dostał się do Dumy z ramienia partii Jabłoko. Równolegle był zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Gaziety”, głównej gazety opozycyjnej w Rosji. W Dumie stał na czele bardzo wpływowego Komitetu Bezpieczeństwa Dumy oraz był członkiem komisji antykorupcyjnej. Jego nazwisko wiele znaczyło w rosyjskim parlamencie. Wiedziałem, że jest to człowiek, któremu zależy na zmianie Rosji i do którego mogę zwrócić się z prośbą o pomoc.

Pomoc w nagłośnieniu rezultatów śledztwa, które prowadził pan wspólnie z Aleksandrem Litwinienką?

Tak. Gdy zakończyliśmy prace nad książką „Wysadzić Rosję”, zadzwoniłem do Jurija i zapytałem go, kiedy zamierza wybrać się za granicę. W ciągu kilku tygodni miał być w Zagrzebiu. Umówiliśmy się, że spotkamy się tam. To był lipiec 2001 r.

Wicenaczelny „Nowej Gaziety” zapytał mnie, czego tak właściwie od niego chcę. Powiedziałem, że napisałem książkę o kulisach niedawnych zamachów na bloki mieszkalne w Rosji i zależy mi na tym, żeby ukazała się ona w jego gazecie w formie dodatku specjalnego. W „Wysadzić Rosję” doszliśmy z Litwinienką do wniosku, że Putin wraz z FSB stał za zamachami bombowi na bloki mieszkalne

eprasa.pl e73e707b89

Putin

Władimir Putin testuje karabin snajperski Czukawin SVch FOT. ALEXEI NIKOLSKY/SPUTNIK/AP/EAST NEWS

w Rosji, do których doszło we wrześniu 1999 r. Zginęło wtedy 300 osób. Te wydarzenia wykreowały atmosferę terroru, która doprowadziła do wybuchu drugiej wojny czeczeńskiej, i w konsekwencji wzmocniły pozycję Putina.

Szczekoczichin powiedział, że może wydrukować fragment albo omówienie, ale na pewno nie opublikuje całej książki, bo przecież prowadzi gazetę, a nie wydawnictwo książkowe! Dałem mu więc książkę i poprosiłem, żeby ją przeczytał i wtedy wrócimy do tematu. Spotkaliśmy się następnego dnia rano.

Książka musiała zrobić na nim duże wrażenie, bo ostatecznie „Nowaja Gazieta" opublikowała duże fragmenty książki.

To był dramatyczny moment. Rano mocno poruszony Szczekoczichin powiedział, że poprzedniego wieczora źle ocenił sytuację i teraz już rozumie, że trzeba nagłośnić nasze ustalenia. Obiecał mi specjalne wydanie oraz zapewnił mnie, że zrobi wszystko, by kierowany przez niego komitet Dumy wszczął w tej sprawie śledztwo. Niestety, Duma nie otworzyła takiego śledztwa. A potem kolejni ludzie, którzy byli zaangażowani w wyjaśnianie tych ataków terrorystycznych, ginęli w makabrycznych okolicznościach. Tak stało się m.in. z samym Aleksandrem Litwinienką. Ale pierwszy był Jurij Szczekoczichin. Zginął zatruty albo nowiczokiem, albo polonem.

JURIJ FELSZTINSKI, ALEKSANDER LITWINIENKO „WYSADZIĆ ROSJĘ"
REBIS

„Nowaja Gazieta" nie przeprowadziła własnego śledztwa w sprawie zamachów na rosyjskie bloki mieszkalne?

Prowadziła takie śledztwo, ale jej dziennikarze popełnili pewne błędy. Po pierwsze, nie patrzyli na pierwszą i drugą wojnę w Czeczenii jako na całość. Tymczasem pierwszy konflikt również zaczął się od aktów terrorystycznych. Były to jednak małe ataki, w których zginęło kilka osób. Milicja aresztowała wszystkich odpowiedzialnych za te zamachy. Wtedy jeszcze zdarzało się, że milicjanci wykonywali swoje zadania dobrze. I co się okazało? Że wszyscy

eprasa.pl e73e707b89

zatrzymani byli powiązani ze służbami specjalnymi… Nikt z nich nie został skazany za akty terrorystyczne, FSB już o to zadbała. Dostali oni jedynie symboliczne wyroki za inne, zupełnie poboczne przestępstwa. To był precedens w interesującym nas kontekście.

Gazeta nie wyciągnęła też odpowiednich wniosków z próby zamachu w Riazaniu, do którego doszło 23 września 1999 r. Sprawcy mieli o tyle utrudnione zadanie, że był to już kolejny atak w krótkim czasie i rosyjskie społeczeństwo było w pełnej gotowości. Patrole mieszkańców dbały o to, by nikt podejrzany nie kręcił się przy ich blokach.

Jeden z mieszkańców bloku zobaczył, jak jacyś ludzie wyciągają z samochodu białe worki z napisem „Cukier" i przenoszą je do piwnicy.

Ten człowiek zadzwonił po milicję. Funkcjonariusze zastali na miejscu worki z materiałami wybuchowymi i podłączonymi do nich detonatorami. Na miejsce została ściągnięta lokalna FSB. To bardzo ważne, żeby to rozróżnić – to była lokalna FSB! Eksperci potwierdzili, że był to heksogen. Szybko ogłoszono, że udało się zapobiec wielkiemu atakowi terrorystycznemu. Milicja zamknęła miasto i poszukiwała terrorystów. Podejrzanymi było dwóch mężczyzn i kobieta.

Szybko namierzono bardzo podejrzany telefon. Ktoś mówił, że jest zamknięty w Riazaniu i nie może się wydostać z miasta. Okazało się, że podsłuchana rozmowa toczyła się z… Łubianką. Oczywiście centrala zadbała o swoich ludzi, żeby nie stała się im krzywda.

Szef MSW Władimir Ruszajło zdążył już ogłosić, że w Riazaniu zapobieżono wielkiemu atakowi terrorystycznemu. Dosłownie kilka minut później Nikołaj Patruszew kierujący FSB powiedział jednak, że to nie był atak terrorystyczny, a jedynie ćwiczenia centrali, która sprawdzała, jak działają służby w Riazaniu.

Nikt nie powiązał ataków z Moskwy z tym, co się stało w Riazaniu… Razem z Aleksandrem Litwinienką udowodniliśmy w naszej książce, że to, co się miało stać w Riazaniu, stało się wcześniej w Moskwie. Wyjaśniliśmy też, że służby w podobny sposób rozpoczęły pierwszą wojnę w Czeczenii.

Można odnieść wrażenie, że ludzie, którzy dotykali kwestii zamachów we wrześniu 1999 r., podpisywali własny wyrok śmierci…

Aleksander Litwinienko trzy dni przed śmiercią FOT. NATASJA WEITSZ/GETTY IMAGES

To nie tylko wrażenie, to rzeczywistość Rosji. Poza Szczekoczichinem zamordowanych zostało dwóch innych członków Dumy, którzy dążyli do wyjaśnienia okoliczności zamachów z 1999 r.: Siergiej Juszenkow i Władimir Gołowiow. Obaj oni opierali się w swojej pracy na ustaleniach z naszej książki. Oczywiście zamordowany został też sam Aleksander Litwinienko, ale nie odważyłbym się powiedzieć, że głównym powodem było właśnie napisanie „Wysadzić Rosję". Litwinienko zdążył zgromadzić całą długą listę „grzechów śmiertelnych" wobec Kremla. Zamordowana została też świetna dziennikarka Anna Politkowska, z którą współpracowałem. Politkowska zginęła w 2006 r., akurat gdy zaczynaliśmy pisać książkę na temat ataku na moskiewski teatr na Dubrowce. Opowiadała mi, jak otrucie Szczekoczichina przeraziło bliskich mu ludzi. Na tym właśnie zależało Kremlowi.

Politkowska też była przerażona?

Ta dziennikarka była już przyzwyczajona do terroru. Zdarzało się, że bezpieczniacy oblewali ją benzyną i bawili się na jej oczach zapałkami. Moskwie bardzo nie podobały się jej relacje z wojny w Czeczenii. Aż w 2006 r. postanowili ją uciszyć na zawsze strzałami z pistoletu.

Nie wszyscy pamiętają, że Politkowska też została otruta. Doszło do tego we wrześniu 2004 r. na pokładzie samolotu lecącego do Osetii Północnej, gdy wypiła dziwnie smakującą herbatę…

Politkowska leciała wówczas do Biesłanu. Czeczeni wzięli tam w szkole dzieci w charakterze zakładników. A trzeba pamiętać, że Politkowska miała dobre kontakty wśród Czeczenów. Była przez nich szanowana i mogła uzyskać od nich pewne ustępstwa. Kreml jednak nie chciał do tego dopuścić i FSB otruła ją. Pytanie, czy przeżyła, bo nie chcieli jej jeszcze wówczas zabić, czy tylko tak wyszło przypadkiem.

Polon był dla wybranych?

Ciężko powiedzieć. Weźmy historię Romana Cepowa, który był bliskim współpracownikiem Putina, szefem jego ochrony, gdy przyszły prezydent pracował jeszcze w Petersburgu. Cepow zajmował się praniem pieniędzy, więc dużo wiedział na temat afer Putina. W końcu ktoś z najbliższego kręgu Putina stwierdził, że trzeba go usunąć, bo zaczyna gadać i powołuje się coraz częściej na swoje kontakty na Kremlu. W 2004 r. ten 42-latek nagle zmarł. Okazało się potem, że został on otruty polonem. Akurat w tym przypadku lekarze przeprowadzili gruntowne badania i z jakichś względów władze nie ukryły wyników. Kiedy czytamy te akta, przed oczami staje nam historia choroby Aleksandra Litwinienki.

Czy Moskwa chce wysyłać sygnał za pomocą tej trucizny?

Nie, w zamierzeniu rosyjskich władz polon nie miał być żadnym sygnałem dla świata. To w zasadzie idealna trucizna, którą bardzo trudno wykryć. Kompletnym przypadkiem dowiedzieliśmy się, że FSB truje w ten sposób ludzi – Litwinienko miał zbyt silny organizm.

eprasa.pl e73e707b89

Jak to „zbyt silny"?

Po prostu żył kilka dni dłużej, niż „powinien". Roman Cepow umarł w ciągu dwóch tygodni, tak samo jak Jurij Szczekoczichin. Natomiast Litwinienko został otruty 1 listopada, a umarł 23 listopada. Tego dnia toksykolog, który badał Litwinienkę, zrozumiał, że szukają nie tego typu promieniowania, co powinni. Szukali bowiem śladów promieniowania gamma, a nie alfa. To ostatnie bardzo trudno wykryć. W całej Wielkiej Brytanii było tylko jedno laboratorium, które mogło je znaleźć. Gdyby Litwinienko umarł dzień wcześniej i nie przekazano by do laboratorium ostatniej partii moczu, nigdy nie zrozumielibyśmy, czym go otruli.

Co ciekawe, początkowo Litwinienko wierzył, że wyjdzie z tego. Rozmawiałem z nim ostatni raz 6 listopada. Powiedział mi, że został otruty ciężkim metalem, ale wszystko będzie dobrze, bo zażył nadmanganian potasu. Ta substancja rzeczywiście pomaga w niektórych zatruciach, ale nic nie da w starciu z polonem. Litwinienko zawsze miał przy sobie nadmanganian potasu. Wydawało mu się, że to go uratuje, bo widział przecież, że Putin lubi truć swoich przeciwników.

Morderców Litwinienki spotkały zaszczyty...

Człowiek, który wziął udział w tej operacji – Andriej Ługowoj – został po wszystkim awansowany i został członkiem rosyjskiego parlamentu. Ługowoj jest zresztą znany jako ostry obrońca KGB i FSB. To właśnie on zaproponował w parlamencie, by przemianować FSB na KGB, bo nie ma co się dłużej bawić w grę pozorów.

Ługowoj był też szefem ochrony Jegora Gajdara, byłego premiera Rosji, który w 2006 r. został otruty w Irlandii. Do ataku tego doszło dzień po śmierci Litwinienki... Jakby tego było mało, Ługowoj był też przed laty szefem ochrony Borisa Bieriezowskiego, który zginął w 2013 r. w bardzo tajemniczych okolicznościach.

Podczas tego feralnego spotkania przy stoliku w kawiarni w Londynie siedziały trzy osoby: Aleksander Litwinienko, Andriej Ługowoj oraz Dmitrij Kowtun. Każdy z nich był byłym oficerem FSB. Osobną zagadką jest to, dlaczego tak właściwie się spotkali.

Andriej Ługowoj znał Litwinienkę od pewnego czasu. Ługowoj był szefem ochrony stacji telewizyjnej ORT należącej do Borysa Bieriezowskiego. W ten sposób poznał Litwinienkę, który był blisko związany z Bieriezowskim. Ługowoj latał do Londynu dosyć często i pewnego dnia zaproponował Litwinience jakiś biznes. Kilkakrotnie spotkali się w Londynie. W rzeczywistości Ługowoj brał udział w operacji FSB, której celem było zabicie Litwinienki. Scotland Yard ustalił po wszystkim, że podczas tego spotkania do zielonej herbaty Litwinienki został dodany polon-210.

W oczach FSB był zdrajcą. A zdrada jest w tej służbie karana śmiercią.

Wiktor Juszczenko FOT. MUUMI/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0

Dodajmy, że ta zdrada była bardzo medialna.

Litwinienko zginął, ponieważ nie tylko uciekł z Rosji do Londynu, lecz także dlatego, że po ucieczce pozostał bardzo aktywny. W tamtym okresie mainstreamowe media, np. „The New York Times", nie chciały z nim rozmawiać. Jego opinie na temat nowego rosyjskiego prezydenta i FSB wydawały się niektórym zbyt radykalne. Na początku rządów Putina świat myślał, że ten człowiek jest najbardziej progresywnym rosyjskim przywódcą w historii.

Litwinienko cały czas pisał teksty na temat FSB, które bardzo uderzały w tę służbę. Proszę sobie tylko wyobrazić generała FSB siedzącego wygodnie za swoim biurkiem na Łubiance, do którego codziennie rano spływają kolejne publikacje pióra Litwinienki. Ten człowiek nigdy nie pozwolił sobie zamknąć ust.

Jak wyglądała wasza ostatnia rozmowa?

Po raz ostatni spotkaliśmy się 13 października 2006 r. w Londynie w opactwie westminsterskim na nabożeństwie za duszę zamordowanej na początku tego miesiąca Anny Politkowskiej. Pamiętam doskonale, że Aleksander powiedział mi przy tej okazji: „Zobacz, dzisiaj dostałem brytyjskie obywatelstwo. Teraz nie będą mnie mogli dotknąć". Dwa tygodnie później został otruty...

Wydaje się, że nic nie stanowi wystarczająco dobrej ochrony przed trucicielami Putina. Afera po zabójstwie Litwinienki nie powstrzymała FSB przed przeprowadzeniem kolejnego ataku na terenie Wielkiej Brytanii, gdy otruto Siergieja Skripala i jego córkę. Również polityczna ranga nie jest żadną przeszkodą, o czym świadczy otrucie dioksynami Wiktora Juszczenki...

Tak, dziś powinniśmy już doskonale rozumieć, że dla Kremla nie ma żadnych granic. Ci ludzie są zdolni do wszystkiego.

Co ciekawe, trucie przez Kreml radioaktywnymi substancjami ma

eprasa.pl e73e707b89

Budynek w Wołgodońsku po zamachu bmbowym w 1999 r.

FOT. YOTUB/WIKIMEDIA COMMONS/CC0 1.0

już długą tradycję – Putin niczego nowego tu nie wymyślił.

Nikołaj Chochłow to bardzo interesujący przypadek. To pierwszy raz, kiedy Moskwa użyła radioaktywnej trucizny do pozbycia się swojego wroga.

Chochłow niewątpliwie był zdrajcą.

Z punktu widzenia Kremla – bez wątpienia. Wysłano go do Niemiec, by zabił dwóch liderów antysowieckiej organizacji Związek Rosyjskich Solidarystów, tymczasem Chochłow ostrzegł swoje niedoszłe ofiary, że poluje na nie Kreml. Człowiek KGB zdradził swoją „firmę", pozostał na Zachodzie i jakby tego było mało, zaczął jeszcze opowiadać o bolszewickich sekretach!

> Rosję trzeba pokonać i Rosjanie muszą widzieć, że przegrali. **Musi się stać to samo, co się stało z III Rzeszą i imperialną Japonią**

I znów w roli głównej mamy filiżankę. 15 września 1957 r. Chochłow wypił podczas konferencji prasowej kawę, którą podała mu obsługa. Po kilku dniach na jego ciele zaczęły wykwitać ciemne plamy, z jego oczu sączyła się ropa, a skóra zaczęła krwawić. Jego krew bardzo szybko się rozkładała, a poziom białych krwinek spadł dziesięciokrotnie! Błony śluzowe obumierały, więc nawet połknięcie śliny było piekielnie bolesne. Niemieccy lekarze byli bezsilni, więc opiekę nad otrutym przejęli doktorzy US Army z bazy wojskowej w RFN. Zaczęli go leczyć eksperymentalnymi terapiami. Po kilku tygodniach objawy otrucia zaczęły ustępować. Niewykluczone, że Chochłow przeżył tylko dlatego, że wypił jedynie odrobinę zatrutej kawy. Amerykanie ustalili, że w ciele ofiary znajdował się radioaktywny tal, a wiadomo przecież, że jest on produktem ubocznym rozpadu m.in. polonu-210.

Wielu ekspertów uważa, że Borys Bieriezowski nie popełnił samobójstwa, tylko był on kolejną ofiarą Putina. Pan twierdzi wręcz, że może istnieć związek między początkiem wojny na Ukrainie w 2014 r. a śmiercią Borysa Bieriezowskiego rok wcześniej.

eprasa.pl e73e707b89

Jeżeli jest się Putinem i planuje się dużą operację wojskową w rodzaju inwazji na Ukrainę albo nawet coś większego, to nie można pozwolić sobie na pozostawienie Borysa Bieriezowskiego przy życiu. Ten człowiek był największym i najgłośniejszym krytykiem Putina. Jednak przed wyeliminowaniem Bieriezowskiego trzeba zacząć od kogoś innego: Aleksandra Litwinienki. Zabicie Bieriezowskiego wraz z pozostawieniem przy życiu Litwinienki oznaczałoby dla tego ostatniego stworzenie tematu, który byłby dyskutowany przez niego w światowych mediach do końca jego życia. Jeżeli więc będziemy patrzyli na to pod tym kątem, to wszystko układa się nader wygodnie dla Putina: zabójstwo Litwinienki w 2006 r., dwa lata później umiera Badri Patarkaciszwili [to na niego zapisane były wszystkie pieniądze Borysa Bieriezowskiego i wraz z jego śmiercią ten rosyjski oligarcha stracił większość majątku – przyp. red.], w 2013 r. umiera sam Borys Bieriezowski, a rok później rozpoczyna się inwazja na Ukrainę.

Tak wygląda rosyjska rzeczywistość. Proszę pamiętać, że Trocki został zabity przez Stalina w sierpniu 1940 r., gdy ZSRS szykował się do wojny. Nie idzie się na wojnę dopóty, dopóki główny wróg polityczny pozostaje przy życiu. To chyba zupełnie zrozumiałe podejście.

Otruty został również Aleksiej Nawalny. Nie brakuje ekspertów, którzy widzą w nim jedynie „plan B" Kremla, a nie realnego opozycjonistę. Czy wierzy pan, że otrucie Nawalnego było jedynie grą pozorów?

Nie. Uważam, że Kreml rzeczywiście chciał się go pozbyć. Nawalny nie jest żadnym „planem B" FSB. Nawalny to autentyczny opozycjonista, choć nie za bardzo podoba mi się jego program.

Co jest złego w walce z korupcją?

Nic, ale Nawalny nie mówi równolegle o głębokiej reformie służb specjalnych. A przecież to FSB rządzi dziś Rosją. Ta służba musi zostać rozwiązana, ponieważ w istocie jest to stare KGB. Tam się nic nie zmieniło. Poprzez FSB w Rosji wciąż żyje sowiecki system kontroli obywateli. Bez tego nie da się zreformować Rosji. To nieprawda, że korupcja jest największym problemem Rosji. To służby bezpieczeństwa są największą przeszkodą w zreformowaniu państwa.

Jakim przywódcą byłby Nawalny? Zatrzymałby imperialne ambicje państwa? Jego słowa o Krymie mogą niepokoić.

Wątpię, by Nawalny był tak prymitywny, aby siłą zmieniać granice Rosji, jeżeli niemal bezludną Syberię przejmują powoli Chińczycy. Nie wydaje mi się, żeby Nawalny był groźny dla Zachodu tak jak Putin.

Moim zdaniem problemem Rosji jest to, że w 1991 r. za mało terytoriów od niej odpadło i Rosji wciąż może się wydawać, że jest imperium. I dlatego Moskwa wciąż łakomym okiem patrzy na Ukrainę, Białoruś i państwa bałtyckie.

Jak się skończy wojna na Ukrainie?

Trudno powiedzieć, ale Rosję trzeba pokonać i Rosjanie muszą widzieć, że przegrali. Musi się stać to samo, co się stało z III Rzeszą i imperialną Japonią. Ukraina musi mieć możliwość ostrzeliwania zgrupowań wojsk na terytorium Rosji i Krymu. Do tego potrzeba ogromnych dostaw uzbrojenia. Są dwie możliwości: albo NATO powstrzyma Putina na Ukrainie i rosyjski imperializm zostanie tam pogrzebany, albo Rosja przedstawi niedługo ultimatum w sprawie państw bałtyckich. Wtedy będzie naprawdę niebezpiecznie. Jeżeli Ukraina upadnie, to Putin będzie się domagał wyjścia państw bałtyckich z NATO. Putin wie, że zaraz zaczną działać sankcje, a poza tym Europa odwraca się od jego gazu. Moskwa ma nie więcej jak rok, by spróbować zrealizować swój imperialny plan.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jurij Felsztinski (ur. 1956) jest rosyjskim historykiem, specjalizuje się w działalności sowieckich i rosyjskich służb specjalnych. Od 1978 r. mieszka w USA. Felsztinski jest współautorem głośnej książki pt. „Wysadzić Rosję", którą napisał wraz z Aleksandrem Litwinienką. Jej rozpowszechnianie jest w Rosji zakazane.

REKLAMA

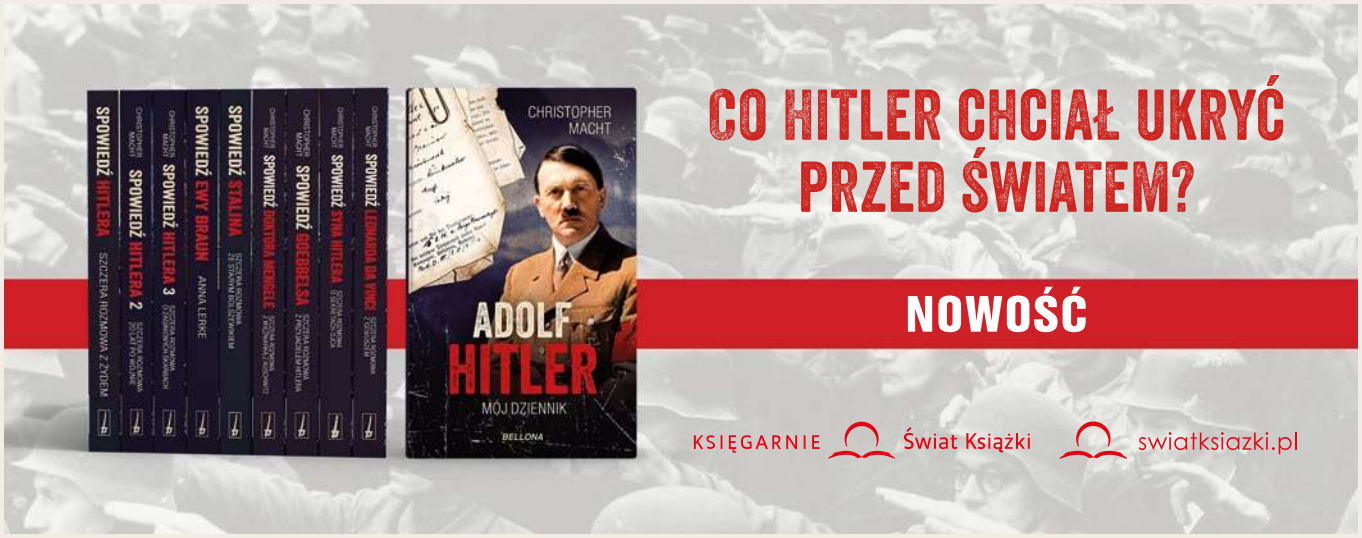

eprasa.pl e73e707b89

Stepan Bandera FOT. WIKIPEDIA

Symon Petlura FOT. WIKIWAND

Tajne służby / Skrytobójcze akcje GPU i KGB

Zamachy na Ukraińców

Piotr Zychowicz

Konowalec, Petlura i Bandera. Trzej najważniejsi ukraińscy przywódcy zginęli z rąk zabójców z Moskwy

Jak dziwnie układają się ludzkie losy! Jeszcze sześć lat temu nosił szumny tytuł naczelnego atamana i przewodniczącego Dyrektoriatu Ukraińskiej Republiki Ludowej. Nosił piękny mundur galowy z orderami i tryzubem wyszytym złotą nicią na ramieniu.

Pod jego władzą znajdowały się olbrzymie terytoria, jego rozkazów słuchały tysiące żołnierzy. Dysponował milionowymi środkami, jego portrety wisiały w urzędach. A nazwisko nie schodziło z pierwszych stron gazet. Był w końcu przywódcą jednego z największych państw Europy – Ukrainy.

Teraz Semen Petlura, biedny emigrant polityczny, w znoszonym garniturze wycierał paryskie bruki. Jego ojczyzna

eprasa.pl e73e707b89

była pod okupacją, a on sam u wielkich tego świata wzbudzał tylko wzruszenie ramion. Emigracyjny rząd, którym kierował we Francji, uznawano za operetkowy. Jego sojuszniczka Polska zdradziła go i przepędziła ze swojego terytorium.

O atamanie zapomnieli wszyscy. Wszyscy oprócz bolszewików…

25 maja 1926 r. Petlura szedł rue Racine w paryskiej Dzielnicy Łacińskiej. Zatrzymał się w miejscu, gdzie ulica dochodzi do bulwaru Saint-Michel, aby obejrzeć witrynę księgarni Giberta. Policja ustaliła później, że była godzina 14.12, gdy do Petlury podszedł smagły mężczyzna z niewielkim czarnym wąsem.

– Czy to monsieur Semen Petlura?

Zapytany na potwierdzenie uniósł laskę.

Nieznajomy wyjął wówczas rewolwer, wymierzył go w Petlurę i nacisnął spust. Pięciokrotnie. Wszystkie kule sięgnęły celu. Petlura, cały we krwi, upadł na chodnik. Zamachowiec dobił leżącego dwoma strzałami. Próbował strzelić jeszcze raz, ale wówczas rozległ się suchy szczęk iglicy. W komorze nabojowej była tylko łuska.

Wokół trupa i stającego nad nim mordercy zaczął się zbierać tłumek przechodniów. Wśród nich znalazł się policjant.

– Skończył pan już? – spytał.

Zamachowiec spojrzał na niego błędnymi oczami i odpowiedział:

– Tak. Może mnie pan aresztować. Zabiłem wielkiego zbrodniarza.

Zemsta zegarmistrza

Zamachowiec, który zgładził Semena Petlurę, nazywał się Szolem Szwarcbard. Był to 40-letni Żyd pochodzący spod Odessy. W wolnych chwilach zajmował się poezją i działalnością anarchistyczną, a na życie zarabiał, naprawiając zegarki. Na posterunku policji zeznał, że do morderstwa popchnęła go zemsta. Czternastu członków jego rodziny zostało bowiem zgładzonych w fali pogromów, które przetoczyły się przez Ukrainę podczas wojny domowej. Szwarcbard uważał, że Petlura ponosi za to odpowiedzialność.

Zamachowiec zapewnił, że działał sam. Gdy się dowiedział, że Petlura przebywa w Paryżu, postanowił go zamordować. Ponieważ nie wiedział, jak wygląda ofiara, udał się do biblioteki, gdzie z encyklopedii Larousse'a wyrwał zdjęcie przedstawiające Petlurę rozmawiającego z Józefem Piłsudskim. A następnie przemierzał paryskie ulice z tą fotografią i rewolwerem w kieszeni. Dopóty, dopóki nie spotkał Petlury.

Policjanci mu nie uwierzyli – aglomeracja paryska liczyła wówczas blisko 6 mln ludzi i prawdopodobieństwo, że Szwarcbard przypadkowo natknął się na Petlurę na ulicy, było bliskie zeru.

Proces zabójcy zamienił się jednak w wielką hucpę. Lewicowe francuskie gazety – na czele z komunistyczną „L'Humanité" – histerycznie domagały się uniewinnienia „dzielnego żydowskiego bojownika". Petlurę przedstawiano zaś jako czarnego reakcjonistę, żydożercę, dzikiego wschodniego Europejczyka, który zasługiwał na śmierć. Podobne stanowisko zajęły środowiska żydowskie, które murem stanęły za Szwarcbardem. Jego skazanie – dowodzili ich przedstawiciele – byłoby aktem antysemityzmu.

Co ciekawe, Henri Torres, obrońca Szwarcbarda, był aktywnym komunistą, który w innych sprawach reprezentował przed francuskimi sądami sowiecki konsulat. Szwarcbard został przez niego wykreowany na bohatera. To, że wersja wydarzeń oskarżonego nie trzymała się kupy, że na sali sądowej mataczył i kłamał, nie miało żadnego znaczenia. Paryski sąd po trwającym zaledwie osiem dni procesie uniewinnił Szwarcbarda. Morderca wyszedł na wolność fetowany przez swoich zwolenników.

W rzeczywistości Szwarcbard był egzekutorem GPU. „Zlecenie" na Petlurę otrzymał od funkcjonariusza tajnych sowieckich służb Michaiła Wołodina, który specjalnie w tym celu przyjechał z Moskwy. To Wołodin zorganizował całą operację: wytropił Petlurę i przekazał broń Szwarcbardowi.

Szwarcbard był zaś rewolucjonistą, który jeszcze za caratu kilkakrotnie siedział w więzieniu. W czasie wojny domowej walczył przeciwko białym w szeregach słynącej z okrucieństw i masowych mordów Czerwonej Gwardii. Potem został wysłany na Zachód, gdzie prowadził działalność wywrotową. Miał kłopoty z prawem, w Austrii dwukrotnie odsiadywał wyrok za włamania.

W Paryżu zapisał się do prosowieckiej Unii Obywateli Ukraińskich. Francuskie służby, które przez cały czas miały go na oku, ustaliły, że regularnie spotykał się z pracownikami bolszewickiego konsulatu. Również służby niemieckie ostrzegły Francuzów, że Szwarcbard jest agentem GPU.

Mimo to Szwarcbard do dziś uznawany jest przez wielu Żydów za herosa. Przysługuje mu tytuł „nokema", czyli żydowskiego mściciela. Napisano o nim kilka hagiograficznych książek i sztukę teatralną. W izraelskich miastach można pospacerować bulwarami jego imienia. Na grobie zbrodniarza – zgodnie z żydowskim obyczajem okazywania szacunku zmarłym – układane są kamyki.

Cel: Tiutiunnyk

Bolszewicy doskonale pamiętali wydarzenia z lat 1919–1920, gdy omal nie stracili Ukrainy. Pamiętali o masowych antykomunistycznych buntach ukraińskiego chłopstwa i wyprawie kijowskiej Józefa Piłsudskiego. Myśl, że wydarzenia te mogłyby się powtórzyć, spędzała władcom Kremla sen z powiek.

Dlatego postanowili dmuchać na zimne i eliminować kolejnych przywódców ukraińskiej emigracji. Symon Petlura nie był bowiem jedynym Ukraińcem zamordowanym przez GPU.

Ofiarą pierwszej operacji tajnych służb – nadano jej kryptonim Dieło 39 – padł gen. Jurko Tiutiunnyk, legendarny dowódca armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, słynny partyzant zaprawiony w walkach z bolszewikami.

GPU zastosowało schemat wypróbowany podczas operacji „Trust". Przy pomocy podstawionych agentów przekonało generała, że na Ukrainie

eprasa.pl e73e707b89

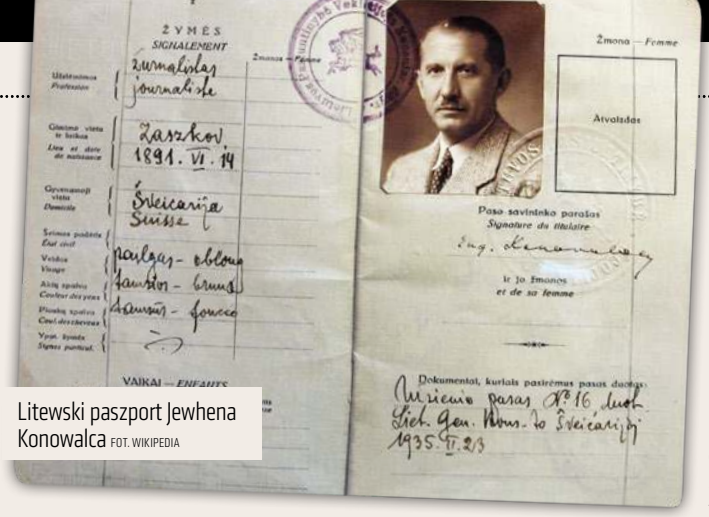

Litewski paszport Jewhena Konowalca FOT. WIKIPEDIA

działa potężna organizacja niepodległościowa – Naczelna Rada Wojskowa.

Organizacja ta miała rzekomo mnóstwo broni i tysiące gotowych na wszystko członków. Potrzebowała tylko charyzmatycznego, doświadczonego lidera. Potrzebowała Tiutiunnyka. Generał początkowo bał się prowokacji i nie chciał jechać do Sowietów. Aby zbadać sytuację, wysłał tam kilku emisariuszy.

Część z nich, m.in. przyjaciela generała Piotra Stachowa, GPU „odwróciło". A przed częścią odegrało komedię, która miała ich przekonać o istnieniu na Ukrainie silnej konspiracji. Zrobiono to bardzo przekonująco, bo Tiutiunnyk połknął haczyk. 26 czerwca 1923 r. stanął u wrót Związku Sowieckiego.

Odbyło się to nad Dniestrem, wzdłuż którego przebiegała granica rumuńsko-sowiecka. O umówionej godzinie po sowieckiej stronie rzeki zaczęło błyskać światełko – znak, że droga wolna. Po chwili łódką przypłynął po generała Stachow.

Tiutiunnyk wówczas się zawahał.

– Piotrze, znam ciebie, a ty mnie – powiedział. – Nie będziemy się oszukiwać. Naczelna Rada Wojskowa jest fikcją, nieprawdaż?

– To niemożliwe – zaczął zapewniać Stachow. – Znam ich. Wiesz przecież, że możesz na mnie polegać…

Tiutiunnyk wsiadł do łodzi. Po drugiej stronie rzeki oczywiście czekali na niego funkcjonariusze GPU z naganami w dłoniach.

Jego późniejsze losy potoczyły się dość niestandardowo. Złamany przez bezpiekę zgodził się zostać agentem GPU. Podpisał kilka – ułożonych przez funkcjonariuszy z Łubianki – listów otwartych do ukraińskich emigrantów. Wzywał w nich do ukorzenia się przed władzą bolszewicką i przejścia na stronę rewolucji.

Jako wytrawny partyzant Tiutiunnyk został zatrudniony przez sowiecki wywiad ofensywny, dla którego zorganizował kilka band dywersyjnych. Grupy te zostały przerzucone na teren Polski, gdzie dokonały wielu aktów sabotażu.

Tiutiunnyk wykładał potem zasady walki partyzanckiej na prestiżowej Akademii Czerwonych Dowódców. Zajmował się też działalnością „kulturalną". Wydał wspomnienia i napisał scenariusze do kilku propagandowych filmów. W jednym z nich zagrał nawet samego siebie. „Dzieło" to miało wiele mówiący tytuł: „Piłsudski kupił Petlurę". W nagrodę GPU przerzuciło do Charkowa z Zachodu jego żonę i dwie córki.

Gdy jednak sowieckie służby uznały, że wycisnęły Tiutiunnyka jak cytrynę i nie jest on im już potrzebny, zdecydowały się go zlikwidować. W 1929 r. został aresztowany i oskarżony o antysowiecką agitację. Rok później zamordowano go na Łubiance strzałem w tył głowy.

Cel: Konowalec

Po śmierci Petlury w 1926 r. obóz petlurowski stracił na znaczeniu. Na pierwszy plan emigracyjnej ukraińskiej sceny politycznej wysunęła się wówczas nowa siła – radykalna Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów. Bolszewicy oczywiście zabrali się i za nią.

Pierwszy na ich celowniku znalazł się szef OUN Jewhen Konowalec. Wśród nacjonalistów ukraińskich cieszył się on wielkim autorytetem. Był zwolennikiem zbrojnej walki o niepodległość, zarówno z bolszewikami, jak i z Polską, nie stronił od metod terrorystycznych.

O operacji wymierzonej w Konowalca wiemy z bezpośredniej relacji jego zabójcy – Pawła Sudopłatowa. To jeden z niewielu przypadków, że funkcjonariusz NKWD zostawił po sobie wspomnienia. I to wspomnienia, w których ze szczegółami opisał swoje przestępcze działania.

Sudopłatow został wysłany na Zachód w połowie lat 30. Do wewnętrznego kręgu Konowalca udało mu się przeniknąć dzięki protekcji Wasilija Łebedia, ważnego działacza ukraińskiego, a w rzeczywistości płatnego agenta bolszewików. Sudopłatow powoli zdobywał zaufanie Konowalca, udając jego bliskiego przyjaciela. Zapewniał go o swoim przywiązaniu i wierności. A w rzeczywistości szpiegował go i o każdym jego kroku donosił moskiewskiej centrali.

Gra trwała kilka lat. Wreszcie w 1938 r. bolszewicy postanowili ją zakończyć. Sudopłatowa wezwano do Moskwy, gdzie został przyjęty przez Józefa Stalina i Nikołaja Jeżowa. Wódz rewolucji, niczym mafijny ojciec chrzestny, otwarcie nakazał Sudopłatowowi zamordować Konowalca.

– To nie jest tylko akt rewanżu – powiedział. – Nasz cel to ścięcie głowy ruchowi ukraińskiego faszyzmu w przededniu wojny. Co Konowalec lubi najbardziej?

– Cukierki czekoladowe – opowiedział Stalinowi Sudopłatow.

– Pomyśl o tym.

Specjaliści z Łubianki przygotowali dla Sudopłatowa pudełko czekoladek z niespodzianką. Tą niespodzianką była bomba, która miała eksplodować pół godziny po zmianie położenia pudełka z pionowego na poziome. Tak wyposażony Sudopłatow wyruszył do Rotterdamu na umówione spotkanie z Konowalcem.

Panowie spotkali się 23 maja 1938 r. w restauracji na parterze ekskluzywnego hotelu Atlanta. Była godz. 11.50.

„Wręczyłem mu prezent w postaci czekoladek i powiedziałem, że muszę wracać na statek – wspominał zabójca. – Pudełko położyłem obok niego na stole w pozycji poziomej. Uścisnęliśmy sobie ręce i wyszedłem, starannie opanowując chęć puszczenia się biegiem. Pamiętam, że po wyjściu z restauracji skręciłem w prawo i szedłem ulicą wśród sklepów. Otworzyłem drzwi do jednego z nich, gdzie kupiłem kapelusz i jasny płaszcz. Kiedy wyszedłem ze sklepu, usłyszałem wybuch, który brzmiał jak rozerwanie opony. Ludzie biegli w kierunku restauracji. Ja udałem się szybko na dworzec kolejowy i wsiadłem do pierwszego pociągu do Paryża".

Bomba eksplodowała, gdy Konowalec wyszedł z Atlanty na ulicę. Czekoladki – zawinięte w brązowy papier – trzymał w lewej ręce. Okazało się jednak, że pirotechnicy z NKWD nieco przeholowali i wpakowali do pudełka zbyt wiele trotylu. W efekcie wybuch był tak potężny, że rozerwał Konowalca na kawałki.

eprasa.pl e73e707b89

Jego lewa noga i brzuch zostały znalezione w innym miejscu niż reszta ciała, a fragmenty jelit musiano zeskrobać z chodnika z przeciwnej strony ulicy. W okolicznych gmachach wyleciały wszystkie szyby. Najbardziej ucierpiały budynki kina Lumieré i kawiarni Sandeman.

W zamachu zostało ciężko rannych dwóch przypadkowych holenderskich przechodniów. Jednemu z nich lekarze musieli na sali operacyjnej wyciągnąć z karku zegarek Konowalca. A bolszewicy rozpuścili plotkę, że Konowalca w powietrze wysadziły polskie służby w odwecie za zamordowanie przez bojowników OUN ministra Bronisława Pierackiego.

Cel: Bandera

Wybuchające czekoladki były niczym w porównaniu z „gadżetem", który KGB przygotowało, żeby wyeliminować innego przywódcę OUN, Stepana Banderę. Tym razem narzędziem zbrodni był specjalny dwulufowy pistolet pneumatyczny rozpylający cyjanek. Po naciśnięciu spustu mechanizm kruszył kapsułkę z trucizną, a następnie spryskiwał nią ofiarę.

Trucizna miała się szybko ulotnić, tak aby lekarze podczas sekcji zwłok nie znaleźli jej śladu i uznali, że Bandera zmarł na atak serca. Ta dziwaczna broń była jednak niebezpieczna również dla strzelca. Dlatego egzekutor Bohdan Staszyński (były polski obywatel urodzony pod Lwowem w 1931 r.) otrzymał pigułkę z antidotum. Miał ją zażyć w razie kontaktu z trucizną.

Stepan Bandera po wojnie osiadł w Monachium i tam też pojechał za nim Staszyński. 15 października 1959 r. włamał się do bloku przy Kreittmayrstrasse 7, w którym na trzecim piętrze znajdowało się mieszkanie ukraińskiego nacjonalisty. I czekał na klatce schodowej.

Staszyński wcześniej długo obserwował Banderę i wiedział, że przed wejściem do bloku Ukrainiec zawsze odprawiał towarzyszącego mu na mieście ochroniarza. Tak też się stało i tym razem. Gdy Bandera otworzył zamek w drzwiach na klatkę schodową, Staszyński ruszył w jego stronę. Spotkali się w progu.

Ukrainiec miał opuszczoną głowę, próbował rozplątać pęk kluczy.

– Nie działają? – zapytał Staszyński.

– Nie, są OK – odpowiedział Bandera i odruchowo spojrzał na nieznajomego mężczyznę.

W tym momencie Staszyński przystawił mu pistolet do głowy i nacisnął spust. Chmura cyjanku osiadła na twarzy Stepana Bandery. Staszyński minął go i jakby nigdy nic wyszedł na ulicę. Pospiesznie zawinął pistolet w gazetę i oddalił się z miejsca zbrodni. Bandera tymczasem konał na wycieraczce.

Staszyński zdążył jeszcze zauważyć kątem oka, że twarz ofiary w ułamku sekundy zrobiła się krwistoczerwona i natychmiast zaczęła czernieć. Okazało się, że egzekutor był zdenerwowany i nacisnął na spust dwukrotnie. Bandera otrzymał podwójną dawkę cyjanku i taka ilość trucizny się nie ulotniła.

Niemiecka policja wiedziała więc, że Bandera został otruty. Nie wiedziała jednak przez kogo. Znowu, jak w wypadku Konowalca, jeden z tropów prowadził do Polski. Śledczy nie wykluczali bowiem, że zamachu dokonał mściciel z Wołynia, krewny ofiar ludobójstwa, którego ukraińscy nacjonaliści dokonali podczas wojny na tamtejszych Polakach.

Sprawa wyjaśniła się dopiero po dwóch latach, gdy w 1961 r. Staszyński zgłosił się na policję w Berlinie Zachodnim. Na komisariacie przyznał się do dwóch zabójstw: Bandery i słynnego ideologa OUN Ława Rebeta. Tego ostatniego zgładził w Monachium w 1957 r. za pomocą tej samej dziwacznej broni.

Jego trzecią ofiarą miał być Jarosław Stećko, premier ukraińskiego rządu powołanego przez OUN w 1941 r. po zajęciu przez Niemców Lwowa. Staszyński nie miał już jednak ochoty zabijać dla Moskwy. Pod wpływem żony – fryzjerki z NRD Ingi Pohl – zdecydował się przejść na stronę Zachodu. Para zdążyła uciec z Berlina Wschodniego dzień przed rozpoczęciem budowy muru dzielącego miasto.

Choć formalnie Staszyński został skazany za podwójne zabójstwo na osiem lat więzienia, to Amerykanie szybko wyciągnęli go na wolność. Egzekutor zdradził im wszystkie sekrety KGB, które znał. A w nagrodę dostał nową tożsamość.

Przez pewien czas mieszkał w Stanach, a potem osiadł z żoną w RPA. Podobno dożył do upadku komunizmu i w latach 90. pojechał na Ukrainę, gdzie dowiedział się, że człowiek, którego zamordował, ma tam status bohatera narodowego.

Zdrada Staszyńskiego stała się wielką kompromitacją Związku Sowieckiego. Jego proces był szeroko komentowany w prasie. Cały świat się dowiedział, że bolszewicy mordują swych przebywających na emigracji przeciwników politycznych. Ówczesny sowiecki przywódca Nikita Chruszczow szalał z wściekłości i – jak głosi legenda – zabronił wykonywania za granicą wyroków śmierci. Przynajmniej na pewien czas.

Szolem Szwarcbard przemawia podczas swojego procesu FOT. WIKIPEDIA

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e73e707b89

ZSRS / Sowieccy eksszpiedzy na tropie zdrajcy

Plac Czerwony w Moskwie, mury Kremla i sobór Wasyla Błogosławionego

FOT. W. BULACH/WIKIMEDIA COMMONS/CC BY-SA 4.0

Uciekinierzy z KGB

Grzegorz Janiszewski

Do tej pracy kierowani byli najlepsi funkcjonariusze, sprawdzeni i oddani sprawie. Nie zapobiegło to ich licznym ucieczkom...

Zgodnie z sowieckim prawem odmowa powrotu do kraju z zagranicy traktowana była jako zdrada. Tego jednak było za mało, zwłaszcza dla uciekinierów z tajnych służb. W listopadzie 1927 r. Centralny Komitet Wykonawczy ZSRS z inicjatywy Stalina przyjął tajne postanowienie, zgodnie z którym „osoby, które odmawiają powrotu do ZSRS, są pozbawione praw". Należało je rozstrzelać w ciągu 24 godzin od ustalenia miejsca pobytu, a ich mienie skonfiskować. Prawie 40 lat była to zasada postępowania z funkcjonariuszami, którzy przeszli na stronę wroga.

Dużo szczęścia, a może sprytu miał zbieg z NKWD Aleksandr Orłow. Urodzony w 1895 r. w Bobrujsku jako Lejba Feldbin, w 1914 r. wstąpił do Łazarewskiego Instytutu Języków Wschodnich w Moskwie. Po wybuchu rewolucji październikowej przyłączył się do bolszewików. Potem służył w różnych jednostkach kontrwywiadu Czeka i GPU, aż w 1926 r. został przeniesiony do wywiadu zagranicznego OGPU.

Wiele razy wyjeżdżał w tajnych misjach na Zachód. Podczas tych podróży przekonał się, że sowiecka agentura to głównie robotnicy, podoficerowie czy zwykli urzędnicy, którzy przez całą karierę nie wspinają się na poziom, na którym mogą zdobywać interesujące informacje. Prawdziwe elity to dzieci wyższych urzędników, ministrów, posłów, którzy awansowali niejako z automatu.

W głowie Orłowa narodził się sprytny plan. Trzeba było pozyskać do współpracy zafascynowanych sowieckim komunizmem studentów najlepszych uczelni. To on odegrał też główną rolę w werbowaniu zauroczonego komunizmem absolwenta Cambridge Kima Philby'ego, który potem okazał się najcenniejszym ze znanych sowieckich szpiegów. Philby'emu imponowało, że poznał Rosjanina, „prawdziwego bolszewika", w odróżnieniu od różnej maści „działaczy internacjonalistycznych", z którymi stykał się wcześniej.

We wrześniu 1936 r. Orłow został wysłany do Hiszpanii jako przedstawiciel NKWD przy republikańskim rządzie. W tym charakterze organizował działania dywersyjne na tyłach wojsk gen. Franco, tropił ich szpiegów i organizował obozy szkoleniowe dla sowieckich agentów i dywersantów, eskortował do Odessy złoto, którym republikański rząd zapłacił Sowietom za „pomoc". Wiadomości z kwatery gen. Franco dostarczał Orłowowi nie kto inny, jak pracujący dla niego Philby, który udając antykomunistycznego korespondenta, miał tam bardzo dobre stosunki.

Latem 1938 r. Orłow został wezwany do Moskwy. Przeczuwając, co się święci, zabrał 90 tys. dol. z funduszu operacyjnego NKWD i z dyplomatycznym paszportem uciekł w lipcu do USA, zabierając ze sobą również pracującą dla NKWD żonę wraz z córką. Po drodze wysłał do Jeżowa list z ostrzeżeniem, że w razie jego śmierci albo represji rodziny w ZSRS światło dzienne ujrzą dokumenty opisujące przestępstwa Stalina i ujawniające tajnych współpracowników, z którymi pracował. Od tego czasu nikt go nie niepokoił.

Orłow ujawnił się dopiero po śmierci sowieckiego przywódcy, wydając na jego temat książkę i pisząc serię artykułów do tygodnika „Life". Był też przesłuchiwany przez amerykańskie służby, a potem pracował przy szkoleniu amerykańskich

eprasa.pl e73e707b89

Walter Kriwicki
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

szpiegów wysyłanych do bloku wschodniego. Nigdy nie wydał swoich współpracowników, w tym Philby'ego i jego czterech ulokowanych wysoko w brytyjskich tajnych służbach i dyplomacji kolegów, zwanych „piątką z Cambridge". Tłumaczył później, że nie mógł tego zrobić ludziom, którzy uwierzyli w idee, w które on sam długie lata wierzył.

Trup w hotelu

Inny sowiecki uciekinier miał mniej szczęścia. 10 lutego 1941 r. rano pokojówka z waszyngtońskiego hotelu Bellevue Telma Jackson sprzątała pokoje. Kilkakrotnie zapukała do drzwi pod numerem 532, ale nikt nie odpowiadał. Kiedy otworzyła drzwi zapasowym kluczem, zobaczyła na łóżku mężczyznę ok. czterdziestki, w kałuży krwi. Obok leżał pistolet.

Mężczyzną, a w zasadzie już trupem, był Walter Hermanowicz Kriwicki. Takim nazwiskiem przynajmniej posługiwał się podczas służby w NKWD. Naprawdę nazywał się Samuel Herszewicz Ginzberg, a urodził się w 1899 r. w leżących wówczas dokładnie na granicy Austro-Węgier z Rosją Podwołczyskach. Po rewolucji październikowej przystąpił do bolszewików. Znajomość kilku języków wyniesiona z przygranicznego, wielonarodowego miasteczka sprawiła, że został skierowany do wywiadu. W czasie wojny z Polską w 1920 r. Kriwicki organizował dywersję i zbierał informacje na polskich tyłach, w okolicach Lwowa, Warszawy i na czeskim Śląsku. Jako agent wywiadu wojskowego działał nielegalnie w Niemczech, przygotowując rewolucję proletariacką.

W 1925 r. został ściągnięty do centrali, gdzie przygotowywał sowieckich szpiegów do pracy za granicą. Uznawany za wybitnego specjalistę od Zachodu, szybko awansuje do rangi odpowiadającej generałowi brygady. Jest wielokrotnie nagradzany, w tym Orderem Czerwonego Sztandaru za „obronę proletariackiej rewolucji", w co zresztą, jak później wspominał, szczerze wierzył.

W latach 30. organizuje skuteczną sieć współpracowników sowieckiego wywiadu jako Martin Lessner – haski antykwariusz. W 1934 r. od swoich szpiegów dowiaduje się, że z polecenia Stalina rozpoczęte zostały rozmowy o współpracy z Hitlerem. Dla ideowego komunisty to szok. W 1937 r. komando NKWD likwiduje jego najbliższego przyjaciela jeszcze z Podwołczysk, Ignacego Reissa. Po procesach moskiewskich odmówił on powrotu do Moskwy, odesłał tam swój Order Czerwonego Sztandaru i opublikował we francuskich gazetach list opisujący stalinowski terror. Kriwicki, któremu polecono wykonać wyrok, zamiast tego ostrzegł go przed zamachem.

Z pomocą ambasadora USA Williama Bullita wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych, gdzie publikuje w prasie artykuły dotyczące stalinowskiego terroru. Wydaje też książkę „Byłem agentem Stalina". Początkowo jego rewelacjami nie były zainteresowane nawet amerykańskie tajne służby. Sytuacja zmieniła się wraz z zawarciem paktu Ribbentrop-Mołotow. Przesłuchiwany przez MI5 wydał ok. 100 agentów ze swojej sieci.

Na początku lutego 1941 r. Kriwicki dostał zaproszenie na posiedzenie senackiej komisji zajmującej się antyamerykańską działalnością. Nie zdążył złożyć zeznań. Został znaleziony martwy w pokoju hotelowym w Waszyngtonie. Śledztwo w tej sprawie, mimo nacisków wdowy i jej adwokata, żeby wyjaśnić przyczynę śmierci, było powierzchowne i zakończyło się stwierdzeniem policji, że były agent popełnił samobójstwo.

Dopiero 25 lat później amerykański dziennikarz Verne W. Newton, przeszukując archiwa FBI, natrafił na dokumenty związane z jego śmiercią. Zabójstwa miał dokonać szef komórki likwidatorów NKWD w USA Jack Perilla. Dlaczego zlikwidował go dopiero po kilku latach od ucieczki? Prawdopodobnie dlatego, że za dużo wiedział o „piątce z Cambridge". Chociażby to, że jeden z nich był korespondentem wojennym w Hiszpanii, co bezpośrednio wskazywało na Philby'ego. Inny członek „piątki" Dawid MacLean w kwietniu 1940 r. sporządził dla brytyjskiego MSZ raport w sprawie Kriwickiego, który prawdopodobnie przekazał sowieckiemu wywiadowi, podpisując na niego wyrok śmierci.

Najcenniejszy zbieg

Do dekonspiracji Philby'ego doprowadził w końcu szpieg, którego szef kontrwywiadu CIA James Angleton nazwał „najcenniejszym zbiegiem, który uciekł na Zachód". Anatolij Golicyn w końcu grudnia 1961 r. zadzwonił do drzwi domu Franka Freiberga, przedstawiciela CIA w Helsinkach. Rezydent KGB przy ambasadzie sowieckiej w tym mieście wziął ze sobą żonę i córkę oraz pakiet dokumentów wyniesionych z ambasady. Starannie owinięte w celofan, przezornie ukrył w zaspie przed domem Freiberga. Golicyn został przerzucony do USA, gdzie zaczęły się jego przesłuchania. Standardowo jako powód ucieczki podał „rozczarowanie komunizmem oraz intrygi i walki w KGB".

eprasa.pl e73e707b89

Kim Philby FOT. AP/EAST NEWS

Nie to jednak interesowało agentów. Golicyn zeznawał, że w centrali KGB widział oznaczone gryfem „ściśle tajne" dokumenty CIA. Oznaczało to, że sowieckie służby mają „kretów" na najwyższych szczeblach. Zbiegiem zainteresowali się zastępca szefa CIA Charles Cabell i naczelnik oddziału sowieckiego agencji. Golicyn żądał jednak spotkania z prezydentem USA, a przesłuchiwać miał go szef FBI Edgar Hoover. Kiedy w końcu na spotkanie zgodził się prokurator generalny Robert Kennedy, Rosjanin stwierdził, że jego informacje warte są przynajmniej 30 mln dol. W końcu wymusił kontakty z Angletonem. Doświadczony funkcjonariusz dał się omotać sowieckiemu szpiegowi, który zręcznie podsuwał mu kolejne nazwiska podejrzanych.

Sprzyjała temu natura Angletona – jego chaotyczny umysł, bujna wyobraźnia i przekonanie o globalnym zagrożeniu ze strony sowieckich szpiegów, jak i ówczesna atmosfera rywalizacji Kennedy'ego z Chruszczowem. W dodatku dobrym znajomym Angletona był Philby, który w latach 1949–1951 był oficerem łącznikowym przy CIA.

Angleton znajdował w Golicynie potwierdzenie swoich podejrzeń, które ten umiejętnie podsycał. Rosjanin wskazał kilkudziesięciu agentów CIA, którzy mieli pracować dla Rosjan. Nie było możliwości weryfikacji tych rewelacji, więc zwalniano ich ze służby jedynie na podstawie podejrzeń. W ten sposób pożegnano kilku bardzo doświadczonych funkcjonariuszy. Na ich miejsce trzeba było wysyłać nowych i niedoświadczonych. Przez pewien czas agencja musiała polegać na informacjach przekazywanych przez szpiegów z Ameryki Południowej i Europy. Działalność oddziału sowieckiego CIA została sparaliżowana.

Potem Golicyn zabrał się do „agentów" zagranicznych. Oskarżył o współpracę z sowieckimi służbami brytyjskiego premiera Harolda Wilsona i prezydenta Finlandii Urho Kekkonena. Podobne zarzuty wysunął w stosunku do doradców prezydenta de Gaulla – Jacquesa Foccarta i odpowiedzialnego za tworzenie francuskich sił jądrowych Louisa Joxe'a. Mieli oni działać w otaczającej prezydenta szpiegowskiej siatce pod kryptonimem Szafir. Spowodowało to załamanie współpracy wywiadowczej z USA w 1964 r., a pośrednio przyczyniło się do wyjścia Francji ze struktur wojskowych NATO w 1966 r.

W wyniku oskarżeń Golicyna ze służbą pożegnał się również szef kanadyjskiego kontrwywiadu na odcinku rosyjskim Leslie Bennet. Ostatecznie też został nimi pogrążony podejrzewany od lat Philby, który wiedząc, co się szykuje, w 1963 r. uciekł do ZSRS. Zmarł w Moskwie w 1988 r., do końca wierząc w komunizm.

Orzeł może

Dobrym przykładem paranoi, jaka zapanowała wówczas w CIA, była sprawa Petera Karlowa. Golicyn twierdził, że KGB ma w CIA wysoko uplasowanego agenta słowiańskiego pochodzenia. Jego nazwisko zaczynało się na „K", kończyło na „ski", a pseudonim to Sasza. Golicyn bez wahania wskazał na liście nazwisk pracowników agencji Karlowa, którego ojciec, imigrant z Rosji nosił nazwisko Klebanski. Ukoronowaniem zarzutów była sprawa „Rzeczy" – wielkiego, drewnianego herbu USA, podarowanego przez pionierów amerykańskiemu ambasadorowi w Moskwie w sierpniu 1945 r. W środku ukryte było urządzenie podsłuchowe, odkryte dopiero w 1951 r. Karlow w CIA zajmował się sprawami technicznymi, zwłaszcza wprowadzaniem nowych urządzeń służących inwigilacji. Niewykrycie podsłuchu w ambasadzie miało świadczyć o jego pracy dla KGB.

Dzięki parze Angleton-Golicyn CIA pogrążała się w podejrzeniach w iście stalinowskim stylu. W świecie tajnych służb, gdzie prawda codziennie mieszała się z kłamstwem, trudno było zarzucić im mistyfikację. Zwłaszcza że część oskarżeń się potwierdzała, a Golicyn świadomie lub nie ujawniał jedynie część informacji. W końcu za sprawą tej szpiegomanii w 1974 r. Angleton został zmuszony do odejścia na emeryturę. Wpływy wówczas stracił też Golicyn.

Matrix rodem z KGB? Na tym jego działalność się nie zakończyła. W 1984 r. wydał książkę „Nowe kłamstwa w miejsce starych", w której przekonywał, że pierestrojka i opozycyjne ruchy w państwach bloku wschodniego (w tym Solidarność) były częścią planu realizowanego przez KGB już od lat 50. Celem było zmiażdżenie Europy Zachodniej w „miłosnym uścisku" przez stworzenie jednego państwa, uzależnionego od Rosji rządzonej przez funkcjonariuszy KGB, wyrzucenie USA z Europy i rozbicie NATO.

Dziwnym trafem książka została wydana w Polsce dopiero w 2007 r. przez Służbę Kontrwywiadu Wojskowego na polecenie jej ówczesnego szefa Antoniego Macierewicza. Miała posłużyć szkoleniu funkcjonariuszy powstającej służby. Po wyborach parlamentarnych i zmianie kierownictwa zaległa w magazynach, do dzisiaj czekając na następnego odkrywcę. Czy i jaką rolę odegrali w tym tajni agenci pokroju Philby'ego, pewnie nie dowiemy się nigdy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e73e707b89

STUDIO PRASOWE

Przedstawiciele różnych redakcji dyskutują na ważne polityczne tematy, które elektryzowały opinię publiczną w trakcie minionego tygodnia.

niedziela
10:06

zaprasza
Adrian Stankowski

REPUBLIKA

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, w internecie na stronie www.tvrepublika.pl oraz drogą naziemną w systemie DVB-T w Katowicach i okolicy oraz w systemie DVB-T2 w Warszawie na kanale 23, we Wrocławiu na kanale 41 i w Gdańsku na kanale 31.

eprasa.pl e73e707b89

XX–XXI w. / Arsenał rosyjskich trucicieli

Gmach NKWD na Łubiance, dziś siedziba Federalnej Służby Bezpieczeństwa FOT. WIKIPEDIA/A.SAVIN

Od arszeniku do nowiczoka

Tymoteusz Pawłowski

W Rosji mordowanie przeciwników politycznych jest normą przyjętą dawno temu od Mongołów Batu-chana

Najbardziej trującym grzybem w Polsce nie jest wbrew pozorom muchomor czerwony. Rekordziści to muchomor jadowity oraz muchomor zielonawy (sromotnikowy), bardzo podobne do apetycznych pieczarek i gąsek. Nawet jeden grzyb dodany do barszczu może całkowicie zniszczyć wątrobę i doprowadzić do bolesnej śmierci. Obecna w muchomorach amanityna jest bardzo toksyczna: wystarczy niewielka dawka, nawet miligram na kilogram masy ciała. Niebezpieczne mogą być również zioła: Sokrates zginął, wypijając cykutę, czyli wywar z trujących ziół, najprawdopodobniej szaleju jadowitego i szczwołu plamistego.

Istnieją trucizny naturalne, ale wytwarza je także człowiek. Przykładem jest tritlenek diarsenu, znany lepiej jako arszenik, stosowany już w starożytności do wyrobu farb, szkła, konserwacji skór, drewna, do zwalczania gryzoni oraz w stomatologii. A także do skrytobójstwa. Znacznie nowszymi truciznami – mającymi ok. 200 lat – są cyjanki, które odziedziczyły swoją nazwę od greckiej nazwy koloru niebieskozielonego – cyjanu. Cyjanek potasu to trucizna bardzo często pojawiająca się na kartach powieści kryminalnych…

Trudno wyrokować o znaczeniu trucizn dla politycznych dziejów świata. Używano ich na pewno – tak jak dziś – do pospolitych morderstw. Ale czy ryzykowano otrucie króla czy wodza? Wykrywać trucizny podczas sekcji zwłok nauczono się właściwie dopiero w XX w., więc tajemnicze śmierci sprzed wieków pozostają tajemniczymi. Czy cesarz Klaudiusz rzeczywiście został otruty grzybami? Znamy tylko pogłoski i przypisywane mu ostatnie słowa: „Grzyby to

eprasa.pl e73e707b89

pokarm bogów". Czy Jan Wawrzyniec Pappacoda otruł królową Bonę? To już jest bardziej prawdopodobne, ale wciąż mamy tylko pogłoski związane z walką o olbrzymi spadek i żadnych dowodów rzeczowych.

Jeszcze niedawno otruciem tłumaczono niemal każdą śmierć, która nie była poprzedzona długą i ciężką chorobą, dziś medycyna zna tysiące powodów gwałtownego pogorszenia się stanu zdrowia i potrafi je leczyć. „Otrutych" jest więc mniej, podobnie jak i „trucicieli". Na zmniejszenie tych liczb wpływa również postęp społeczny, a dokładniej: kontrolowanie działań rządu przez społeczeństwo. Oczywiście w państwach, gdzie taka kontrola istnieje.

Stare sposoby

Gdy w 1917 r. stara carska Rosja została zastąpiona nową sowiecką Rosją, pojawiły się również „nowe" metody mordowania przeciwników politycznych (chociaż wciąż używano tradycyjnych – np. ciupagi do zabicia Lwa Trockiego). Początkowo zestaw trucizn był dość konserwatywny: w czasach stalinowskich stosowano arszenik oraz cyjanek. Jeszcze w 1959 r. z rozkazu Nikity Chruszczowa cyjankiem zabito w Monachium Stepana Banderę, tym razem jednak posłużono się nowym wynalazkiem – specjalnym pistoletem zdolnym do rozpylenia chmury trującego gazu w sposób bezpieczny dla zamachowca. Zrealizowane w ten sposób zabójstwa – Bandera był tylko jedną z ofiar – wyglądały na zawał serca, ale pechowo dla Rosjan zamachowiec po kilku latach zdezerterował i zdradził wszystkie szczegóły.

Pomimo skandalu akcje kontynuowano: w 1978 r. przebywający w Londynie Georgij Markow – bułgarski dramaturg i dysydent – zmarł w szpitalu. W czasie sekcji zwłok w jego łydce znaleziono kulkę o średnicy 1,5 mm zawierającą rycynę. Nieco później okazało się, że została ona tam wstrzelona za pomocą specjalnie spreparowanego parasola. Wystarczyło ok. 2 mg rycyny, białka, które w XIX w. chemicy pozyskali z nasion rącznika pospolitego (olej rycynowy pozyskiwany z tych samych nasion nie jest jednak trujący). Rycyna jest bardzo niebezpieczna, powoduje m.in. sklejanie się krwinek.

Pomimo morderczych starań służb specjalnych Związek Sowiecki przegrał zimną wojnę, w 1991 r. zmienił się w Federację Rosyjską, w której w 1999 r. władzę objął Władimir Putin. I wówczas znów zaczęto na masową skalę stosować trucizny, także przeciwko Bogu ducha winnym cywilom. Gdy w październiku 2003 r. terroryści wzięli zakładników w teatrze na Dubrowce, do likwidacji zagrożenia użyto gazów. Zakładano, że specjalnie spreparowany gaz uśpi terrorystów. Uśpił wszystkich, a 133 zakładników już się nie obudziło. Ich śmierci można było uniknąć, gdyby antyterroryści poinformowali lekarzy, jakiej trucizny użyli. Była to jednak – nie zdradzona do dziś – tajemnica państwowa; można podejrzewać, że była to mieszanka halotanu i fentanylu: ten pierwszy to w miarę łagodny środek stosowany w anestezjologii, ten drugi to bardzo mocna syntetyczna heroina.

Skoro państwo nie ma oporów w mordowaniu własnych obywateli, to trudno podejrzewać, żeby się wahało, trując obcych. Jesienią 2004 r. kandydat na ukraińskiego prezydenta Wiktor Juszczenko został zatruty dioksynami. Dioksyny to związki powstałe podczas spalania substancji organicznych zawierających chlor. Ich głównym źródłem są spalarnie śmieci i zdawało się, że nie mają żadnego praktycznego zastosowania dopóty, dopóki jakiś skrzywiony umysł nie postanowił użyć ich jako trucizny. Wiktor Juszczenko został poddany wielomiesięcznej kuracji, wyzdrowiał, został prezydentem, symbolem pomarańczowej rewolucji, a osoba podejrzana o podanie mu trucizny znalazła azyl w Rosji…

Nowe możliwości

O ile trucizny podane poza granicami Rosji mogą zostać wykryte i zneutralizowane, o tyle serwowanie ich w granicach tego kraju pozwala na zachowanie tajemnicy. W 2003 r., po dwutygodniowej chorobie, zmarł redaktor naczelny opozycyjnej „Nowej Gazety" Jurij Szczekoczichin. Centralna Klinika Kremlowska, w której próbowano go leczyć, jako przyczynę śmierci podała „poważną reakcję alergiczną". Przebieg choroby świadczy jednak o tym, że przyczyna śmierci była inna.

W podobny sposób zginął trzy lata później Aleksander Litwinienko: zachorował, trafił do szpitala, po dwóch tygodniach nastąpiła poprawa, a po kolejnym – pogorszenie i śmierć. Jego szpitalne zdjęcia – wychudzonego i pozbawionego włosów – obiegły cały świat. Wiadomo było, że został otruty; wiadomo było nawet, kto był trucicielem (znalazł schronienie w Rosji), ale nieznana pozostawała trucizna. Dopiero później okazało się, że był nią izotop polonu-210.

Polon ma wiele izotopów – „wersji" różniących się liczbą neutronów – ale żaden nie jest stabilny. Wydziela promieniowanie alfa, które – w przeciwieństwie do bardzo przenikliwego promieniowania gamma – jest pochłaniane przez… cokolwiek. Wystarczy kartka papieru, kilka centymetrów powietrza, naskórek. Polon-210 jest więc niewykrywalny przez zwykłe dozymetry i praktycznie nieszkodliwy. Chyba że wprowadzi się go wraz z jedzeniem do organizmu, gdzie będzie mógł jonizować pozbawione ochrony komórki i doprowadzi do choroby popromiennej. W ten sposób zabito Aleksandra Litwinienkę, w ten sposób najprawdopodobniej zabito Jurija Szczekoczichina, a śmierć kilku innych osób również może być powiązana z polonem-210.

Najprawdopodobniej z powodu ujawnienia tej rosyjskiej wunderwaffe do kolejnych otruć użyto gazu bojowego przygotowywanego na wojnę, znanego jako nowiczok. Plan poniósł fiasko: celem ataku był przebywający w Anglii Siergiej Skripal, ale on przeżył, a życie straciło dwoje przypadkowych ludzi.

Można oczywiście się zastanawiać, czy ujawnianie kolejnych afer trucicielskich jest dowodem na partactwo rosyjskich służb specjalnych czy to jest jedynie wierzchołek góry lodowej, a niewykrytych zbrodni jest znacznie więcej. Oba tłumaczenia są prawdopodobne: rosyjskie służby specjalne jedynie wśród amatorów uchodzą za skuteczne, z drugiej jednak strony w Rosji mordowanie przeciwników politycznych jest normą przyjętą dawno temu od Mongołów Batu-chana. Bycie dysydentem w Rosji jest ryzykowne, ale dużo niebezpieczniejsze jest rządzenie tym państwem…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e73e707b89

Świadek / Z Olegiem Kaługinem, byłym generałem KGB żyjącym na emigracji w USA

rozmawia Piotr Włoczyk

FOT. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

Cena zdrady Kremla

– Absolutnie nie czuję się zdrajcą. Starałem się jak najlepiej przysłużyć mojemu narodowi – mówi Oleg Kaługin

PIOTR WŁOCZYK: Co by się stało, gdyby wybrał się pan dziś do swojej ojczyzny?

OLEG KAŁUGIN: Decyzja moskiewskiego sądu – wydana zaocznie – nie została zmieniona. Wciąż czeka na mnie w Rosji 15 lat ciężkiego więzienia. Nad wszystkim czuwał oczywiście Władimir Putin, który publicznie nazwał mnie zdrajcą.

A nie zdradził pan KGB?!

Teoretycznie sądzono mnie za zdradę, ale to była przecież sprawa polityczna. Ten wyrok był zemstą Putina za moje krytyczne uwagi pod jego adresem. Moskiewski sąd użył pewnego epizodu z mojej kariery, gdy pracowałem w sowieckim wywiadzie. Jednym z moich agentów był wówczas wysoki rangą amerykański oficer z US Army.

Pułkownik George Trofimoff, najwyższy rangą oficer US Army, który został skazany przez amerykański sąd za szpiegostwo na rzecz Moskwy. Putinowi chodziło pewnie o to, że zeznawał pan w 2001 r. podczas jego procesu...

Trofimoffa aresztowano po wielu latach pracy dla sowieckiego wywiadu. W tym czasie – w 2001 r. – mieszkałem już w USA. Zostałem wezwany jako świadek oskarżenia w procesie Trofimoffa. Moją pierwszą reakcją była myśl: „Nie mogę tego zrobić! Nie mogę potwierdzić, że pracował dla Moskwy!”.

Dlaczego więc zeznawał pan na tym procesie?

Ponieważ Amerykanie powiedzieli mi wprost, że jeżeli nie stawię się na procesie jako świadek, to sam zostanę pociągnięty do odpowiedzialności jako jego współpracownik. Nie miałem wyboru, musiałem potwierdzić, że Trofimoff pracował dla ZSRS. To była dla mnie bardzo niekomfortowa sytuacja.

Pańskie zeznania mogły zostać zinterpretowane przez Kreml tylko w jeden sposób...

Być może. Po tym, jak Putin nazwał mnie zdrajcą, ja nazwałem go przestępcą wojennym, który powinien stanąć przed obliczem Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze za wojnę w Czeczenii. Czyli powinien go spotkać ten sam los, który spotkał Slobodana Miloševicia.

W takiej sytuacji nie miałem innego wyjścia i musiałem wystąpić o azyl

eprasa.pl e73e707b89

w USA. Mieszkam w Ameryce do dziś, mam już amerykański paszport i jestem po prostu jednym z 320 mln amerykańskich obywateli.

I nie uważa się pan za zdrajcę. Dlaczego?

Absolutnie nie czuję się zdrajcą. Starałem się jak najlepiej przysłużyć mojemu narodowi, próbowałem zmienić Rosję na lepsze, otworzyć rosyjskie społeczeństwo. Większość kariery w KGB spędziłem za granicą. Więcej wiedziałem o USA niż o własnym kraju. Oczy otworzyła mi dopiero praca w latach 80. w KGB w Leningradzie, gdzie moim zadaniem było zwalczanie zwykłych obywateli, którzy protestowali przeciwko temu choremu systemowi.

I nie wiedział pan wcześniej, że Związek Sowiecki to zbrodniczy system?

Wie pan, poszedłem do KGB zafascynowany wizją walk wywiadów, tajnymi akcjami etc. Tymczasem praca w Leningradzie sprawiła, że zacząłem żałować wstąpienia do służby. Chciałem liberalizacji, co skończyło się tym, że wysłano mnie w 1990 r. na emeryturę. Potem już publicznie domagałem się zmian w państwie. Nie udało się. Putinowska Rosja to nie jest miejsce dla mnie. Wciąż jednak śledzę wydarzenia w Rosji. Mam nawet przyjaciół, którzy pracują w administracji kremlowskiej (śmiech).

Ale chyba nie utrzymuje pan z nimi kontaktu, skoro wciąż pracują na Kremlu.

Myli się pan, wciąż utrzymujemy ze sobą relacje. Tylko oczywiście to nie ja nawiązuję z nimi kontakt, ponieważ nie chcę im narobić problemów. Putin to niebezpieczny człowiek. To oni się ze mną kontaktują w dogodnych dla nich warunkach.

Porozmawiajmy w takim razie o systemie, który stworzył Putin. John McCain stwierdził kiedyś, że Rosja to tak naprawdę gigantyczna stacja benzynowa rządzona przez mafię, która tylko udaje państwo. Czy to porównanie dobrze oddaje rosyjską rzeczywistość?

Coś w tym jest, ale Rosja to nie tylko kryminaliści. Rosja od czasów Putina stała się biurokracją rządzoną przez służby specjalne. To ewenement na skalę światową! Prezydent z KGB to tylko wierzchołek tej góry lodowej. Większość jego najbliższych doradców to też ludzie KGB. Lata temu, gdy część rosyjskich mediów była jeszcze naprawdę wolna, szacowano, że ok. 70 proc. najbliższego otoczenia Putina miało związki z KGB!

Nie chce pan chyba jednak powiedzieć, że dziś rosyjskie służby mają potężniejszy wpływ na państwo niż np. w latach 80., gdy był pan człowiekiem numer dwa w leningradzkim KGB?

Oczywiście, że dziś mają potężniejsze wpływy niż w latach 80.! Największy wpływ na państwo sowiecki aparat bezpieczeństwa miał za Stalina. Po jego śmierci bezpieka została pocięta na kawałki. Z jednej wielkiej pięści zrobiło się kilka mniejszych. Za Putina bezpieka znów stała się potężna. Dziś można powiedzieć wprost, że Rosją rządzi KGB.

W czasach ZSRS państwo opierało się na trzech filarach: partii komunistycznej, KGB i naszym własnym kompleksie wojskowo-przemysłowym. Dziś filarami Rosji są: KGB, Cerkiew prawosławna i biznes. Oczywiście Cerkiew jest kontrolowana przez pierwszy filar.

W starych czasach nie było przynajmniej hipokryzji: komuniści i ludzie z KGB byli ateistami. Teraz nagle wszyscy ci zdeklarowani ateiści składają ręce do modlitwy. Wiem, co ci ludzie naprawdę myślą o religii, więc śmiać mi się chce, gdy widzę w rosyjskiej telewizji obrazki przedstawiające rozmodlonego Putina czy Miedwiediewa. Biznesem również rządzi KGB. Ceną bogacenia się w Rosji jest pełne podporządkowanie się Kremlowi. W Rosji nie ma już mordów na masową skalę, ale terror wciąż wisi nad przeciwnikami Kremla – teraz jest to przerażające widmo śmierci od polonu.

Rosja to państwo policyjne, a rosyjskie społeczeństwo to tak naprawdę miliony zniewolonych ludzi.

Natura Putina i jego otoczenia to podejrzewanie wszystkich o wszystko

Spędził pan w KGB niemal pół życia. Co jest najważniejszym elementem tej słynnej „KGB-owskiej mentalności"?

Przede wszystkim podejrzliwość. Natura Putina i jego otoczenia to podejrzewanie wszystkich o wszystko. Ta cecha tyczy się nie tylko własnego narodu. To samo widać też w relacjach z innymi krajami. Rosja podejrzewa inne państwa o same najgorsze rzeczy.

Jest takie znane powiedzenie: „Raz w KGB, zawsze w KGB".

W przypadku Putina to stuprocentowa racja. Ten człowiek jest całkowicie przesiąknięty mentalnością KGB. Jego serce i dusza należą do systemu sowieckiego. Pamiętajmy jednak, że opowieści o służbie Putina w KGB to w znacznej mierze legendy. Jego wkład w działania KGB był właściwie zerowy, ponieważ Drezno było dla sowieckiego wywiadu głęboką prowincją. Putin utrzymywał kontakt z niemieckim wywiadem i „czuwał" nad rosyjskimi turystami odwiedzającymi Drezno. Fascynujące zajęcie, nieprawdaż? (śmiech)

Swego czasu był pan jego przełożonym. Jak pan wspomina rosyjskiego prezydenta z czasów leningradzkich?

Putin był jednym z moich 3 tys. podwładnych w kontrwywiadzie w Leningradzie. Był zbyt nisko w hierarchii, więc nie utrzymywałem z nim bliższych kontaktów. Putin był posłusznym aparatczykiem, który zdawał się nie mieć żadnych emocji. Okazał się jednak bardzo skuteczny w załatwianiu przeróżnych „spraw" i udowodnił, że jest bardzo lojalny wobec ludzi, którzy pomogli mu się piąć w górę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Oleg Kaługin

(ur. w 1934 r. w Leningradzie) był najmłodszym generałem w historii KGB, w latach 1958–1970 służył w USA jako oficer sowieckiego wywiadu. Pełnił wówczas m.in. funkcję zastępcy szefa rezydentury KGB w Waszyngtonie. W latach 1973–1980 kierował kontrwywiadem zagranicznym KGB. Jednym z jego zadań była wówczas „opieka" nad Kimem Philbym. Po konflikcie z przełożonymi został przeniesiony w 1980 r. do Leningradu, gdzie był zastępcą kierownika tamtejszego KGB. W czasie pierestrojki zaczął krytykować metody działania KGB. Po przejściu na emeryturę w 1990 r. rozpoczął publiczną krytykę systemu i został wybrany do sowieckiego parlamentu. Podczas puczu Janajewa wsparł Borysa Jelcyna i brał udział w obronie moskiewskiego „Białego Domu". Od 1995 r. mieszka w USA. W 2002 r. został skazany przez moskiewski sąd na 15 lat ciężkiego obozu i zdegradowany za zdradę.

eprasa.pl e73e707b89

Druga wojna / Europejska gra wywiadów

Polska hrabina w Abwehrze

Piotr Zychowicz

Piękna arystokratka była jedną z najlepszych agentek drugiej wojny światowej. Klementyna Mańkowska wywiodła w pole niemiecki wywiad

4 maja 1942 r. samolot pasażerski z Lizbony wylądował w Bristolu. Wśród pasażerów schodzących po schodach na płytę lotniska wyróżniała się jedna osoba. Zjawiskowo piękna długonoga blondynka w eleganckim ubraniu. Panowie patrzyli na nią z podziwem, kobiety – z zazdrością.

Nagle przed samolotem z piskiem opon zatrzymał się brytyjski policyjny samochód. Wyskoczyły z niego dwie agentki:

– Jest Pani aresztowana!

Jak spod ziemi wyrośli dziennikarze i fotoreporterzy. Błysnęły flesze aparatów. A piękna blondynka została odprowadzona do samochodu. Jeszcze tego samego dnia Agencja Reutera podała na cały świat wiadomość, że brytyjski kontrwywiad aresztował groźną agentkę Abwehry – polską hrabinę Klementynę Mańkowską.

Pałac w Winnogórze

Swoje niesamowite przygody hrabina opisała we – wznowionych właśnie – wspomnieniach zatytułowanych „Moja misja wojenna". Wszystko zaczęło się we wrześniu 1939 r. Mańkowska zajmowała wówczas piękny pałac w Winnogórze w Wielkopolsce. Było to stare gniazdo polskiej arystokracji. Majątek należał niegdyś do Jana Henryka Dąbrowskiego.

Mańkowska mieszkała w pałacu z mężem Andrzejem i dwoma synkami. I całym legionem ogrodników, nianiek i stangretów. Opisy wspaniałego przedwojennego życia arystokracji urzekają. Poranne przejażdżki na

FOT. MATERIAŁY WYDAWCY

eprasa.pl e73e707b89

Dahomanie – koniu czystej krwi arabskiej – polowania, bale.

Wybuch wojny położył kres temu światu. Andrzej został zmobilizowany do polskiej armii. A w pałacu rozlokowali się Niemcy. Szczęście w nieszczęściu nie były to gestapo, SS ani inna narodowosocjalistyczna swołocz. Pałac został zajęty przez kwatermistrzostwo jednej z dywizji Wehrmachtu.

Przybyli do Winnogóry oficerowie byli w większości arystokratami, z „von" przed nazwiskami. Ludźmi wywodzącymi się z tej samej sfery co Mańkowska. A co za tym idzie – szybko znaleźli wspólny język z hrabiną (rozmawiali oczywiście po francusku) i pozwolili jej zostać w pałacu. Podkreślali przy tym, że gardzą parweniuszem Hitlerem.

Hrabina tymczasem ruszyła na poszukiwania swojego męża, który zaginął podczas kampanii. Co ciekawe, pojechała na te poszukiwania w eleganckim kabriolecie z szoferem, w asyście dwóch niemieckich oficerów.

Wkrótce udało się jej odnaleźć męża. Okazało się, że Andrzej został ciężko ranny. I to w tragicznych okolicznościach. Nie został bowiem zaatakowany przez nieprzyjaciela, ale przez swoich rodaków.

Przechadzał się po alejce parkowej – pisze Mańkowska. – Nagle wydało mu się, że słyszy jęki i krzyki. Podszedł do miejsca, skąd dochodziły te odgłosy, i z przerażeniem zobaczył nieoczekiwaną scenę: na ziemi leżał ciężko ranny oficer niemiecki, a jakiś polski podporucznik z czterema żołnierzami pluli mu w twarz i okładali go kolbami karabinów. Krew tryskała na wszystkie strony. Andrzej, jako starszy stopniem, natychmiast wydał rozkaz, aby zaprzestali bicia jeńca.

Żołnierze rzucili się na Andrzeja, oskarżając go o to, że jest zdrajcą. Oficer trzy razy strzelił z rewolweru do Andrzeja i nakazał żołnierzom:

– A teraz dobrze mu przyłóżcie!

Były to ostatnie słowa, jakie usłyszał. Nikt nie potrafił mu powiedzieć, jak długo tam leżał. Prawdopodobnie znalazł go nieprzytomnego personel medyczny, zabrał do szpitalika i zajął się nim, jak umiał.

Szlachetna postawa Andrzeja wobec pokonanego wroga i sprzeciw wobec bestialskiego linczu zaskarbiły Mańkowskim wdzięczność niemieckich oficerów. Hrabinie udało się wydostać rannego męża z niewoli, a stosunki z arystokratami z Wehrmachtu układały się znakomicie.

Niestety, wkrótce hrabina mogła zobaczyć drugie, paskudne oblicze Niemców. Gestapo i SS prowadziły w Wielkopolsce zaciekłą kampanię germanizacyjną. Na celowniku zbrodniczych instytucji znalazły się polskie elity, na czele z ziemiaństwem. Pałac w Winnogórze był oczywiście łakomym kąskiem dla narodowosocjalistycznych zbirów.

Mańkowscy zostali wywłaszczeni. Z pałacu eksmitowali ich esesmani z trupimi główkami na kołnierzach i automatami w rękach. Gdy Niemcy pakowali rodzinę do samochodu, na dziedzińcu zebrali się okoliczni chłopi. Ze łzami w oczach żegnali hrabiego i hrabinę. Na zawsze.

Pałac Mańkowskich, poprzednio Jana Henryka Dąbrowskiego w Winnogórze FOT. MATERIAŁY WYDAWCY

Mańkowscy – wraz z innymi Polakami – zostali deportowani w wagonie bydlęcym do Generalnego Gubernatorstwa. I tu zaczyna się szpiegowski wątek książki.

Muszkieterowie

W Warszawie – podobnie jak kilka innych arystokratek – Mańkowska nawiązała kontakt z legendarną podziemną organizacją Muszkieterowie, dowodzoną przez Stefana Witkowskiego. Wkrótce została przyjęta w poczet jej członków i zaangażowała się w konspirację.

W warszawskim mieszkaniu, które zajmowała, bywali wysocy rangą przedstawiciele różnych organizacji podziemnych. Jednocześnie Mańkowska utrzymywała kontakty z oficerami Wehrmachtu poznanymi w Winnogórze. Prowadziło to do komicznych sytuacji.

Pewnego dnia u Mańkowskiej przy herbatce odbyła się pogawędka między rtm. von Nickisch-Rosenegkiem z Wehrmachtu a płk. Tadeuszem Borem-Komorowskim z ZWZ. Tymczasem za ścianą, w drugim pokoju, Witkowski z innymi Muszkieterami fałszowali niemieckie dokumenty.

Jakby tego było mało, jeden z synków hrabiny wdrapał się na kolana niemieckiego rotmistrza. Założył na głowę niemiecką czapkę i – ku uciesze zebranych – odśpiewał z przejęciem „Mazurek Dąbrowskiego".

To właśnie kontakty Mańkowskiej z Niemcami – w oczach Witkowskiego – uczyniły ją tak znakomitą kandydatką na szpiega. Zadaniem hrabiny było oczywiście wykradanie niemieckich dokumentów. I wyciąganie od oficerów Wehrmachtu wojennych sekretów.

To ostatnie nie było trudne, bo – co tu dużo pisać – niemieccy wojskowi jeden po drugim zakochiwali się po uszy w olśniewającej Polce. Karty wspomnień Mańkowskiej pełne są majorów, pułkowników i generałów Wehrmachtu, którzy całkowicie tracili dla niej głowy.

Gra uległa przyspieszeniu, gdy Mańkowska – dzięki pomocy Niemców i Włochów – opuściła Generalne Gubernatorstwo. Rozpoczęła się niesamowita

eprasa.pl e73e707b89

epopeja polskiej agentki. Była we Włoszech, Francji (gdzie Andrzejowi wyciągnięto rewolwerowe kule) i w Niemczech.

We Francji zamieszkała na wyspie Noirmoutier, gdzie pracowała w niemieckim urzędzie jako tłumaczka. Oczywiście z miejsca owinęła sobie wokół palca miejscowych Niemców. Swoje sukcesy – jak sama przyznawała – zawdzięczała „blond warkoczom, niebieskim oczom i karnacji jak u nordyckiej bogini w krainie, w której dziewczęta są brunetkami z czarnymi oczami".

Oszołomionym jej urodą i wdziękiem Niemcom bez trudu wykradała ważne pieczątki i wzory dokumentów. Nie miejsce tu, żeby opisywać wszystkie niesamowite przygody hrabiny – zainteresowanych odsyłam do książki. Wystarczy napisać, że udało się jej cało wyjść z niejednej opresji. Nawet z gestapowskiego więzienia.

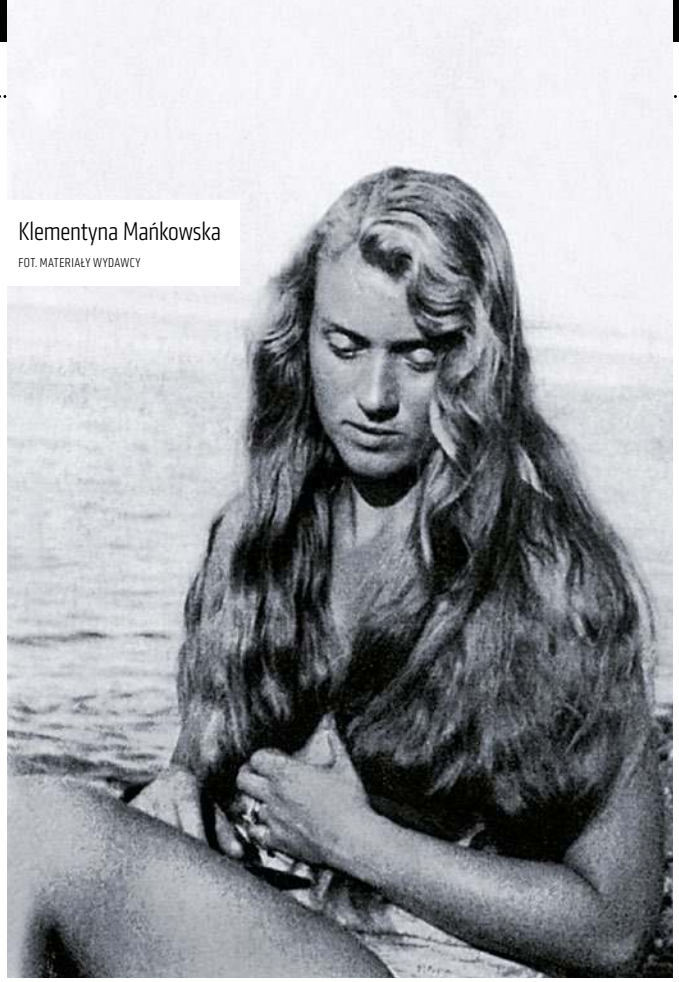

Klementyna Mańkowska

FOT. MATERIAŁY WYDAWCY

Więzienie! – pisała. – Jakkolwiek by się to mogło wydać dziwaczne, wydarzenie raczej mnie bawiło, a przede wszystkim intrygowało. Szybko obejrzałam celę. Żelazne łóżko z siennikiem i szarym kocem, po przeciwnej stronie przy ścianie stolik i taboret. To było wszystko. Nim strażnik zamknął drzwi, zatrzymałam go na chwilę.

– Proszę pana – spytałam grzecznie – czy zechciałby pan przynieść mi prześcieradło, drugi koc, a także dużą miskę i dzbanek wody?

Stał przy drzwiach i patrzył na mnie tak, jakby nie słyszał lub nie zrozumiał. Powtórzyłam prośbę, tym razem już tonem rozkazującym.

– Sofort – powiedział, trzaskając obcasami, i wyszedł, nie zamykając drzwi na klucz.

Tymczasem na stoliku rozłożyłam ładną serwetkę, lusterko, szczotki do włosów i grzebień oraz cztery słoiczki [kosmetyków] Elizabeth Arden.

Żołnierz wrócił obładowany tym, o co prosiłam, a ponadto z poduszką.

Stanął z otwartymi ustami. W pięknym białym szlafroku siedziałam przy stoliku i szczotkowałam swoje długie blond włosy. Dla strażnika więziennego musiał to być niecodzienny widok. Nie ośmielił się przekroczyć progu celi.

– Proszę wejść – powiedziałam – i położyć wszystko na łóżku. Sama sobie pościelę.

Nie muszę chyba dodawać, że od tej pory niemieccy strażnicy – którzy na co dzień darli się na więźniów i prali ich po pyskach – potulnie spełniali wszystkie życzenia polskiej hrabiny. Wystarczyło kiwnąć paluszkiem…

Kolacja z Canarisem

Po wyjściu z więzienia hrabina wróciła do pracy na swojej wyspie. Niemcy w czerwcu 1941 r. pozwolili jej nawet na urlop w Generalnym Gubernatorstwie. Po drodze, w Berlinie, Mańkowska była przyjmowana na obiadach przez znajomych z kręgów dyplomatycznych, wojskowych i ziemiańskich.

Jeden z niemieckich przyjaciół – stary pułkownik von Hoepfner – wyjawił jej najściślej strzeżoną tajemnicę:

– Gdybym mógł pani coś radzić – powiedział oficer – to proponowałbym tymczasem nie zapędzać się na wschodnie ziemie Polski. Pojutrze zaatakujemy Związek Sowiecki i spodziewamy się skończyć tę kampanię przed zimą, żeby się nie znaleźć w sytuacji Napoleona. Polska stanie się terenem przemarszu wszystkich naszych armii.

– Wierzy pan w takie szybkie zwycięstwo?

– Nie, wcale nie wierzę – odparł pułkownik. – Mam jedynie nadzieję. Gdyby Hitler w 1939 roku zawarł pakt z Polską i razem z Polakami zaatakował Związek Sowiecki, to byłoby łatwiej. Teraz sytuacja jest zupełnie inna. Reżim terroru i wyczyny jego ukochanego gestapo zwróciły przeciwko niemu cały świat. My, prawdziwi wojskowi, też jesteśmy przeciwko niemu. Ale co możemy zrobić? Próbuje się spiskować, przygotowuje się zamachy, ale za każdym razem to się nie udaje. I nasze głowy spadają. Jest to diabelski reżim. Ale nie mówmy o tym, to jest zbyt smutne i bardzo nas przytłacza.

Oficerowie Abwehry oczywiście zastanawiali się, czy polska hrabina nie prowadzi podwójnej gry. Świadczyć o tym może kapitalna charakterystyka Mańkowskiej sporządzona przez wywiad wojskowy: „Albo bardzo inteligentna i bardzo niebezpieczna, albo bardzo kobieca i naiwna".

Mimo wątpliwości Abwehra uznała, że gra jest warta ryzyka, i zwerbowała Mańkowską na agentkę. W zamian za współpracę obiecano jej odzyskanie pałacu w Winnogórze. Hrabina w swoich wspomnieniach napisała, że współpracę podjęła za wiedzą Muszkieterów, którzy chcieli mieć swoją wtyczkę w służbie przeciwnika.

Abwehra tymczasem wiązała z Mańkowską ambitne plany. Niemcy wiedzieli o jej szerokich kontaktach i koneksjach wśród polskich polityków i generalicji. Postanowili więc… wysłać ją do Londynu. Tam, za pośrednictwem polskich emigrantów, miała dotrzeć do brytyjskich kół rządowych.

Misja hrabiny okazała się specyficzna i – delikatnie mówiąc – nie do końca zbieżna z linią partii rządzącej w III Rzeszy. O zadaniu poinformował ją niejaki „komandor von Bonin".

Podziwiam pani odwagę, zimną krew i fantazję – powiedział. – Nie mamy najmniejszych złudzeń co do wyniku tej wojny. Szaleniec, który kieruje naszym narodem, prowadzi nas wprost do wielkiej katastrofy. Wszyscy, którzy mają poczucie honoru

KLEMETYNA MAŃKOWSKA
„MOJA MISJA WOJENNA"
REBIS

eprasa.pl e73e707b89

i sprawiedliwości, są jednak bezradni wobec tej demonicznej siły. I jeszcze jedno: po przybyciu do Anglii proszę nie podejmować żadnej działalności dla nas. Proszę wytłumaczyć Anglikom i innym aliantom, że nie wszyscy jesteśmy bezwzględni i brutalni, że są w naszym kraju ludzie uczciwi, którym bliskie są humanitarne odczucia, i większość z nich odnosi się z dezaprobatą do działań gestapo, SS i tej całej partii. Będzie to zatem ważna misja, bo dotycząca narodów pozostających obecnie ze sobą w stanie wojny. Życzę pani powodzenia i niech panią Bóg błogosławi.

Dopiero po wojnie Mańkowska zorientowała się, że „komandor von Bonin" nie był tym, za kogo się podawał. W rzeczywistości rozmawiała z samym adm. Wilhelmem Canarisem, legendarnym szefem Abwehry.

Wygląda na to, że Mańkowska została wykorzystana do jednej z prób nawiązania kontaktu między konserwatywnymi, nastawionymi opozycyjnie wobec narodowego socjalizmu oficerami Wehrmachtu a Brytyjczykami. Chodziło oczywiście o obalenie Hitlera. A następnie zawarcie sojuszu między mocarstwami Zachodu (Niemcy i Anglosasi) przeciwko Sowietom.

Warto przy tym wspomnieć o pewnej okoliczności, która zapewne sprawiała, że opozycyjni oficerowie Wehrmachtu znajdowali z polską hrabiną wspólny język. Otóż Mańkowska była nastawiona zdecydowanie antysowiecko.

Jej ojciec został zamordowany przez bolszewików w ramach zbrodni katyńskiej. Jej rodzinny pałac w Galicji został zdewastowany, a matka i brat przeszli gehennę pod sowiecką okupacją. Mańkowska – wywołując tym zgorszenie francuskich znajomych – opowiadała wszem wobec o barbarzyństwach bolszewików we wschodniej Polsce.

Wróćmy jednak do Canarisa. Admirał poprosił hrabinę, aby zorganizowała kolację, na której spotkało się grono niemieckich oficerów wyższego stopnia. Kucharz hrabiny (biały Rosjanin) spisał się znakomicie. Podał „bulion mediolański, tarteletki z krewetkami, bażanta faszerowanego z orzechami, ziemniaki panierowane, talerz serów i omlet norweski". Do tego znakomite wina.

Podczas kolacji oficerowie otwarcie wypowiadali się przeciwko Hitlerowi i jego obłędnej, rasistowskiej polityce wschodniej, która spychała Niemcy – a wraz z nimi Polskę i połowę Europy – w otchłań czerwonego piekła.

Misja w Londynie

Mańkowska została przeszkolona przez Niemców, jak posługiwać się szyframi i atramentem sympatycznym. A następnie przerzucona z okupowanej Francji do neutralnej Lizbony. Tam udała się do konsulatu brytyjskiego, gdzie rozegrała się komiczna scena.

Rozmawiając z oficerem wywiadu, Mańkowska nagle wstała, podniosła spódnicę i zdjęła halkę. Anglik z wrażenia zaniemówił. Okazało się, że dzielna hrabina przewiozła przez całą Europę zaszyte w halce raporty Muszkieterów! A więc pod samym nosem Niemców wykonała misję dla polskiej organizacji wywiadowczej.

Brytyjczycy byli zachwyceni zjawieniem się polskiej superagentki. Natychmiast zorganizowali jej przerzut do Londynu. Tam sfabrykowali jej aresztowanie na lotnisku. Hrabina trafiła do słynnej Patriotic School, czyli ośrodka, w którym brytyjski kontrwywiad filtrował „podejrzane persony". Nastąpiły długie dni przesłuchań.

Anglicy upewnili się, że Mańkowska mówi prawdę, i wypuścili ją na wolność. Gorzej z kochanymi rodakami! Polska hrabina znalazła się w samym centrum zaciętych intryg i rozgrywek między koteriami polskiego Londynu.

„Czynniki oficjalne" w zajadły sposób zwalczały Muszkieterów, którzy utrzymywali bezpośrednie kontakty z Anglikami.

Sukcesy Stefana Witkowskiego wywoływały zazdrość polskiego wywiadu. A jego niezależność – irytację. Według Mańkowskiej walka ze znienawidzonym „wrogiem wewnętrznym" dla części polskich oficerów była większą namiętnością niż sama wojna. Skąd my to znamy!

Cała ta historia skończyła się tragicznie. Szef Muszkieterów 18 września 1942 r. został w Warszawie zastrzelony z rozkazu dowódcy AK Stefana Grota-Roweckiego. Mało brakowało, a los ten spotkałby również Mańkowską. Generał Kazimierz Sosnkowski ostrzegł ją, że może paść ofiarą zamachu. Hrabina opuściła Londyn.

Mańkowska do końca wojny pracowała w polskim szpitalu w Edynburgu. „Luty 1945 roku. Wszystko się wali!!! Jałta! Przeklęta nazwa – pisała wzburzona. – Zostawiają nas pod butem Stalina?". Do okupowanej przez bolszewików Polski oczywiście nie było powrotu.

Mańkowska trafiła do Konga, gdzie przez kilka lat pracowała w konsulacie USA. Potem osiedliła się we Francji. Brytyjczycy docenili zasługi polskiej arystokratki. Uznali, że żadna osoba w trakcie wojny nie przywiozła do Londynu tak cennych informacji wywiadowczych z Europy. W geście wdzięczności postanowili przyznać jej Krzyż Jerzego.

Nadanie orderu zostało jednak zablokowane przez… gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego, byłego szefa AK. Mańkowska musiała zadowolić się polskim Krzyżem Zasługi z Mieczami. Trudno o lepszą puentę.

Wilhelm Canaris, szef Abwehry

FOT. WIKIMEDIA COMMMONS

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e73e707b89

Demonstracja w obronie Andżeliki Borys i Andrzeja Poczobuta, Sopot 2021 r. FOT. ADAM WARŻAWA/PAP

2005 r. / ZPB w walce o demokrację i polskość

Dwa związki Polaków na Białorusi

Niedługo miną dwa lata od momentu, kiedy pod zarzutem szerzenia nienawiści na tle narodowościowym aresztowano Andżelikę Borys, przewodniczącą Związku Polaków Białorusi, oraz Andrzeja Poczobuta, członka Rady Naczelnej Związku. Po roku przetrzymywania za kratami Andżelice Borys zamieniono więzienie na areszt domowy, Poczobut jednak nadal przebywa w więzieniu.

Mikołaj Iwanow

Andżelikę Borys poparli ci, dla których przyszłość polskości za Bugiem była nie tylko sprawą honorową, lecz także istotą ich życia

Polaków zrzeszonych w Związku pod przewodnictwem Anżeliki Borys uznano za swoistą piątą kolumnę, a ich kierownictwo oficjalna propaganda reżimu

eprasa.pl e73e707b89

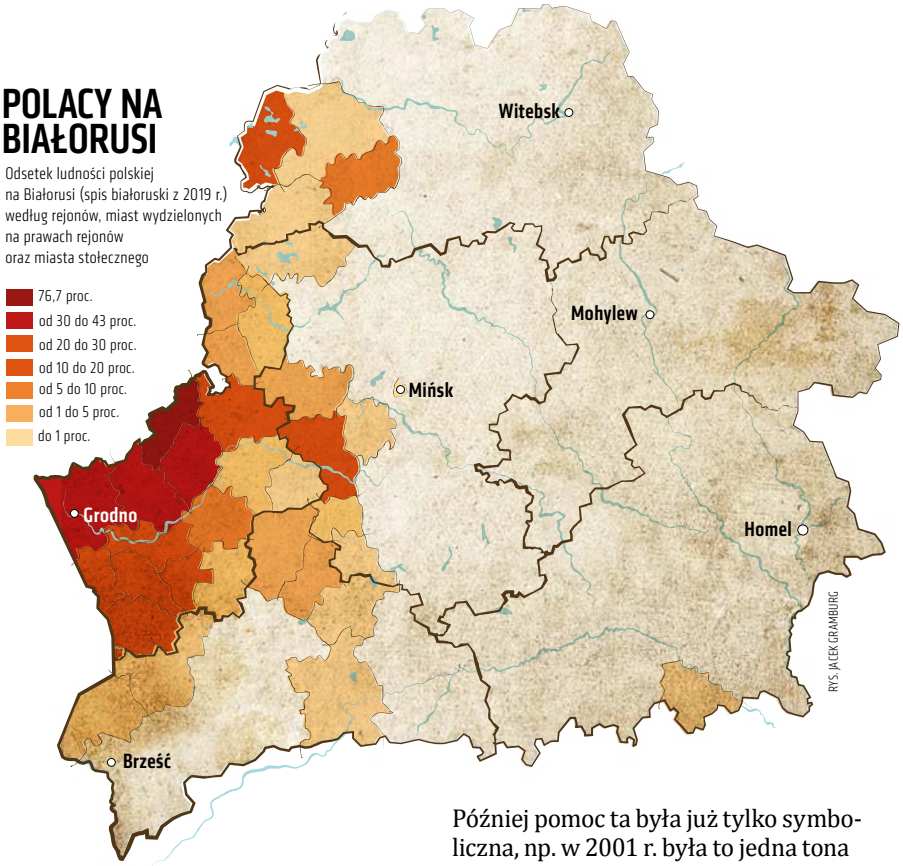

Łukaszenkowskiego uznała za zdrajców ojczyzny.

Na Białorusi od ponad 10 lat istnieją dwa Związki Polaków: jeden oficjalny, lojalny wobec Łukaszenki, i drugi popierany przez władze Rzeczypospolitej Polskiej. Kto (i co) spowodował rozłam w najliczniejszym środowisku polskim na terenie byłego Związku Sowieckiego?

Rozłam

Rozłam nastąpił w marcu 2005 r. na VI zjeździe ZPB. Dojrzewał w ciągu wielu lat, kiedy białoruska demokracja doznawała jednej porażki za drugą w konfrontacji z autorytaryzmem. Na zjeździe konfrontację tę wywołali ci, którzy – jak dotychczasowy prezes Związku Tadeusz Kruczkowski – przedkładali lojalność wobec władz białoruskich nad wiernością idei polskiego odrodzenia na Wschodzie.

Według Kruczkowskiego mieszanie się Związku do spraw politycznych spowodowało zaprzestanie jakiejkolwiek pomocy ze strony państwa białoruskiego dla ZPB. Związek otrzymywał dofinansowanie tylko do przełomu lat 1998 i 1999. Później pomoc ta była już tylko symboliczna, np. w 2001 r. była to jedna tona papieru (wystarczyła do wydrukowania dwóch numerów „Głosu znad Niemna"), w 2003 r. była to pomoc w wysokości 700 dol. Warunkiem wznowienia pomocy państwowej według Kruczkowskiego było przekształcenie tej organizacji w stowarzyszenie o charakterze wyłącznie kulturalnym.

Spotkało się to z negatywną reakcją większości delegatów zjazdu, którzy poparli idee działalności ZPB jako obrońcy wszystkich żywotnych interesów Polaków: prawa do udziału w życiu politycznym, prawa do szkolnictwa w języku polskim i innych praw mniejszości narodowej, zagwarantowanej w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka ONZ.

Punktem zapalnym stało się odczytanie odezwy wiceprzewodniczącego ZPB Jozefa Porzeckiego, przebywającego w tym czasie w areszcie za rzekome przestępstwo pospolite przeciwko porządkowi publicznemu. „Zwracam się do uczestników zjazdu, by w trakcie głosowania na nowego prezesa ZG ZPB obdarzyli zaufaniem Andżelikę Borys". Odezwę zdecydowana większość obecnych na sali delegatów i gości przyjęła długimi oklaskami.

Andżelika Borys, wbrew dominującej tendencji, po studiach wyższych w Polsce wróciła do Grodna, aby kontynuować walkę o przyszłość polskości kresowej. Wystąpienie na zjeździe rozpoczęła od oświadczenia, że dla niej przyszłość sprawy polskiej na Białorusi będzie sprawą nadrzędną, że nie oszczędzi wysiłków, aby Polacy na byłych północno-wschodnich kresach Rzeczypospolitej nigdy nie czuli się obywatelami drugiej kategorii. Andżelikę Borys jako przyszłego prezesa ZPB popierali ci, dla których przyszłość polskości za Bugiem była nie tylko sprawą honorową, lecz także istotą ich życia.

Andżelika Borys stwierdziła, że „nie ma żadnego zamiaru wciągania Związku w jakąkolwiek działalność polityczną". Jej nadrzędnym celem będzie „działanie w ramach statutu ZPB, skierowane przede wszystkim na odrodzenie i rozwój szkolnictwa polskiego na Białorusi łącznie z budową kolejnych szkół polskich, reaktywowanie nieocenzurowanej działalności kulturalnej i poprawienie wizerunku związku w oczach społeczeństwa białoruskiego, [...] oraz zjednoczenie wszystkich środowisk polskich zrzeszonych w ZPB na rzecz autentycznego odrodzenia polskości na Białorusi".

Zaproponowała szerszą współpracę ze Stowarzyszeniem Wspólnota Polska, licznymi fundacjami z Polski, Senatem Rzeczypospolitej.

W wyniku demokratycznego głosowania Andżelika Borys otrzymała 152 głosy za i 122 głosy przeciw. Tadeusz Kruczkowski – 116 głosów za, 158 głosów przeciw. VI Zjazd ZPB mimo bezprecedensowych nacisków ze strony władz i burzliwej atmosfery obrad zakończył się triumfem opcji demokratycznej, triumfem programu odrodzenia pełnowartościowego życia polskiej mniejszości narodowej na Białorusi. Stworzono podwaliny pod nowy etap działalności Związku.

Kontra Łukaszenki

Tak się jednak nie stało. Władze białoruskie postanowiły nie dopuścić do przejęcia kontroli przez obóz demokratyczny nad największą społeczną organizacją Białorusi. Prasa oficjalna zamieściła nieprawdziwą relację ze zjazdu, opatrzoną ironicznymi tytułami oraz informacjami przedstawiającymi obóz Andżeliki Borys jako uzurpatorów władzy w ZPB.

Oskarżono polskie placówki dyplomatyczne i konsularne na Białorusi

eprasa.pl e73e707b89

o „mieszanie się w wewnętrzne sprawy Białorusi". Jak zwykle na plan pierwszy wystąpiła oficjalna telewizja białoruska. Jej codzienny program „Panorama" w tendencyjny sposób przedstawił VI Zjazd ZPB i stało się jasne, że władze nie pogodzą się z jego wynikami. Nikt z oficjalnych przedstawicieli władz nie złożył gratulacji nowo wybranej pani prezes. Był to również znak, że władze nie pogodzą się z przegraną Tadeusza Kruczkowskiego.

Fakty potwierdzają, że Andżelika Borys uzyskała stanowisko prezesa ZPB w wolnych i demokratycznych wyborach. Jej wybór stanowił logiczną konsekwencję panujących w polskim społeczeństwie na Białorusi nastrojów prodemokratycznych i dążenia Polaków do integracji europejskiej. Był to wybór między demokracją i autokratyzmem, tym bardziej wymowny, że dokonano go wbrew naciskom władz. Wśród delegatów zwyciężyło poczucie odpowiedzialności za przyszłość Związku.

Władze Białorusi potraktowały sprawę wyboru nowych władz Związku Polaków Białorusi jako sprawę najwyższej wagi państwowej. Głos na ten temat zabrał sam prezydent Aleksander Łukaszenka: „Chciałbym ostrzec – nie potraktujcie tego jako groźby – ambasadę Polski. Wiemy, co się dzieje w waszej ambasadzie, i znamy Waszą pracę. Nie myślcie, że mieszkający w Białorusi Polacy nie są obywatelami Białorusi. To są nasi obywatele. My nikomu nie damy ich skrzywdzić i zawracać głowy też im nie będziecie".

Przemówienie prezydenta podzieliło społeczeństwo polskie Białorusi. Większość poparła nowo wybrane władze związku, natomiast niektórzy działacze już w okresie poprzedzającym wypowiedź Aleksandra Łukaszenki przestali kontaktować się z Andżeliką Borys, przychodzić do Związku, część pracowników etatowych redakcji „Głosu znad Niemna" i księgowości związanych z Tadeuszem Kruczkowskim i osobami go popierającymi odmawiała posłuszeństwa nowej prezes ZPB. Do końca kwietnia 2005 r. władze białoruskie, a także działacze Związku z nimi związani próbowali naciskać na Andżelikę Borys, by zmusić ją do dobrowolnej rezygnacji i uznania zjazdu za przeprowadzony z naruszeniem statutu i prawa białoruskiego. Dążono do unieważnienia zjazdu i jego decyzji jej rękami. Żądano powrotu wcześniej odwołanego redaktora naczelnego „Głosu znad Niemna" Andrzeja Dubikowskiego.

Po zjedzie nowo wybrana Rada Naczelna ZPB zgodnie ze statutem organizacji powołała na stanowisko redaktora naczelnego „Głosu znad Niemna" Andrzeja Pisalnika. Jednak poprzedni redaktor naczelny Andrzej Dubikowski swoje odwołanie zaskarżył do sądu rejonowego w Grodnie, który przywrócił go na stanowisko. Decyzji nie przeszkodził fakt, że została wydana wbrew zapisowi statutu, że redaktorów naczelnych związkowych pism „Głos z nad Niemna" i „Magazyn Polski" powołuje i odwołuje wyłącznie Rada Naczelna ZPB. Było to jeszcze jedno świadectwo, że władze nie zatrzymają się przed niczym, aby przywrócić ścisłą kontrolę nad ZPB.

6 maja 2005 r. nowo wybrany Zarząd Główny ZPB wydał oświadczenie, w którym czytamy: „W naszej opinii potwierdzenie przez wyższe instancje sądowe wspomnianej decyzji będzie oznaczać otwartą ingerencję państwa białoruskiego w wewnętrzne sprawy organizacji mniejszości polskiej, jaką jest ZPB. W konsekwencji takie praktyki mogą doprowadzić do pełnej kontroli działalności organizacji i sterowania nią przez władze". Aby zaprotestować przeciwko działaniom władz, specjalną konferencję prasową zwołała nowo wybrana prezes Andżelika Borys. Poinformowała opinię publiczną w kraju i za granicą o represjach i atakach ze strony władz białoruskich, które nasiliły się po marcowym zjeździe, o zastraszeniu i pogróżkach telefonicznych, o próbach dyskredytowania działaczy za pomocą oszczerstw i obelg.

Mimo licznych protestów obozu demokratycznego na Białorusi 12 maja 2005 r. Ministerstwo Sprawiedliwości RB unieważniło VI zjazd ZPB i uznało za nielegalne wszystkie jego decyzję. Jako uzasadnienie podobnej decyzji podano liczne fakty rzekomych rażących naruszeń Statutu Związku Polaków Białorusi w trakcie przygotowań i przeprowadzenia zjazdu, wymieniono fakty świadczące o rzekomej „niedemokratyczności zjazdu". Oznaczało to, że nowo wybrane kierownictwo Związku musi ustąpić, a na stanowisko prezesa powróci Tadeusz Kruczkowski.

Zwołana w trybie nadzwyczajnym Rada Naczelna ZPB potępiła decyzję ministerstwa i stanowczo zaprotestowała przeciwko idei powtórzenia zjazdu. „Rada Naczelna ZPB – czytamy w tym oświadczeniu – uważa, że Ministerstwo Sprawiedliwości nadużyło swych uprawnień i wtargnęło w działalność organizacji społecznej, [...] Rada uważa decyzję Ministerstwa Sprawiedliwości za decyzję polityczną, gwałcącą prawa mniejszości narodowych Republiki Białoruś i poniżającą godność narodową Polaków na Białorusi...".

Fala represji

Walka o przyszłość Związku była jednak nierówna. Zmasowany atak na ZPB przypuściły środki masowego przekazu, znajdujące się pod kontrolą władz. Telewizja białoruska pokazała kilka wyraźnie oszczerczych filmów na temat polskiego życia kresowego na Białorusi. Poniżano i wysyłano fałszywe oskarżenia pod adresem konkretnych osób.

Prezes ZPB Andżelika Borys zmuszona była w oficjalnym piśmie do przewodniczącego KGB zaprotestować przeciw „bezpodstawnym represjom" i „prześladowaniu Polaków". Szczególnie aktywny okazał się KGB w Brześciu, gdzie żyje o wiele mniej Polaków niż w Grodnie.

Prezes brzeskiego obwodowego oddziału Związku, Alina Jaroszewicz – uznana przez władze za jedną z „pięciu najgroźniejszych osób" w kierownictwie ZPB – była przez cztery godziny przesłuchiwana w KGB. Grożono jej więzieniem, jeśli nie zrezygnuje z kierowania oddziałem. Oddział brzeski ZPB został sparaliżowany. Przerwana została działalność Polskiego Klubu i Polskiej Szkoły Społecznej. Władze dążyły do zlikwidowania terenowych komórek Związku w Lachowiczach, Wysokim i Kamieńcu.

3 lipca do Domu Polskiego w Szczuczynie, gdzie miał odbyć się koncert z okazji Święta Niepodległości Białorusi, nie wpuszczono prezes Andżeliki Borys, konsula Rzeczypospolitej Andrzeja Krzętowskiego i członków ZPB. O mieszanie się w wewnętrzne sprawy Republiki Białoruś oskarżono dyplomatów polskich. 15 lipca Ministerstwo Spraw Zagranicznych Białorusi powiadomiło ambasadę polską w Mińsku o konieczności opuszczenia kraju do 21 lipca przez konsula Andrzeja Buczaka. Wcześniej Białoruskie MSZ poprosiło o opuszczenie kraju pierwszego sekretarza Ambasady – Marka Bućkę.

eprasa.pl e73e707b89

Siedziba Związku Polaków na Białorusi w Grodnie

FOT. SAMOTNY WĘDROWIEC/WIKIPEDIA/CC BY-SA 4.0

Prokuratura białoruska systematycznie wzywała prezes Andżelikę Borys i skłaniała ją do podporządkowania się decyzji Ministerstwa Sprawiedliwości o unieważnieniu zjazdu. 22 lipca przedstawiciel Prokuratury Rejonowej w Grodnie pojawił się w siedzibie ZG ZPB i udzielił ostrzeżenia szefowej ZPB, grożąc jej odpowiedzialnością karną, jeśli będzie przeszkadzać władzom w zwołaniu RN ZPB w Szczuczynie.

Walka ze Związkiem nabierała większego rozmachu. Do jej aktywnego prowadzenia kolejny raz włączyło się białoruskie MSZ, które 22 lipca w opublikowanym na stronie internetowej oświadczeniu napisało m.in.: „Mimo utrzymującej się w Polsce histerii sytuacja wokół tej białoruskiej organizacji społecznej zostanie rozwiązana zgodnie z ustawodawstwem Republiki Białoruś. Próby wpływania na to z zewnątrz będą traktowane jak ingerencja w sprawy wewnętrzne suwerennego państwa". W oświadczeniu MSZ podkreślono, że strona białoruska wystąpiła z inicjatywą rozmów w kwestii uregulowania sytuacji i normalizacji stosunków, kierując się „jedynie dobrą wolą". Białoruskie MSZ pisze, że strona polska, „wbrew zawartym umowom", odpowiedziała na to wydaleniem kolejnego białoruskiego dyplomaty. Mińsk zapowiada w oświadczeniu adekwatne posunięcia.

Szef polskiej dyplomacji Adam Daniel Rotfeld, komentując decyzję Mińska o wydaleniu konsula Andrzeja Buczaka, powiedział, że w stosunkach polsko-białoruskich „nie ma problemów" – jego zdaniem „problemy są na Białorusi".

26 lipca 2005 r. zostali aresztowani na 10 dni Józef Porzecki i Mieczysław Jaśkiewicz, a Andrzej Poczobut na 15 dni. Andżelika Borys i Tadeusz Gawin zostali 27 lipca wezwani na kolejne przesłuchanie do prokuratury grodzieńskiej. 2 sierpnia na 15 dni aresztu skazano wieloletniego prezesa ZPB Tadeusza Gawina. Niedługo po tym areszt został przedłużony na kolejne 15 dni. 3 sierpnia na 15 dni został aresztowany Wiesław Kiewlak. 4 sierpnia został wsadzony do aresztu na 10 dni Andrzej Pisalnik, w aresztach dalej znajdowali się Józef Porzecki, Mieczysław Jaśkiewicz, Andrzej Poczobut. W tym samym czasie wielu innych działaczy zostało wezwanych przez prokuraturę na rozmowy ostrzegawcze. Andżelikę Borys bez przerwy nękały służby specjalne i prokuratura.

Ponowny VI Zjazd

Szykowano też wtedy przeprowadzenie tzw. alternatywnego, ponownego VI Zjazdu ZPB. KGB, MSW, prokuratury republikańskie, sądy, Ministerstwo Sprawiedliwości, Komitet ds. Religii i Narodowości, a także centralne i lokalne władze wykonawcze, wsparte przez republikańską i lokalną prasę, działały wspólnie w celu izolowania polskiej elity polityczno-społecznej na Białorusi. Zjazd ten odbył się 27 sierpnia w Wołkowysku. Udział w nim wzięli zwolennicy Tadeusza Kruczkowskiego, jak również liczni „reżimowi Polacy", których na zjazd skierowała administracja państwowa. Wśród delegatów byli i tacy, których zmuszono do udziału w zjeździe siłą, pogróżkami, a niekiedy i represjami.

Władze nie ośmieliły się ponownie postawić na Tadeusza Kruczkowskiego. Na nowego przewodniczącego ZPB wybrano Józefa Łucznika, człowieka mającego odpowiednie wpływy i niewątpliwie autorytet w środowisku polskim, jednego z pionierów polskiego odrodzenia na Białorusi. To właśnie on razem z Tadeuszem Gawinem w odległym 1988 r. zakładał na Grodzieńszczyźnie pierwsze polskie organizacje społeczne. Jego wybranie (raczej mianowanie przez władze) na stanowisko prezesa Związku oznaczało, że administracja białoruska gorączkowo poszukiwała wyjścia z impasu, przełamania izolacji grupy Tadeusza Kruczkowskiego w środowisku polskim.

Józef Łucznik jako prezes miał udowodnić również Polsce i Polakom po drugiej stronie Bugu, że w Związku Polaków Białorusi nastąpił nie rozłam, a zwyczajna rutynowa zmiana przewodniczącego, że związek nadal będzie aktywnie działał na niwie odrodzenia narodowego polskiego społeczeństwa kresowego. W rzeczywistości jednak zjazd w Wołkowysku i wybór Łucznika na przewodniczącego ZPB znamionowały początek głębokiego kryzysu w polskim środowisku na Białorusi, powstanie dwóch zwalczających się nawzajem związków, represje zarówno wobec zwolenników reform demokratycznych z obozu Andżeliki Borys, jak i obozu Józefa Łucznika.

Czternaście z osiemnastu Domów Polskich na terenie Republiki Białoruskiej przeszło pod kontrolę proreżimowego Związku Polaków. W późniejszych latach ZPB Anżeliki Borys odebrano wszystkie Domy Polskie. Poparcie ze strony władz spowodowało, że w rękach kierowanego przez Józefa Łucznika ZPB znalazły się obie szkoły polskie (w Grodnie i Wołkowysku), przeważająca większość innych polskich instytucji kultury i oświaty. Działacze Związku, nieuznawanego przez władze białoruskie, stale są represjonowani. Wielu niejednokrotnie zatrzymywano, aresztowano, skazywano na kilkudniowe kary więzienne, utrudniano przekroczenie granicy RB. Inni musieli pod naciskiem miejscowej administracji zwolnić się z dotychczasowej pracy lub odejść na emeryturę.

Podczas wydarzeń roku 2020, masowych protestów przeciwko dyktaturze Łukaszenki, w których aktywny udział wzięli Polacy, władze spróbowały ostatecznie rozprawić się z polskim niezależnym ruchem. Związek praktycznie zmuszony był zejść do podziemia, ale działa nadal. Żywotność polskości na kresach wynika stąd, że celem działalności Angeliki Borys i jej współpracowników okazały się nie dobra materialne, lecz ludzie, zwykli Polacy, dla których wierność ideałom polskości stanowi wartość nadrzędną.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e73e707b89

972 r. / Zwycięstwo Mieszka I nad Hodonem

Bitwa pod Cedynią

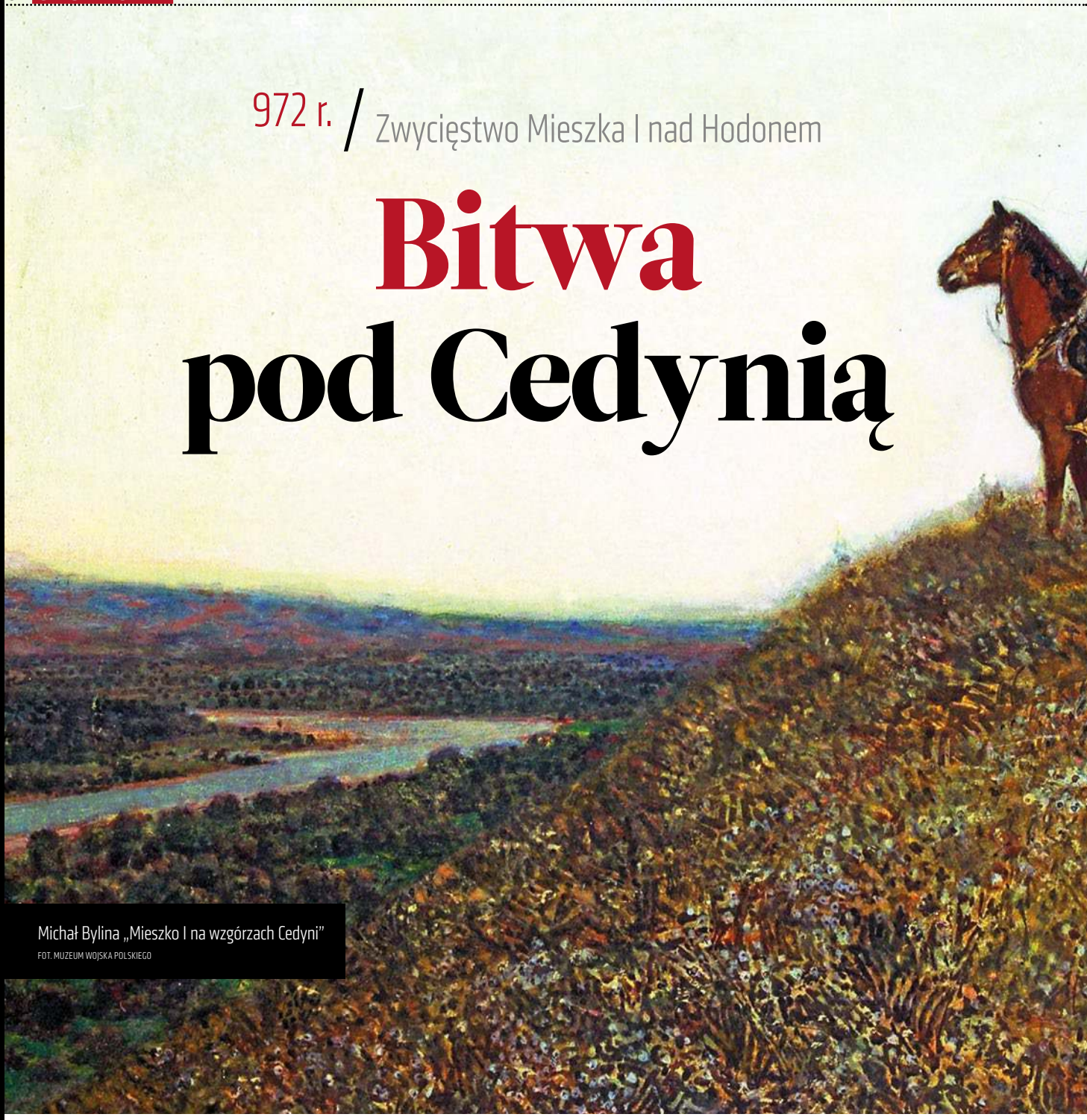

Michał Bylina „Mieszko I na wzgórzach Cedyni"
FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Leszek Lubicki

1050 lat temu doszło do pierwszej znanej bitwy Polaków z Niemcami

Działo to się dokładnie 1050 lat temu, siłą rzeczy więc jesteśmy skazani na niezwykle ubogie źródła historyczne. Niemniej jest to najstarsze, a przy tym najbardziej udokumentowane polsko-niemieckie starcie w dziejach naszego kraju. I od razu wygrane. Wspomniał o nim Brunon z Kwerfurtu, o tej bitwie przeczytamy także w saskiej kronice biskupa merseburskiego Thietmara. Ten pierwszy uczynił to w sposób dość zawoalowany, dlatego zacytujemy w naszej krótkiej opowieści tylko fragment, który mówi, że „Mieszko zwyciężył podstępem [a] wojowniczy margrabia Hodo z poszarpanymi chorągwiami

eprasa.pl e73e707b89

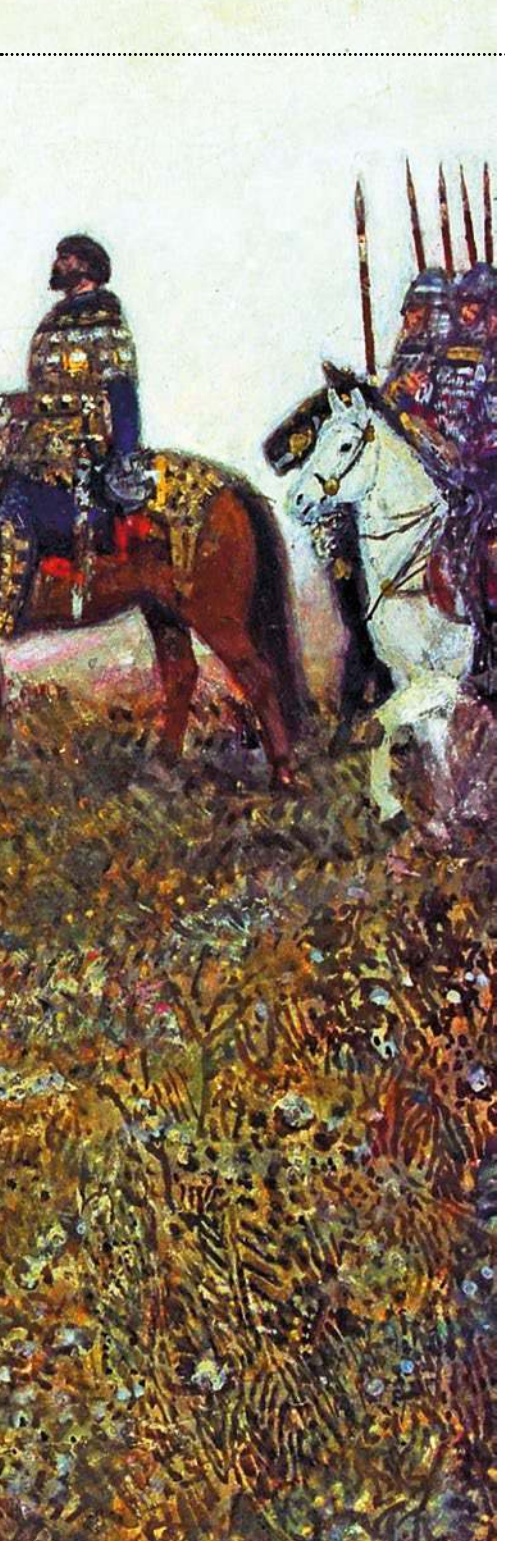

rzucił się do ucieczki". Do tego „podstępu" wrócimy w dalszej części opowieści, gdyż określenie to może być odczytane negatywnie (postępowanie niehonorowe) dla poczynań księcia Polan.

Bitwa pod Cedynią, bo o tym wydarzeniu mowa, miała miejsce zaledwie sześć lat po chrzcie Mieszka I. Państwo Polan znalazło się przez ten akt w kręgu cywilizacji zachodniej, a polski książę został tym samym „przyjacielem cesarza". Był nim wówczas król niemiecki z dynastii saskiej Otton I, który w roku 962 odnowił godność cesarza rzymskiego. Tym samym królowie niemieccy uzyskali najważniejszą pozycję pośród władców zachodniej i środkowej Europy. Ta formalna „przyjaźń" nie uchroniła jednak Polski od konfliktów ze wschodnioniemieckimi panami feudalnymi.

Próbował dwukrotnie skłócony z cesarzem Wichman. Za pierwszym razem wygrał. Wówczas zginął nieznany nam z imienia brat Mieszka. Ale już po chrzcie i sojuszu z Czechami i dzięki ich pomocy drugie jego starcie z Mieszkiem w 967 r. zakończyło się śmiercią Wichmana. Jednak do bitwy namówił on pogańskich Wolinian i starcia tego nie można uznać za polsko-niemieckie. Śmierć „krewniaka" cesarza nie zmąciła wówczas dobrych stosunków pomiędzy Mieszkiem a Ottonem.

Rusza Hodon

W roku 972, dokładnie 24 czerwca, doszło do zbrojnego starcia militarnego między państwem polańskim a margrabią Marchii Wschodniej Hodonem. Uznaje się, że jest to pierwsza znana ze źródeł bitwa Polaków z Niemcami. Ów Hodon to już nie awanturnik typu Wichmana. Wywodził się z wpływowego rodu. Był osobą bliską cesarzowi, a później nawet wychowawcą jego syna i przyszłego cesarza Ottona II. Zajrzyjmy zatem do kroniki Thietmara, który był o tej bitwie bardzo dobrze poinformowany choćby od swojego ojca, o którym w cytowanym poniżej fragmencie wspomina. Paweł Jasienica uważa, że „można przypuszczać, że wspomnienia ojcowskich przygód pod Cedzyną [tak ta nazwa także funkcjonowała – przyp. L.L.] od dzieciństwa budziły w nim niechęć i złość ku Polakom". Niewykluczone. Posłuchajmy zatem Thietmara:

„Tymczasem [w czasie pobytu cesarza Ottona I w Italii] dostojny margrabia Hodo, zebrawszy wojsko, napadł z nim na Mieszka, który był wierny cesarzowi i płacił trybut aż po rzekę Wartę. Na pomoc margrabiemu pospieszył wraz z swoimi [wojami] tylko mój ojciec graf Zygfryd, podówczas młodzieniec i jeszcze nieżonaty. Kiedy w dzień św. Jana Chrzciciela [24 czerwca] starli się z Mieszkiem, odnieśli zrazu zwycięstwo, lecz potem w miejscowości zwanej Cydynią [Cicini] brat jego Czcibor zadał im klęskę, kładąc trupem wszystkich najlepszych wojów, z wyjątkiem wspomnianych grafów. Cesarz poruszony do żywego tą wieścią, wysłał posłów, nakazując [obu], jeżeli chcą utrzymać się w jego łasce, aby zachowali pokój aż do czasu, gdy przybywszy, zbada przyczynę".

Skoro Mieszko I był w owym czasie „przyjacielem cesarza", to dlaczego jego podwładny napadł na Polskę? Do końca nie wiadomo, co było przyczyną tej bitwy. Nie wiadomo także, czy cesarz ją akceptował. Z zapisu kronikarza, jak zauważa Gerard Labuda, „tyle tylko można wywnioskować, że margrabia podjął ją na własną odpowiedzialność, bez wiedzy cesarza […]. Spontaniczne przyłączenie się komesa Zygfryda z Wahlbecku, bliskiego sąsiada margrabiego, i młodzieniaszka, wygląda także na jego imprezę prywatną". W komentarzu do kroniki Thietmara podane są natomiast cztery możliwe powody tej wyprawy wojennej, jakie funkcjonują w literaturze przedmiotu.

1. Wyprawa Hodona była osobistym przedsięwzięciem margrabiego;
2. Hodo wystąpił oficjalnie, by zapobiec tendencjom Mieszka I do wyemancypowania się spod przewagi niemieckiej;
3. Wyprawa Hodona łączyła się z terytorium trybutarnym Polski. Margrabia działał tu z tytułu nadzoru nad tym terytorium;
4. Wyprawa była uzgodniona z jego zwierzchnikiem, margrabią Teodorykiem, (który wysłał na nią swego grafa Zygfryda) i miała na celu zapobiec akcji zdobywczej Mieszka na Pomorzu Zachodnim, która

Polski hełm z X w.
FOT. WIKIPEDIA/MATHIAS REX

eprasa.pl e73e707b89

Pomnik na Górze Czcibora

FOT. JAN M/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0

zagrażała interesom Rzeszy niemieckiej.

Jerzy Strzelczyń, podsumowując powyższe rozważania o powodach ataku Hodona na Mieszka, tak widzi jego przyczynę i raczej do tych rozważań należy się przychylić. Uczony pisze: „Zdaje się, że akcję tę można określić dokładniej. Prawdopodobnie chodziło o Wolin i Wolinian. W 967 r. oni byli, wraz z Wichmanem, stroną aktywną. Pokonani wówczas przez Mieszka, musieli liczyć się z dążeniem władcy polańskiego do ostatecznego podboju ich terytorium, co zamykałoby proces wchłaniania Pomorza przez Piasta. Zapewne Wolinianie, mając uzasadnione obawy przed planowaną nową akcją polańską, zwrócili się do margrabiego Hodona o pomoc. Terytorium Wolinian było uważane przez stronę niemiecką za podległe cesarzowi albo, zagrożeni przez Mieszka I, obiecywali Wolinianie przyjąć zwierzchnictwo niemieckie".

W innym miejscu uczony mówi krótko, że „wyprawa prawdopodobnie była całkowicie prywatną inicjatywą podjętą przez Niemców, bez uzgodnienia z cesarzem". Hodon był przecież ważną postacią pośród saskich panów i nie musiał uzgadniać z cesarzem działań, które w rzeczywistości były podjęte w interesie Niemiec. Wydaje się także uzasadniony pogląd, że Hodon zrobił to dla osobistego zysku. Wolinianie obawiający się ekspansji na ich tereny Polan, a żyjący z handlu i będący bodaj najbardziej zamożną prowincją na Pomorzu mogli mu obiecać wiele dóbr w złocie, srebrze czy niewolnikach.

„Podstęp"

Z cytowanej wyżej kroniki Thietmara dowiedzieliśmy się już, że najeźdźcy zostali pokonani. Wiemy też, co napisał Brunon z Kwerfurtu: „Mieszko zwyciężył podstępem". Jakiż to „podstęp" zastosował w bitwie polański książę? Pisze Gerard Labuda: „Prawdopodobnie zastosował on podczas bitwy z Hodonem ten sam manewr, który skutecznie wypróbował już w walce z Wichmanem i Wolinianami w roku 967. A więc z częścią swoich wojsk zagrodził drogę zastępom Hodona na przeprawie nad brzegiem Odry, a następnie, cofając się, wciągnął je w zasadzkę, kiedy odwodowe oddziały księcia Czcibora z boku zaatakowały Niemców ścigających Mieszka". Mieszko I i brat jego Czcibor położyli zatem „trupem wszystkich najlepszych wojów". Uratowali się jednak Hodon i ojciec Thietmara, graf Zygrfryd. Zapewne nie była to jakaś wielka bitwa, gdzie po obydwu stronach stanęło tysiące wojów, ale zwycięstwo to zawsze zwycięstwo.

Gdy cesarz Otton I dowiedział się o tej bitwie, zabronił dalszych waśni i nakazał obu przeciwnikom stawić się przed swoim obliczem na zjazd w Kwedlinburgu. Thietmar pisze błędnie, że przybył tam także Mieszko. Wynik owego sądu też do końca nie jest znany, a być może wyrok zapadł już wcześniej. Cesarz najprawdopodobniej stanął po stronie Hodona, obciążając polskiego księcia za naruszenie pokoju. Obydwaj przecież byli Niemcami. Wszystko wskazuje na to, że Mieszko znał już owe cesarskie stanowisko i nie stawił się w Kwedlinburgu.

Został natomiast zmuszony do przysłania jako zakładnika syna swojego, siedmioletniego Bolesława, późniejszego Chrobrego. Tak wynika z zapisu „Roczników z klasztoru Altaich" [cyt. za G. Labuda]: „Otton cesarz starszy i syn jego Otton, także cesarz, przybywa z cesarzowymi [...] do Kwedlinburga. [...] Tam przyszli posłowie Greków, Benewentu z darami, 12 dostojników węgierskich, dwu Bułgarów [...]. Natomiast Mieszko, książę słowiański, zmuszony groźbą [terrore compulsus] przysyła syna jako zakładnika". Niemniej, jak zauważa Andrzej Nowak, cesarz już wówczas „nie mógł potraktować Mieszka jako pogańskiego watażki, którego teraz należałoby przykładnie ukarać. [...] Władztwo Mieszka było już w każdym razie elementem uznanej struktury wschodnich rubieży łacińskiej Europy".

Zresztą niespełna po dwóch miesiącach od tego zjazdu Otton I zmarł, a w Niemczech rozgorzała walka o tron. Tym samym ów konflikt polsko-niemiecki zszedł niejako na drugi plan. Bolesław wrócił do ojca, a Mieszko stanął po stronie pretendenta do niemieckiej korony Henryka Kłótnika, opowiadając się tym samym przeciwko synowi zmarłego cesarza, Ottonowi II. To już jednak całkiem inna historia.

Do końca nie jesteśmy pewni, czy „bitwa pod Cedynią" rozegrała się pod dzisiejszą miejscowością Cedynia (woj. zachodniopomorskie), gdzie obecnie znajduje się pomnik upamiętniający to polsko-niemieckie stracie wojskowe. Thietmar, z którego kroniki m.in. czerpiemy wiedzę o tej bitwie, zapisał nazwę miejscowości „Cidini". I jak to zwykle bywa, historycy wskazują różne miejsca. Wydaje się, że jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie nie uzyskamy już nigdy, chyba że znajdą się jakieś nowe źródła, a wtedy słynne powiedzenie „co nowego w historii" stanie się jak najbardziej uzasadnione. Zostańmy zatem przy polskiej tradycji, że to właśnie pod dzisiejszą Cedynią Mieszko I wraz ze swoim bratem, jedynym znanym nam z imienia Czciborem, pokonali niemieckiego margrabiego Hodona. „Okazało się – pisze Paweł Rochala – że Mieszko, chrześcijanin, »przyjaciel cesarza«, nie był już kniazikiem, którego w razie potrzeby można łatwo zmienić lub upokorzyć".

Kończąc, nie zawadzi zachęcić do obejrzenia filmu „Gniazdo" z 1974 r. w reżyserii Jana Rybkowskiego z całą plejadą gwiazd polskiego kina tamtego okresu: z Wojciechem Pszoniakiem w roli Mieszka I oraz Markiem Bargiełowskiego, który wcielił się w Czcibora. Tam już na początku filmu pada z ust jednego z wojów mieszkowych, którego gra Franciszek Pieczka, takie oto zdanie: „Pierwszy raz mamy przed sobą Niemców". A później inny mówi: „Ludzie nigdy nie bili się z Niemcami". No to się pobili i wygrali.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Literatura:

M.K. Barański, „Dynastia Piastów w Polsce", Warszawa 2005; P. Jasienica, „Polska Piastów", Warszawa 1985; G. Labuda, „Mieszko I", Wrocław 2002; G. Labuda, „Pierwsze wieki monarchii piastowskiej", Poznań 2012; M. Maciorowski, M. Maciejewska, „Władcy Polski", Warszawa 2018; Pr. zb., „Piastowie. Leksykon biograficzny", Kraków 1999; P. Rochala „Cedynia 972", Warszawa 2002; J. Strzelczyk, „Mieszko Pierwszy. Chrzest i początki Polski", Poznań 2016; J. Wyrozumski, „Historia Polski do roku 1505", Warszawa 1984.

eprasa.pl e73e707b89

Panorama Rygi z 1572 r. FOT. WIKIPEDIA

1562–1621 / Z historii wiernych Inflant

Kłopoty z Rygą

Sławomir Koper

Mało kto już dzisiaj pamięta, że Ryga była przez kilkadziesiąt lat jednym z głównych portów Rzeczypospolitej

Gdy w 1525 r. Krzyżacy przegrali kolejną wojnę z Polską, doszło do likwidacji pruskiej linii zakonu. Ostatni wielki mistrz, Albrecht Hohenzollern, złożył hołd lenny Zygmuntowi Staremu, przeszedł na luteranizm i stał się świeckim księciem Prus. W tej sytuacji inflancka linia Krzyżaków zaczęła używać nazwy: Zakon Kawalerów Mieczowych.

Ich państwo stało się jednak zupełnym anachronizmem, gdyż w ówczesnej Europie nie było już miejsca na rycerskie państwa zakonne. Stało się jasne, że Inflanty zostaną wchłonięte przez jedno z pobliskich mocarstw. Książę pruski Albrecht Hohenzollern zaproponował Zygmuntowi Augustowi likwidację inflanckiej linii zakonu krzyżackiego, a siebie jako polskiego lennika z Inflant, ale król odrzucił ten pomysł. Sama idea wydała mu się jednak atrakcyjna, gdyż oznaczałoby to zdobycie portów dla litewskiego handlu i osłonę północnej granicy Litwy przed zakusami Moskwy. Poza tym miasta inflanckie uchodziły za bardzo zamożne, co znacznie wzmocniłoby gospodarkę Wielkiego Księstwa.

Chętnych do podboju jednak nie brakowało, a najgroźniejszym przeciwnikiem wydawał się Iwan Groźny, który w 1554 r. zmusił zakonników do płacenia trybutu. Car nie zamierzał zresztą się tym zadowalać i planował opanowanie całych Inflant.

Podczas obrad zakonnej kapituły ścierały się różne koncepcje, ale najwięcej zwolenników miała opcja poddania się Rzeczypospolitej. Zdawano sobie bowiem sprawę z faktu, że sama Litwa jest zbyt słaba, by stawić skuteczny opór Moskwie, a do tego należało się też liczyć z ekspansją Szwedów i Duńczyków. Poza tym zakonników i szlachtę inflancką nęciły tolerancja i swobody, które panowały w Rzeczypospolitej.

Mistrz Zakonu Kawalerów Mieczowych, Johann Wilhelm von Fürstenberg, próbował zachować niezależność, poniósł jednak klęskę w walce z Rosjanami i dostał się do niewoli, z której już nie powrócił. Natomiast nowy zwierzchnik zgromadzenia, Gotthard Kettler, był politycznym realistą. Doskonale rozumiał, że państwo zbrojnych mnichów nie ma szans na przetrwanie i jedyną szansą było oparcie się na Rzeczypospolitej. Kettler miał też osobiste ambicje i chciał zostać założycielem nowej dynastii.

W listopadzie 1561 r. zawarto w Wilnie układ, na mocy którego ziemie kawalerów mieczowych poddały się Zygmuntowi Augustowi jako królowi polskiemu i wielkiemu księciu Litwy. Zakon miał ulec likwidacji, a Kettler przejść na luteranizm i otrzymać w lenno Kurlandię i Semigalię (obie stanowią południową część dzisiejszej Łotwy). Pozostałe tereny stały się wspólną własnością Polski i Litwy, a ich mieszkańcom zagwarantowano wolność wyznania i dotychczasowe prawa. Zlikwidowano też arcybiskupstwo ryskie, a ironią losu jego ostatnim metropolitą był Wilhelm Hohenzollern, rodzony brat księcia Prus. I w ten niecodzienny sposób zakończyła się ponad 300-letnia rywa-

eprasa.pl e73e707b89

lizacja pomiędzy zakonnikami a arcybiskupami.

Oddzielną rolę w układach odegrała Ryga, która miała uzyskać podobny status jak Gdańsk, i właśnie w tym mieście w marcu 1562 r. Kettler złożył hołd lenny. Był to rodzaj uroczystości per procura, gdyż król był nieobecny, a zastępował go Mikołaj Radziwiłł zwany Czarnym. Kettler był już wówczas luteraninem, a cztery lata później ożenił się z księżniczką meklemburską. Spełnił też swoje osobiste ambicje, gdyż założona przez niego dynastia miała panować w Kurlandii przez blisko dwa stulecia. A do tego zawsze była lojalna wobec Rzeczypospolitej.

Religijne nowinki

Dzisiejsza stolica Łotwy była w XVI w. potężnym portem, ustępowała na Bałtyku tylko Gdańskowi. Jej mieszczanie nie zamierzali podporządkowywać się nikomu i nawet miejscowy arcybiskup wraz z inflancką odnogą zakonu krzyżackiego nie potrafili ich zmusić do posłuszeństwa. Konflikty były tak zajadłe i krwawe, że w 1452 r. zakonnicy odłożyli na bok wszelkie zaszłości i sprzymierzyli się z hierarchą, by wspólnie zawładnąć miastem. Jednak z upływem lat Krzyżacy słabli coraz bardziej, a świecka władza hierarchy również stawała się coraz bardziej iluzoryczna. Wreszcie reformacja zadała ostateczny cios potędze miejscowych arcybiskupów.

Nowinki religijne szybko zdobywały uznanie na Inflantach i już w 1524 r. Ryga stała się silnym ośrodkiem protestanckim. Jak zwykle w takich sytuacjach bywało, nie obeszło się bez zamieszek i tumultów. Katolickich mnichów siłą wypędzano z miasta, kościoły przekształcano w zbory, zdarzały się gwałty, morderstwa i rabunki. Ostatecznie kontrolę nad życiem religijnym przejęła rada miejska, która uzyskała też wyłączność na sprawowanie sądów w Rydze.

Podporządkowanie Inflant Polsce oznaczało nowy rozdział w dziejach miasta. Port zachował swoje przywileje i ustalono 20-letni okres przejściowy, podczas którego miasto miało pozostać niezależne. Rada miejska została jednak zobowiązana, by po upływie tego terminu przystąpić do negocjacji z Rzecząpospolitą na temat warunków włączenia Rygi w granice państwa polsko-litewskiego.

Wojska Iwana Groźnego zweryfikowały jednak te ustalenia i w latach 1577–1578 opanowały niemal całe Inflanty. Wprawdzie Ryga potrafiła się obronić, ale stało się jasne, że miasto musi prosić o ochronę Rzeczpospolitą. Zwierzchnictwo odległego króla polskiego wydawało się bowiem znacznie lepszym rozwiązaniem niż zależność od krwawego satrapy z Kremla. Z tego powodu mieszczanie potwierdzili gotowość do złożenia hołdu Stefanowi Batoremu, aczkolwiek pod pewnymi warunkami. Należały do nich uznanie przywilejów handlowych miasta i wolność religijna, co rozumiano jako aprobatę dla dominacji wyznania luterańskiego.

Batory w Rydze

Król potraktował poselstwo z dużą dozą wyrozumiałości. Port był mu bowiem potrzebny do zabezpieczenia tyłów podczas wojny z Moskwą i pod koniec czerwca 1579 r. zagwarantował prawa miastu, zgadzając się jednocześnie na swobody religijne. Ryga miała też wypłacać królowi corocznie daninę w wysokości 1 tys. zł (dziś byłoby to ok. 90 tys. euro), co nad Dźwiną uznano za niezbyt wygórowaną sumę. Zobowiązano się również do wystawienia w przypadku wojny oddziału 300 pieszych, który miał się znajdować pod bezpośrednią komendą władcy. Nierozstrzygnięta pozostała jednak sprawa statusu dawnych kościołów katolickich oraz majątku arcybiskupów ryskich.

Król osobiście pojawił się w Rydze w marcu 1582 r., po zwycięskim zakończeniu wojny z Rosją. Zatrzymał się na zamku znajdującym się poza ówczesnymi murami miejskimi, co oznaczało, że zamierzał pertraktować z mieszczanami. Ponownie zatwierdził wcześniejsze przywileje, ale wprowadził też urząd burgrabiego, który miał być jego przedstawicielem. Zdecydowanie gorzej poszło jednak ze sprawami religijnymi, gdyż Batory był gorliwym katolikiem, a ryżanie zajadłymi luteranami.

Król zażądał zwrócenia katedry, co spotkało się z ostrymi protestami i mediacji musiał się podjąć przebywający u boku Batorego Piotr Skarga. Słynny kaznodzieja okazał się człowiekiem znacznie skłonniejszym do kompromisu niż jego pryncypał i nakłonił monarchę, by ograniczył swoje żądania. Ostatecznie skończyło się na zwrocie katolikom kościołów pw. św. Jakuba i św. Marii Magdaleny, a miasto uzyskało potwierdzenie przejęcia majątku arcybiskupów.

Przy okazji król nadał też Rydze przywilej, który miał odmienić życie miasta. Na jego mocy chłopi pańszczyźniani samowolnie opuszczający swoich właścicieli mogli po dwóch latach pobytu w porcie uzyskać wolność osobistą i zająć się handlem lub rzemiosłem. Od tego czasu w mieście zaczęli się osiedlać Łotysze, chociaż dominującą warstwą społeczną pozostali Niemcy.

Awantura o nowy kalendarz

Nie wszystkie sprawy zostały jednak formalnie uregulowane i niemal natychmiast po wyjeździe Batorego doszło do nowych sporów. Mieszczanie domagali się zgody na budowę latarni morskiej oraz wyłączności do towarów wyrzucanych na brzeg po katastrofach morskich. Natomiast szlachta litewska żądała swobodnego dostępu do portu i prawa do organizacji kilku jarmarków rocznie.

Innym powodem do niepokoju mieszczan była polityka religijna króla, który dążył do restytucji katolicyzmu na Inflantach. Wystawił bowiem przywileje fundacyjne dla kilku kolegiów jezuickich, w tym dla jednego w Rydze, co zapowiadało akcję misyjną w mieście. Co gorsza, królewscy urzędnicy nie przestrzegali podpisanych porozumień i zdecydowanie faworyzowali katolików, co spotykało się z oburzeniem luteran. Bezpośrednim powodem do buntu okazała się jednak sprawa nowego kalendarza.

Dotychczas w Europie używano bowiem kalendarza wprowadzonego jeszcze przez Juliusza Cezara, ale w 1582 r. papież Grzegorz XIII dokonał

SŁAWOMIR KOPER, TOMASZ STAŃCZYK
„KRESY PÓŁNOCY. WYPRAWA DO POLSKICH INFLANT"
FRONDA

eprasa.pl e73e707b89

jego poważnej modyfikacji. Pojawiła się poprawka w naliczaniu dni przestępnych, co miało zapobiec narastającej różnicy pomiędzy oficjalnym kalendarzem a rokiem słonecznym. Kalendarz juliański tracił bowiem jeden dzień na 128 lat i dlatego przesunięto datę o 10 dni, dzięki czemu po 5 października 1582 r. nastąpił od razu 14 października.

Nową rachubę czasu natychmiast przyjęto w Polsce, Hiszpanii, Portugalii i we Włoszech, natomiast pozostałe kraje europejskie pozostały sceptyczne. Szczególny opór stawiały państwa protestanckie i prawosławne, gdzie uznano nowy kalendarz za szatański wynalazek. Podobne zdanie wyrażali też luterańscy mieszczanie Rygi, którzy twierdzili, że znienawidzony papież chciał pozbawić uczciwych ludzi 10 dni, by ugruntować wpływy katolicyzmu.

Batory zagroził jednak miastu karami finansowymi i w tej sytuacji nawet duchowieństwo luterańskie uznało temat za sprawę świecką i zgodziło się na nowy kalendarz. Mieszczanie nie zamierzali jednak tego respektować i podczas świąt Bożego Narodzenia zbory świeciły pustkami. Doszło też do zamieszek ulicznych, tłum powybijał szyby w kościołach i poturbował kilku jezuitów. Przy okazji podniesiono też niedawną sprawę oddania dwóch świątyń katolikom i obrady rady miejskiej przekształciły się w burdę. Najbardziej agresywny rektor szkoły katedralnej, Heinrich Möller, został na polecenie burgrabiego uwięziony w ratuszu, co tylko dolało oliwy do ognia. Duchowny został bowiem odbity przez ryskich rzemieślników, a przy okazji zaatakowano też dom burgrabiego i jednego z pastorów. Ryga stanęła na skraju buntu przeciwko władzy królewskiej.

Zamknięto bramy miejskie, a przybyły na zamek gubernator Inflant, bp Jerzy Radziwiłł, nie potrafił dojść do porozumienia z upartymi mieszczanami. Nie na wiele przydała się też próba mediacji podjęta przez księcia Kurlandii, Gotharda Kettlera. W tej sytuacji władze miejskie ponownie wprowadziły stary kalendarz, a przy okazji ograniczyły też kompetencje burgrabiego.

Król jednak miał już dosyć buntowniczego miasta i nakazał kategorycznie przestrzeganie podpisanych porozumień i wypłatę odszkodowania ofiarom zamieszek. Zażądał też wygnania przywódców rebeliantów oraz przywrócenia kompetencji burgrabiemu. W odpowiedzi doszło do wybuchu otwartej rebelii, a przedstawicieli najwyższych władz miejskich oskarżono o zdradę. Dwóch z nich stracono, a ze zwolenników ugody z królem ocaleli właściwie tylko ci, którzy przedostali się na zamek pod osłonę jego załogi. Batory jednak nie chciał zaogniać sytuacji, pamiętając, ile problemów przyniosła mu wojna z Gdańskiem. Poza tym król doskonale wiedział, że spory religijne sporami, obraza majestatu obrazą, ale wszystko i tak kończy się na finansach. Pieniądze potrzebne są bowiem nawet najbardziej zajadłym fanatykom religijnym i dlatego Batory zlecił budowę fortyfikacji (blokhauzu) na drugim brzegu Dźwiny, które miały kontrolować handel Rygi. Sprawa była pilna, gdyż do króla dotarły informacje, że najbardziej nieprzejednani buntownicy skontaktowali się ze szwedzkim dworem, by poddać miasto władzy Sztokholmu.

Stefan Batory zmarł jednak dość niespodziewanie w Grodnie w grudniu 1586 r., co w Rydze uznano za dowód na istnienie opatrzności Bożej. Oficjalnie jednak wyrażano żal po stracie monarchy, chociaż korzystając z zamieszania, usiłowano zdobyć nieszczęsny blokhauz. Atak się jednak nie powiódł, ale załoga zamku nie chciała zaogniać sytuacji i nawet nie próbowała wyciągnąć konsekwencji wobec miasta.

Ryga po polsku

Ostateczne Ryga poparła nowego króla, Zygmunta III Wazę, ale jak zwykle w takich sytuacjach zaczęły się targi o warunki złożenia hołdu. Zażądano potwierdzenia wszystkich przywilejów i zniszczenia umocnień dławiących handel. Gdy spotkano się z odmową, przywódcy mieszczan usiłowali ogłosić niezależność miasta. Sytuację spacyfikowała jednak załoga zamkowa, a większość ryskich kupców miała już serdecznie dość zamętu uniemożliwiającego prowadzenie interesów. W tej sytuacji rada miejska oficjalnie podporządkowała się Rzeczypospolitej i w lipcu 1589 r. do miasta przybyli królewscy komisarze. Dwaj przywódcy buntowników, Martin Giese i Johan Bricken, zostali uwięzieni, a następnie skazani na karę śmierci. Wyrok wykonano w asyście wojska, co ostatecznie spacyfikowało sytuację.

Do Rygi powrócili wygnańcy, a miasto wypłaciło im wysokie odszkodowanie. Przy okazji nakazano też wprowadzenie nowego kalendarza, ale wobec oporu mieszczan Zygmunt III zrezygnował z tematu. Wprawdzie król był fanatycznym katolikiem, ale miał zbyt wiele innych problemów na głowie, by zajmować się podobnymi drobiazgami. Liczyło się tylko, że Ryga podporządkowała się jego władzy, a to, że jej mieszkańcy liczyli dni według starej rachuby, nie miało większego znaczenia. Dzięki temu przez następne trzy stulecia w mieście posługiwano się kalendarzem juliańskim, co było ewenementem w świecie protestanckim.

Chociaż bowiem rachuba gregoriańska wciąż wzbudzała opór w Europie, to jednak kolejne kraje z wolna przyjmowały nowy kalendarz (Anglia w 1752 r.). Najbardziej konserwatywne okazały się państwa prawosławne, gdzie aż do początków XX stulecia nowy kalendarz uznawano za wymysł jezuitów. Rosja trwała przy tradycyjnej rachubie czasu aż do przewrotu bolszewickiego, natomiast Grecja jeszcze dużej – do roku 1923 r.

Pomimo wszelkich sporów Ryga ostatecznie weszła w skład państwa polsko-litewskiego i podczas dwóch kolejnych wojen ze Szwecją mieszczanie dzielnie wspierali Polaków i Litwinów. Kilkakrotnie odrzucono awanse Skandynawów proponujących poddanie się władzy Sztokholmu, nie powiodły się najeźdźcom również oblężenie i blokada, natomiast zwycięstwo pod Kircholmem zapewniło miastu na pewien czas spokój.

Rzeczpospolita była jednak zbyt zaangażowana na różnych frontach, by poradzić sobie ze Szwedami. Poza tym stałym problemem była kwestia opłacania wojsk i często po zwycięskich kampaniach armia rozchodziła się do domów z powodu braku żołdu. Z tego powodu triumfy husarii nie mogły przynieść długotrwałych efektów i podczas kolejnego konfliktu niemal całe Inflanty zostały opanowane przez Szwedów. W sierpniu 1621 r. najeźdźcy stanęli pod murami Rygi, której mieszkańcy odrzucili propozycję kapitulacji. Oblężenie trwało przez miesiąc, odparto trzy szturmy, ale dalsza walka przeciwko dziesięciokrotnej przewadze była niemożliwa. Miasto poddało się i już nigdy nie powróciło w granice Rzeczypospolitej.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e73e707b89

RYS. KRZYSZTOF WRZYKOWSKI

1915–1923 / Obopólne masakry w Turcji

Ormianie też mordowali...

Jakub Ostromęcki

Nie ma powodu, aby milczeć o zbrodniach, w których to ofiarami byli tureccy cywile, w tym kobiety i dzieci

Surowy stalowy monument w kształcie trzech bułatów góruje nad przedmieściami tureckiego Iğdiru, położonego pośród stepów i wzgórz wschodniej Anatolii, bardzo blisko granicy z Armenią. Napis na postumencie jest dla wielu szokujący: „Tureckim męczennikom pomordowanym przez Ormian". „Agresywny, nacjonalistyczny i otwarcie wrogi" – napisała o nim dziennikarka jednego z większych czasopism amerykańskich Ormian „Armenian Weekly". Korespondent „Le Monde" w Istambule, Guillaume Perrier, wtórował jej: „Skrajnie karykaturalna postać polityki tureckiego rządu negującego ludobójstwo 1915 r., polegająca na przepisywaniu historii i zmienianiu ofiar w sprawców".

Współcześni Turcy starają się wykazać, że w czasie piewszej wojny świato-

eprasa.pl e73e707b89

Pomnik ku pamięciu Turków zamordowanych przez Ormian w miejscowości Iğdir FOT. WIKIPEDIA/DSO2006

wej i w późniejszych zmaganiach trwających aż do traktatu w Lozannie z 1923 r. byli również ofiarami zbrodni. Nie jest to wcale propagandowa opowieść wyssana z umazanego krwią chrześcijan janczarskiego palca. Na temat owych masakr istnieje bogata literatura, m.in. prace zbiorowe: „Shatterzone of Empires: Coexistence and Violence in the German, Habsburg Russian and Ottoman Borderlands" czy „War in Peace: Paramilitary violence in Europe after the Great War". Szczegółowo ormiańskie zbrodnie badał Justin McCarthy. Autor ten oskarżany jest o umniejszanie rozmiarów tureckiego ludobójstwa na Ormianach, nikt jednak nie podważa jego badań dotyczących masakr popełnionych przez samych Ormian. Świadkami owych zbrodni byli liczni cudzoziemcy, oficerowie i dyplomaci rosyjscy, brytyjscy i amerykańscy.

Ludobójstwo popełnione na Ormianach przez Turcję jest faktem. Nie ma jednak powodu, aby milczeć o zbrodniach, w których to tureccy cywile, w tym kobiety i dzieci, byli ofiarami, sprawcami zaś ormiańskie wojsko i oddziały paramilitarne działające samodzielnie bądź pod rozkazami rosyjskimi lub francuskimi. Wśród sprawców przeważali przybysze z rosyjskiej części Armenii lub powracający z europejskiej emigracji. Byli wśród nich ormiańscy bohaterowie narodowi i prawdziwi specjaliści od walki partyzanckiej, tacy jak Andranik Ozanian czy Murad Hakobian zwany Muradem z Sebastii.

Krwawi dasznacy

W 1914 r. przedstawiciele starszego pokolenia lokalnych ormiańskich elit zrazu nie palili się do wojny z imperium osmańskim. Burmistrz miasta Wan, ormiański kupiec Bedros Kapamaciyan, został wybrany głosami muzułmanów, którzy widzieli w nim przede wszystkim dobrego zarządcę. Przez ormiańskich niepodległościowców nazywany był jednakowoż „osmańskim pachołkiem", co ostatecznie doprowadziło do jego zamordowania. Turecki historyk Huseyin Čelik twierdzi, że śmiertelne strzały oddał… jego własny syn, namówiony do tego przez działacza niepodległościowego Arama Manukiana.

W listopadzie i grudniu 1914 r. na wielu obszarach wschodnich kresów imperium osmańskiego, z dala od planowanych działań wojsk tureckich, zapanował stan bliski anarchii. Tureckie wioski i miasta ogołocone były z poborowych, stacjonowali w nich jedynie nieliczni i licho uzbrojeni żandarmi. Wykorzystała to natychmiast ta część Ormian, która zamierzała wywalczyć niepodległość zbrojnie. Gromadzono zatem broń – z reguły lepszą od tureckiej – przecinano linie telegraficzne, skrycie atakowano posterunki żandarmerii. Władze tureckie, chcąc spacyfikować ów teren, wysłały tzw. organizację specjalną złożoną z pospolitych kryminalistów lub Turków wypędzonych z Bałkanów, którzy potracili tam rodziny i pałali żądzą zemsty na jakichkolwiek chrześcijanach.

Owi baszybuzucy, pozbawieni jakiegokolwiek nadzoru regularnej armii, miast ścigać uzbrojonych Ormian, wzięli się do terroryzowania cywilów lub mordowania ormiańskich mężczyzn zwolnionych z wojska i jako element niepewny skierowanych do pracy przy budowie dróg. Ta część Ormian, która do tej pory była niechętna wojnie z Turcją, chwyciła za broń. Oto przykład: „Jednego dnia jeden z moich współpracowników stwierdził, że rzuca robotę, by dołączyć do zbrojnej kompanii, by zabijać Turków. Nienawiść do nich zżerała go od środka. Podczas ucieczki z Wan stracił całą rodzinę i zaprzysiągł zemstę. Mówił: »Muszę zabić dwóch Turków na każdego członka mojej rodziny. Tylko wtedy powrócę do

eprasa.pl e73e707b89

Muzułmańska rodzina z Krety, która osiedliła się w Smyrnie FOT. WIKIWAND

pracy«" – wspominał swojego kolegę Oksen Teghtsoonian. Bohater tej relacji nie robił różnicy między cywilami a żołnierzami, między mężczyznami a małymi dziećmi.

W owym chaosie pojawiła się trzecia siła – Kurdowie. Ci z nich, którzy wiedli osiadły tryb życia, starali się nie wadzić nikomu, choć religijnie bliżej było im oczywiście do Turków. Ale byli też Kurdowie górscy, regularnie napadający na rolników mieszkających w dolinach – głównie na Ormian. Ci, doprowadzeni do rozpaczy, zaczęli mścić się na nizinnych pobratymcach górskich rozbójników. Morgan Philips Price, korespondent przy armii rosyjskiej, wspominał: „Jadąc konno przez wioskę, napotkałem ciała Kurda i dwóch kobiet ze świeżymi ranami głowy i ciała. Naraz pojawiło się dwóch Ormian, którzy wynosili z domu jakieś dobra. Zapytałem, kim byli ci Kurdowie. »Oni? Właśnie ich zabiliśmy«. »Dlaczego?« – zapytałem. Na ich twarzach pojawił się wyraz zdziwienia. »Co za pytanie? Zabijamy ich bez szczególnych powodów. Są naszymi wrogami. Jeśli ich tu zostawimy, to będą nam szkodzić«".

Tak we wschodniej Anatolii rozgorzała wojna wszystkich ze wszystkimi. Zanim jeszcze w maju 1915 r. tureckie władze rozpoczęły niesławne ludobójcze deportacje, krwawa spirala plemiennej zemsty została wprowadzona w ruch. Lato 1915 r. znacznie ją oczywiście przyspieszyło. Ormianie byli przekonani, że sprawiedliwie mszczą się na Turkach za doznane krzywdy.

Natężenie ormiańskich zbrodni zależało od aktualnego wyniku zmagań na froncie rosyjsko-tureckim. W grudniu 1914 r. armia turecka zamierzała zagrać z rozmachem i na wzór Niemców zgotować Rosjanom pod Sarikamiş kolejny Tannenberg. Turcy przecenili jednak możliwości techniczne i organizacyjne swojej armii i już w styczniu 1915 r. to Judenicz pocierał z zadowoleniem swoje długie wąsiska, czytając meldunki o kolejnych jednostkach wdzierających się do Anatolii od strony Karsu i zajmujących Wan w sierpniu 1915 r. Ten sukces walnie umożliwiło ormiańskie powstanie, które wybuchło tam kilka miesięcy wcześniej.

Front ustabilizował się mniej więcej na linii Wan – Horasan – Morze Czarne. Na początku 1916 r. Rosjanie uderzyli ponownie. W styczniu byli już w Erzurum, w kwietniu w Trapezuncie, a pod koniec lipca w Erzincan. Ormiańskie oddziały poruszały się przed frontem nacierających Rosjan, siejąc chaos na tyłach Turków – to wtedy, wiosną 1915 r. i w pierwszej połowie 1916 r., doszło do pierwszej fali masakr. Wydawało się, że Rosjanie byli panami sytuacji i już wkrótce na zdobytych przez nich terenach powstanie niepodległa lub przynajmniej związana z Rosją autonomiczna Armenia.

W 1917 r. armię rosyjską zaczął jednak zżerać rak rewolucji. Od września 1917 r. do Rosji dezerterowały całe oddziały wraz z dowódcami. W lutym 1918 r. Ormianie zostali sami. Turcy ruszyli zatem do kontrofensywy. W lutym odbili Erzincan i Trapezunt, w marcu Erzurum, w kwietniu zdobyli Kars, wychodząc poza granicę sprzed 1914 r. W maju ruszyli na Tbilisi i posuwając się Niziną Szyrwańską, we wrześniu 1918 r. dotarli do samego Baku. W czasie ormiańskiego odwrotu doszło do drugiej fali rzezi. Tureckie oddziały, posuwając się po linii Erzincan – Erzurum – Kars, natrafiały na całkowicie wyludnione i zrujnowane muzułmańskie wioski, dokonując w ich pobliżu makabrycznych odkryć.

Przebieg zbrodni

Dwa lata wcześniej w pierwszej kolejności mordowani tu byli przywódcy religijni i polityczni wraz z rodzinami. Plądrowano domy i niszczono meczety. W Bitlis jedna ze świątyń została w lutym 1916 r. zamieniona w stajnię. Zniszczono też grobowce, muzułmańskie szkoły, klasztory derwiszów i łaźnie. Potem przyszła kolej na zwykłych mieszczan i mieszkańców wiosek, które miały nieszczęście znajdować się na trasie przemarszu zwycięskich ormiańskich wojsk. Ludzi mordowano za pomocą broni palnej lub bagnetami. Innych wtłaczano dziesiątkami do domów, gdzie palono ich żywcem.

McCarthy twierdzi, że w przeciwieństwie do poprzednich wojen bałkańskich „ormiańskie napaści na muzułmańskie wioski były bardziej skupione na mordach niż na zwykłym zmuszeniu do ucieczki". Spójrzmy na masakry wokół Wan w połowie 1915 r. Muzułmańscy uciekinierzy, którzy nie zdążyli zabrać się z wycofującą się osmańską armią, byli mordowani na drogach prowadzących na zachód. Czterystu takich uchodźców zostało napadniętych i zamordowanych między Erics i Adilcevaz. Inni z uciekinierów zaufali ormiańskim żeglarzom, którzy zaoferowali im przewóz na drugi brzeg olbrzymiego jeziora. Ci jednak wydali uciekinierów swoim uzbrojonym rodakom czekającym na zachodnim brzegu.

Oczywiście sprawcy nie byli w stanie zlikwidować całej populacji – stąd w centralnej i południowej Anatolii pojawiły się dziesiątki tysięcy uchodźców. W czasie tych napaści dochodziło do rabunków i tak strasznych gwałtów na kobietach, że wiele z nich umierało. W wiosce Ani dziewczętom i kobietom obcięto nosy i usta. Inne były masowo porywane przez zwycięzców.

W marcu 1918 r., podczas tureckiej kontrofensywy, gen. Kazim Karaberkirt zapisał, stacjonując w okolicy Alaca: „Płacz i rozpacz nad spalonymi i przebitymi bagnetami ciałami mroziły krew w żyłach. Niektóre matki, trzymając swoje dzieci przebite bagnetami, wyrywały sobie włosy z głowy". Inny turecki dowódca, Vahib Pasza, zanotował z miejsca zbrodni: „Wszyscy ludzie na tyle dorośli, że potrafili unieść broń, zostali zabrani w kierunku Sarikami do budowy drogi i tam zarżnięci. Pozostali stali się przedmiotem okropieństw i mordów popełnionych przez Ormian w następstwie wycofania się Rosjan […]. Ciała wrzucano do studni, palono w domach,

eprasa.pl e73e707b89

inne były kłute bagnetami, ich wnętrzności rozprute jak w rzeźniach, płuca i wątroby wyprute, dziewczęta i kobiety powieszone za włosy po tym, jak popełniono na nich diabelskie czyny". I dalej w Erzincan: „Trzy dni nie robiliśmy nic innego, tylko sprzątaliśmy ciała muzułmanów. Między nimi były niemowlęta, 90-letni starcy i kobiety porąbane na kawałki".

Rosjanie

O udziale Rosjan moglibyśmy mówić jedynie do lutego 1918 r. Wiadomo o kilku przypadkach masakr dokonywanych przez pułki kozackie, ale nie miały one na celu etnicznej zemsty, lecz towarzyszyły raczej doraźnym ekspedycjom karnym. Miejmy na uwadze, że system zaopatrzenia armii rosyjskiej szwankował przez całą wojnę, a sam Nikołaj Januszkiewicz, szef rosyjskiego sztabu generalnego, stwierdził, iż śmierć 10 proc. cywilów w strefie przyfrontowej z powodu głodu to rzecz absolutnie normalna.

Do twardego postępowania z muzułmanami nawoływał zwłaszcza gen. Liakow dowodzący na wybrzeżu Morza Czarnego. „Oskarżył lokalnych muzułmanów o zdradę i wysłał Kozaków z Batumi, aby zabijali każdego tubylca w zasięgu wzroku, palili każdą wieś i każdy meczet. Swoje zadanie spełnili tak efektywnie, iż w czasie marszu przez Coruh do Artwinu nie napotkaliśmy żadnej zamieszkałej osady" – pisał Morgan Philips Price cytowany w zbiorowej pracy „War in Peace…".

Inny cytowany oficer Kozaków mówił gorzko o wojnie: „Okupowaliśmy ich ziemie, równaliśmy wioski z ziemią, zabieraliśmy zboże, zarzynaliśmy bydło i owce, nic za to nie płacąc. Większość młodych kozackich oficerów uważała, że mogą robić z Kurdami, co chcą, zabrać im ostatnią kromkę chleba, wyrzucić z domu i posiąść żonę i córki. Zrozumieliśmy ich sytuację, gdy z północy nadeszła na nas, Kozaków, Armia Czerwona i władza radziecka i traktowała nas tak samo, jak my traktowaliśmy Kurdów". Generalnie jednak regularne jednostki armii rosyjskiej zachowywały się wobec muzułmanów zdecydowanie lepiej niż Ormianie. Do największych masakr na Turkach doszło wszak krótko przed nadejściem Rosjan lub już po ich odejściu.

W 1918 r. fala zbrodni przesunęła się ku Małemu Kaukazowi, na tereny dzisiejszej Gruzji, Armenii i Azerbejdżanu oraz w okolice tureckiego Karsu. Tutaj z kolei oprócz Ormian ofiarą padali sprzymierzeni z Turkami Azerowie. W południowej części dzisiejszej Armenii, w Zangezurze, działał na własną rękę Andronik Ozanian, nie uznając zresztą wówczas władz ormiańskich. Jego ofiarą padło tysiące muzułmanów. Ci mordowali Ormian w Karabachu w dniach 23–26 marca. 31 marca 1918 r. z kolei doszło do tzw. czarnej niedzieli w Baku, gdzie rozstrzelano od kilku do kilkunastu tysięcy Azerów. W czasie tego etapu zmagań miał miejsce dość nietypowy i kruchy sojusz Turków, Azerów i bolszewików skierowany przeciw niepodległej Armenii.

Ostatni akord ormiańskiej zemsty wybrzmiał w Cylicji. Pod koniec 1918 r. wylądował tu działający pod francuskim dowództwem Legion Ormiański. Niemal od razu doszło do ataków na tureckich cywilów i lżenia muzułmańskich kobiet, choć tu masakry miały mniejszą skalę niż we wschodniej Anatolii. Dezercje z owej jednostki motywowane chęcią zemsty na Turkach były tak wielkie, że Francuzi w sierpniu 1920 r. musieli ją rozwiązać.

Żaden z badaczy nie jest w stanie podać dokładnej liczby tureckich cywilów pomordowanych przez Ormian. Muszą wystarczyć zatem dane z przykładowych miejscowości. Przez pierwsze osiem dni po odbiciu Erzurum naliczono tu ponad 2 tys. ciał zabitych cywilów. Pod koniec lat 80. i na początku 90. prowadzono ekshumacje w kilku wioskach. Pięć z nich – Azizye, Yesilyayla, Timar, Subatan i Ani – leży na trasie odwrotu ormiańskiego z Erzurum do Kars. Oba i Hakmehmet znajdują się zaś na północ od Iğdiru. W każdej z nich liczba ofiar wahała się od 100 do 500 osób. Takich wiosek – ofiar działań ormiańskich – było jednak znacznie więcej. W pracy zbiorowej „War in Peace…" czytamy, że w samej dolinie rzeki Coruh (po gruzińsku Chorokhi) wymordowano 45 tys. cywilów. Ubytek muzułmańskiej populacji w latach 1912–1922 we wschodnich prowincjach imperium wahał się od 31 proc. w Erzurum do 62 proc. w Wan. Większość z tej liczby stanowili uchodźcy i ludzie zmarli z głodu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ZWIERZĘTA
A BRUTALNA IDEOLOGIA

PREMIERA: 29 CZERWCA 2022

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

ZAMÓW KSIĄŻKĘ NA wydajenamsie.pl

Wydaje nam się

eprasa.pl e73e707b89

Drvar, 1944 r. / Niemiecki „Skok Konika Szachowego" w Jugosławii

SS przegrywa z Titą

Josip Broz-Tito FOT. WIKIPEDIA/CYFROWA BIBLOTEKA SŁOWENII

Otto Skorzeny FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl e73e707b89

Arkadiusz Karbowiak

To była jedna z najbardziej brawurowych operacji drugiej wojny. Niemieccy spadochroniarze próbowali zabić Titę

Sytuacja, która wytworzyła się w okupowanej przez Niemców Jugosławii, szczególnie po kapitulacji Włoch, napawała wodza III Rzeszy dużym niepokojem. Oddziały NOVJ, a więc komunistycznej partyzantki, rosły w siłę, wypierając wojska okupacyjne z kolejnych obszarów kraju. Obawiając się alianckiego desantu na Bałkanach i odcięcia przez oddziały Tity wojsk Wehrmachtu stacjonujących w Grecji, Niemcy przeprowadzali kolejne ofensywy antypartyzanckie. Przynosiły one tylko połowiczne efekty. Partyzantom zadawano, co prawda, spore straty, ale nie udawało się ich całkowicie unicestwić. Dlatego zrodził się pomysł ujęcia lub fizycznego wyeliminowania przywódcy jugosłowiańskich komunistów Josipa Broza-Tity.

Zrealizowanie tego zadania przypadło w udziale dowódcy 2. Armii Pancernej, gen. Lotharowi Rendulicowi, któremu operacyjnie podlegał okupowany obszar środkowej Jugosławii. W pierwszej kolejności służby wywiadowcze miały ustalić miejsce pobytu komunistycznego marszałka. Do akcji zaangażowano jednostki wywiadowcze Abwehry, a konkretnie oddział dalekiego rozpoznania por. Wolframa Kirchnera, tzw. Einheit Kirchner, a także mający siedzibę w Belgradzie Oddział Rozpoznania Frontowego 201 (Frontaukläru-ngskommando 201) oraz placówkę FAT 216 z Sisaku ppor. Walthera Zawadila. W działania włączono również służby nasłuchu 2. Armii Pancernej. Dzięki pracy agentury i danym pozyskanym m.in. od bośniackich czetników udało się uzyskać informację, że Tito przebywa w miejscowości Jajce.

W styczniu 1944 r. miasto zostało zajęte przez Niemców, lecz komunistycznego lidera w nim nie było. Poszukiwania trzeba było zacząć od nowa. Wiosną podwładni mjr. Ernsta Benescha z oddziału Verband Wildschütz (w jej skład wszedł Einheit Kirchner) zwani potocznie kłusownikami, zlokalizowali jego nowe miejsce pobytu. Ze zdobytych danych wynikało, że przywódca jugosłowiańskich komunistów znajduje się w bośniackiej miejscowości Drvar.

6 maja 1944 r. dowódca Grupy Armii F na Bałkanach feldmarszałek Maximillian von Weisch podpisał dyrektywę nakazującą realizację operacji ukrytej pod kryptonimem Unternehmen Rösselsprung – Operacja Skok Konika Szachowego. Miały ją wykonać oddziały XV Korpusu Górskiego gen. Ernsta von Leysera. Opracowany plan działania nie był zbyt skomplikowany. Na Drvar miał zostać zrzucony desant spadochronowy, którego zadaniem było opanowanie miejscowości, zabicie lub ujęcie Tity i zneutralizowanie jego sztabu. Po wykonaniu zadania spadochroniarze mieli oczekiwać na dotarcie do miasta jednostek wojsk lądowych.

Ordre de bataille

Do tej ostatniej misji skierowano m.in. poza żołnierzami z 1. Pułku „Brandenburg" i z 92. Zmotoryzowanego Pułku Grenadierów oraz esesmanami z korpusowego 105. Batalionu Rozpoznawczego SS pododdziały dużych jednostek: 7. Ochotniczej Dywizji Górskiej SS „Prinz Eugen", 373. Dywizji Piechoty, 369. Dywizji Piechoty. Ta ostatnia wywodziła się z Legionu Chorwackiego, a więc 369. Pułku Piechoty Wehrmachtu, który walczył w Stalingradzie i tam został w 1943 r. rozbity. Z ewakuowanych rannych żołnierzy oraz tych służących w batalionie zapasowym stacjonującym w Stockerau oraz z ochotników utworzono nową jednostkę. Przeznaczono ją do walki z partyzantami.

Żołnierzami i podoficerami byli zasadniczo Chorwaci, natomiast kadrę oficerską stanowili Niemcy. Dywizję nazywano diabelską, co nawiązywało do nazwy 42. chorwackiej dywizji walczącej w czasie pierwszej wojny światowej w składzie armii austro-węgierskiej. Jej siostrzaną jednostką była wspomniana 373. Dywizja Piechoty (373 Infanterie Division), tzw. dywizja tygrysia. Miała ona również mieszany niemiecko-chorwacki skład osobowy. Służyli w niej chorwaccy ochotnicy, ale podobnie jak 369. DP większość stanowisk dowódczych zajmowali oficerowie niemieccy. 373. Dywizją Piechoty dowodził początkowo gen. Emil Zellner, a 5 sierpnia 1943 r. zastąpił go gen. Eduard Aldrian.

Istotnym pod względem doświadczenia w walkach z partyzantami oddziałem, który wziął udział w drvarskiej operacji, był 13. Pułk Strzelców Górskich SS wywodzący się z 7. Ochotniczej Dywizji Górskiej SS „Prinz Eugen" (7. SS-Freiwilligen-Gebirgs-Division „Prinz Eugen") złożonej z Niemców naddunajskich, czyli volksdeutschów pochodzących m.in. z serbskiego Banatu. Dywizja „Prinz Eugen" od października 1942 r. zaangażowana była w operacje antypartyzanckie. Esesmani zainaugurowali swą działalność na terenie południowo-zachodniej Serbii udziałem w operacji „Kopaonik" skierowanej przeciwko serbskim czetnikom z raszskiej brygady Dragutina Keserovicia. W jej trakcie doszło do krwawych represji wobec ludności cywilnej. W miejscowości Kriva Reka, będącej siedzibą sztabu czetników, żołnierze dywizji zamknęli w kościele i wysadzili w powietrze 45 osób. Zbrodnie wojenne stały się elementem charakterystycznym działań jednostki.

Widok na miasto Drvar (dziś w Bośni i Hercegowinie) FOT. JULIAN NYČA/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0

Główną siłą uderzeniową, która miała przeprowadzić operację „Skok Konika Szachowego", był 500. Batalion Strzelców Spadochronowych SS (SS-Fallschirmjäger Bataillon 500). Baza formowania oddziału znajdowała się w miejscowości Chlum, leżącej na terenie Protektoratu Rzeszy dla Czech i Moraw, 40 km na południe od Pragi. Rozpoczęty w sierpniu 1943 r. nabór ochotników nie przyniósł oczekiwanych efektów. Zgłosili się w większości volksdeutsche jugosłowiańscy

eprasa.pl e73e707b89

Niemiecki szybowiec transportowy DFS 230 użyty w akcji uwolnienia Mussoliniego FOT. BUNDESARCHIV/WIKIPEDIA

mający za sobą służbę w SS. Niewielką grupę stanowili żołnierze i oficerowie z jednostki Brandenburg. Wakaty postanowiono uzupełnić żołnierzami Waffen-SS odbywającymi kary dyscyplinarne i przebywającymi w obozie karnym SS i Policji Matzkau Danzing (Strafvollzugslager der SS und Polizei Danzig-Matzkau). Poprzez służbę w batalionie mieli oni możliwość odpokutowania swoich przewinień.

Należy nadmienić, że występki, których się dopuścili, miały charakter dyscyplinarny, a nie karny. Nie byli to, jak to często przedstawia się w literaturze, przestępcy kryminalni. Rodzaje wykroczeń obrazują poszczególne przypadki. SS-Sturmmann Paul Firley z 6. Dywizji Górskiej SS „Nord" skazany został na pobyt w obozie za to, że zasnął na posterunku w czasie pełnienia warty. Z kolei Norweg SS-Sturmmann Gunar Baardeseth z pułku „Norge" z 11. Dywizji Grenadierów Pancernych SS „Nordland" znalazł się w Dachau (do Dachau również kierowano esesmanów celem odbycia kary) za to, że chcąc wydostać się z frontu, postrzelił się w rękę.

Dzięki rekrutacji w obozach w październiku 1943 r. stany liczebne batalionu osiągnęły etatowe wielkości. Dowódcą jednostki został SS-Strumbannführer Herbert Gilhofer usunięty za niewykonanie rozkazu z 10. Dywizji Pancernej SS Frundsberg. W kwietniu 1944 r. zastąpił go SS-Hauptsturmführer Kurt Rybka, oficer 6. Dywizji Górskiej SS „Nord". Szkolenie batalionu odbywało się w mieście Mataruška Banja koło Kraljeva w Serbii oraz miejscowości Pape na Węgrzech. Jednostka składała się z kompani sztabowej, broni ciężkiej i trzech kompanii strzeleckich. W styczniu i lutym 1944 r. spadochroniarzy skierowano do Serbii i Bośni, gdzie uczestniczyli w walkach z partyzantami.

Desant i obława

25 maja 1944 r. o godz. 5 rano rozpoczęła się operacja „Skok Konika Szachowego". Do natarcia przystąpiły wówczas, liczące 16 tys. żołnierzy, jednostki lądowe. Ich celem było jak najszybsze dotarcie do Drvaru. O godz. 6.15 nad miasto nadleciały dwa niemieckie obserwacyjne henschle 126. Fakt pojawienia się samolotów wzmógł czujność obrońców. Ogłoszono alarm. Partyzanckie siły nie były duże, a ich trzon stanowił 400-osobowy Batalion Ochrony Sztabu i Naczelnego Komendanta. Ponadto w Drvarze znajdowały się komendy garnizonu i okręgu drwarskiego, 2. batalion saperów NOVJ oraz niewielkie struktury różnych komunistycznych organizacji. W pewnej odległości od miasta stacjonowały liczące w sumie 17 tys. ludzi 1., 9., 39. i 4. dywizje NOVJ. Najbliżej znajdowała się 6. Licka Dywizja Proletariacka.

O godz. 6.35 na Drvar spadły pierwsze bomby. Bombardowano m.in. osiedle Ekonomija, leżące niedaleko fabryki celulozy. W tym czasie ogień otworzyła jugosłowiańska obrona przeciwlotnicza. Pięć minut później centrum miasta zbombardowały Ju-87. O godz. 6.50 kolejna fala bombowców nurkujących obłożyła bombami wzgórze Sobica Glavica i skrzyżowania dróg. Kilka bomb upadło w pobliżu kwatery Tity, umiejscowionej w jaskini na wzgórzu Gradina. U jej podnóża płynęła rzeka Unac, a nad nią przebiegała trasa kolejki wąskotorowej. On sam wstał tego ranka nieco zmęczony, ponieważ do późnych godzin nocnych świętował swoje urodziny.

O godz. 7 rozpoczął się desant 314 spadochroniarzy. Na ziemi wylądowali w wyznaczonych strefach zrzutu. Gorzej było z właściwym odnalezieniem miejsc lądowania 36 szybowców typu DFS 230, wiozących kolejnych 340 żołnierzy. Trzy, w tym jeden od partyzanckiego ognia, się rozbiły (piloci zginęli). Do lądujących w pierwszej fali desantu dołączono ludzi z FAT 216 i grupę ppor. Gerharda Dovego z oddziału mjr Ernsta Benescha. W jej składzie znajdowało się sześciu pracowników Abwehry i 10 czetników. Batalion do realizacji zadania został podzielony na grupy.

Oto one: „Beisser" – 20 ludzi i „Greifer" – 40 żołnierzy z zadaniem ujęcia lub likwidacji członków brytyjskiej misji wojskowej; „Brecher" – 50 żołnierzy – z zadaniem ujęcia członków amerykańskiej misji wojskowej; „Draufganger" – 50 żołnierzy z zadaniem przejęcia radiostacji; „Stürmer" – 50 żołnierzy z zadaniem ujęcia członków sowieckiej misji wojskowej; „Panther" – 110 żołnierzy z zadaniem ujęcia lub zabicia Josipa Broza-Tity. Ponadto utworzono trzy grupy „Blau", „Grün" i „Rot". Miały one opanować Drvar i zająć pozycje obronne w mieście, celem odparcia kontrataku partyzantów.

Straty lądujących nie były wielkie. Dowódca batalionu SS-Hstuf Kurt Rybka dołączył do grupy Panther. Na wzgórzu Sobica Glavica usytuował swoje stanowisko dowodzenia. Zajmując poszczególne części miasta, spadochroniarze zatrzymywali zarówno cywilnych mieszkańców, jak i wziętych do niewoli partyzantów, a następnie przesłuchiwali ich, aby wydobyć informacje na temat miejsca pobytu Tity. Po wojnie władze jugosłowiańskie sugerowały, że spadochroniarze dokonywali egzekucji jeńców i cywilów. Wydane spadochroniarzom przed operacją rozkazy jasno wskazywały na konieczność brania do niewoli jeńców, w tym szczególnie wysokich rangą dowódców jugosłowiańskiej partyzantki.

W początkowej fazie operacji wszystkie grupy meldowały opanowanie wskazanych rejonów miasta. Zdecydowany opór napotkała grupa „Stürmer", a stawili go przybyli w rejon jej działania słuchacze szkoły oficerskiej. Biorąc pod uwagę skalę oporu partyzantów wokół jaskini, gdzie znajdowała się kwatera Tity, Niemcy doszli do słusznego przekonania, że tam znajduje się osoba będąca głównym celem operacji. W związku z tym dowódca batalionu nakazał przegrupowanie oddziałów i o godz. 10.30 rozpoczęły one szturm na pieczarę. Frontalny atak został jednak zatrzymany. Wykorzystał to Tito, który podjął udaną ucieczkę z jaskini. Wraz z nim podążyli przedstawiciele

eprasa.pl e73e707b89

alianckich misji wojskowych, m.in. syn premiera Churchilla – Randolph.

Esesmani w obronie

Tymczasem ze względu na poniesione straty i wyczerpanie zapasów amunicji Rybka podjął decyzję o wstrzymaniu dalszych działań ofensywnych do momentu przybycia drugiego zrzutu. Miał on miejsce o godz. 12. Wtedy to z 20 junkersów desantowało się 171 spadochroniarzy na czele z zastępcą dowódcy batalionu SS-Hauptstrumführerem Hansem Obermeierem. Tym razem – w przeciwieństwie do rannego zrzutu – desant był cały czas ostrzeliwany z ziemi, co już na wstępie przed przystąpieniem do walki uszczupliło stany osobowe spadochroniarzy. Obok żołnierzy zrzucono także zasobniki z amunicją.

Problemem, który się pojawił i zaczął narastać, była kwestia ciągle przybywających rannych. Usytuowanie pola walki nie dawało możliwości znalezienia dla nich bezpiecznego miejsca, gdzie nie byliby narażeni na ogień przeciwnika. Kłopotem był też brak odpowiedniej ilości środków opatrunkowych. Towarem deficytowym stała się też woda pitna. Tymczasem wraz z wkroczeniem do miasta jednostek 6. Dywizji Proletariackiej sytuacja batalionu zaczęła się systematycznie pogarszać. Presja militarna partyzantów wywierana w różnych punktach miasta była tak silna, że esesmani nie byli w stanie utrzymać swoich pozycji bojowych. Jako pierwsi opuścili je żołnierze grupy „Becher", wykorzystując do noszenia rannych oraz amunicji zatrzymanych cywilnych mieszkańców Drvaru. Rybka, widząc rozciągnięcie niemieckich linii obronnych, nakazał spadochroniarzom wycofać się w kierunku miejsca dowodzenia batalionu. Partyzanci zaczęli ostrzeliwać Niemców z moździerzy. Jeden z odłamków ciężko ranił obserwującego pole walki Rybkę. Skomplikowało to sprawę dowodzenia jednostką, ponieważ zastępca Rybki, SS-Hauptstrumfürher Hans Obermeier, był odcięty i wkrótce zginął. Odpowiedzialność za dowodzenie batalionem spadło na oficera Luftwaffe, kpt. Ottona Bentrupa.

Położenie spadochroniarzy z godziny na godzinę stawało się coraz bardziej krytyczne. Ze względu na odczuwalne braki amunicji i środków opatrunkowych o godz. 20 Ju-52 zrzuciły kilka zasobników z tymi materiałami. Pod osłoną nocy ostatni spadochroniarze wycofali się na szczyt cmentarnego wzgórza. O sytuacji na nim wspominał jeden z pilotów szybowców, walczący wraz ze spadochroniarzami: „Udało mi się cało i zdrowo dotrzeć do płytkiego okopu, biegnącego wzdłuż północno-zachodniej krawędzi cmentarza, gdzie już ramię w ramię tkwili nasi ludzie. Parę metrów za moimi plecami znajdował się punkt łączności radiowej, a w południowo-zachodniej części muru punkt sanitarny. Już wkrótce, w nocy, pocisk moździerzowy zniszczył główną radiostację wraz z obsługą. Trafiono również w punkt sanitarny. Co jakiś czas nasze pozycje zalewał potop ognia".

O godz. 23 do ataku wyruszyły kolejne oddziały NVOJ. Walki przybrały bardzo zacięty charakter. Dzięki determinacji spadochroniarzy szturmujących odrzucono. Niemiecki korespondent wojenny tak opisywał te wydarzenia: „Przed północą bandy znowu napierają. Teraz zbliżają się ze wszystkich stron. Ale spadochroniarze SS jeszcze przed nastaniem ciemności przygotowali się do obrony. Ze wszystkich stron wokół głów odzianych w hełmy świszczą pociski i fruwają odłamki, niosą się głośne okrzyki komend. Jakkolwiek sytuacja byłaby beznadziejna, a walka zażarta, ludzie trzymają się dzielnie. Lekko ranni starają się być użyteczni, ładując puste magazynki i taśmy do karabinów maszynowych. Na nasze pozycje 20 razy rusza ludzka fala i 20 razy zostaje odparta".

Mundur marszałkowski Josipa Broza-Tity

FOT. WIKIPEDIA/BOKSI

Nad ranem 26 Maja 1944 r. partyzantów zbombardowały samoloty Luftwaffe, które pojawiły się nad drvarskim niebem. Dowództwo NVOJ uznało, że nie będzie w stanie zniszczyć całkowicie spadochroniarzy, i nakazało oddziałom wycofanie się. W tym czasie esesmanom udało się nawiązać kontakt radiowy z grupą bojową 373. Dywizji Piechoty. Odsiecz dotarła do nich dopiero o godz. 12.15. Czynu tego dokonali żołnierze 92. Zmotoryzowanego Pułku Grenadierów. Ostatecznie operacja „Skok Konika Szachowego" okazała się porażką Niemców. Nie udało im się ująć ani zlikwidować jugosłowiańskiego komunistycznego przywódcy. Słabym, ale jedynym pocieszeniem był fakt zdobycia jednego z noszonych przez Josipa Broza-Titę mundurów, który prezentowano potem na wystawie w Wiedniu. Batalion Spadochronowy SS poniósł w walkach olbrzymie straty sięgające 33 proc. stanu osobowego. Zginęło lub zaginęło 72 żołnierzy, 205 odniosło rany, w tym 114 ciężkie. Poległo też pięciu pilotów szybowcowych i kilkunastu ludzi z grup wywiadowczych. Główna jednostka partyzancka walcząca ze spadochroniarzami – 6. Dywizja Proletariacka – poniosła straty 86 zabitych, 45 zaginionych i 79 rannych.

Po walkach w Drvarze 500. Batalion Strzelców Spadochronowych SS został wycofany na odpoczynek i uzupełnienie stanów osobowych. Następnie esesmanów dyslokowano na front wschodni. Walczyli tam jako zwykła piechota, m.in. w okolicach Wilna i Kowna. Dowodził nim SS-Sturmbannführer Sigfried Milius. Po zakończeniu walk 90 pozostałych przy życiu żołnierzy wycofano do Kłajpedy, a w październiku 1944 r. batalion oficjalnie rozwiązano. Weterani jednostki wstąpili do 600. Batalionu Strzelców Spadochronowych SS (SS-Fallschirmjäger-Bataillon 600), w którym walczyli do końca wojny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e73e707b89

X–XI w. / Prusy, Gniezno, Kraków

Zabójstwo biskupa Wojciecha. Scena z Drzwi Gnieźnieńskich FOT. WIKIPEDIA/MATHIASREX

Męczeństwo służy państwu

Tomasz Stańczyk

Zabójstwa biskupów Wojciecha Sławnikowica i Stanisława Szczepanowskiego przyniosły korzystne skutki polityczne państwu Piastów

Nie minęło nawet pół wieku od chrztu Polski, a nasz Kościół zyskał pierwszego męczennika. Dla młodej chrześcijańskiej społeczności było to niezwykle ważne wydarzenie. Męczeństwo bowiem jest bardzo wysoko cenione – przez każdą zresztą religię – jako najwyższa ofiara; uczyniona jest bowiem z życia. A także stanowi wzór nieustępliwości i stanowczości w kwestiach wiary. Posiadanie ciała męczennika stawiało państwo Piastów na równi z innymi państwami chrześcijańskimi.

Tym pierwszym męczennikiem był Wojciech, biskup Pragi, pochodzący z czeskiego rodu Sławnikowiców. Według hagiografii, gdy zachorował w dzieciństwie, rodzice modlili się o jego uzdrowienie, ślubując, że jeśli zostaną wysłuchani, to oddadzą syna na służbę Bogu. Kilka lat Wojciech spędził w otoczeniu arcybiskupa magdeburskiego, ale gdy wrócił do domu, „Pana Boga mało pamiętał", jak pisał ks. Piotr Skarga, zaczął biesiadować „i rozkoszy marnej używać".

Wstrząsającym wrażeniem doznanym przez Wojciecha, które miało zmienić jego życie, stała się agonia praskiego bp. Dytmara, który wykrzykiwał, że diabli biorą go do piekła. Wojciech został jego następcą, jednak natrafiał na nieprzezwyciężone kłopoty w walce z grzesznymi obyczajami wiernych, do tego stopnia, że wyjechał z Czech i znalazł się w klasztorze Benedyktynów na Monte Cassino. Papież kazał mu wrócić do ojczyzny. Nic się jednak w niej nie zmieniło.

W końcu Wojciech przyjechał do Polski, skąd wysłał list do Pragi, pytając, czy tam chcą go jako biskupa, ale i czy przyrzekają poprawę. Odpowiedź była odmowna. W walkach wewnętrznych zginęło czterech braci Wojciecha i czescy możnowładcy obawiali się, że przyjazd Wojciecha oznaczać będzie zemstę. Podobno biskup odetchnął z ulgą, że nie musi wracać do miasta grzechu. Poprosił Bolesława Chrobrego, by pozwolił mu prowadzić misję u pogan. Osiągnął sukces na Pomorzu, ochrzcił tamtejszego księcia, inaczej jednak było wśród Prusów, do których się udał w 997 r. Wojciech zrezygnował ze zbrojnej eskorty, którą przydzielił mu książę, bo – jak pisał Feliks Koneczny – „nie chciał występować wobec Prusaków w otoczeniu wojennego rynsztunku". Inna to sprawa, czy 30 rycerzy ochroniarzy zapewniłoby bezpieczeństwo misjonarzowi.

Zjazd gnieźnieński

Prusowie ostrzegali Wojciecha i grozili mu oraz dwóm towarzyszącym mu księżom: „Uciekajcie stąd, bo was pozabijamy i pomęczymy prędko". Bez względu na to Wojciech pragnął nawracać Prusów, ostatecznie ocenił jednak, że rzecz jest chyba beznadziejna, gdyż jest wyśmiewany. Postanowił spróbować szczęścia na Litwie, nie dotarł tam jednak. W drodze dopadli go Prusowie, inspirowani przez swego najwyższego kapłana. Skarga pisał: „Siedem włóczni

eprasa.pl e73e707b89

w nim utopili i rozsiekawszy, na drzewie zawiesili".

Bolesław Chrobry, dowiedziawszy się o śmierci Wojciecha, wykupił jego ciało za wysoką cenę. Prusowie zażyczyli sobie tyle kilogramów cennego kruszcu (Gall mówi o złocie, Skarga o srebrze), ile ważyło ciało biskupa. Według legendy, za sprawą Boską „ciało ono tak się lekkie na wagach stało, że bardzo mało srebra ważyło".

Niezależnie od tego, ile ważyło, Bolesławowi opłacało się zapłacić za szczątki męczennika nawet wielokrotnie więcej, chociaż Chrobry nie mógł przewidzieć, jak bardzo doniosłe politycznie będą konsekwencje sprowadzenia szczątków misjonarza do Gniezna. Cesarz Otton III postanowił bowiem nawiedzić grób Wojciecha, którego zresztą znał. Doszło więc w 1000 r. do bezpośredniego spotkania władców w Gnieźnie, a wiadomo, jak ważne w polityce są osobiste kontakty. Cesarz nie mógł nie być zdziwiony, że książę dysponuje bogactwem, a i też licznym rycerstwem, prawdopodobnie nie spodziewał się tego. Rycerze różnych oddziałów byli ubrani w odmienne stroje i barwy. „A nie była to tania pstrokacizna – utrzymywał Gall – lecz najkosztowniejsze rzeczy, jakie można było znaleźć na świecie".

Otton III, widząc prezentację bogactwa, ale też siły, uznał Bolesława za godnego siebie partnera. „Nie godzi się takiego i tak wielkiego męża – opowiadał Gall – jakby jednego z dostojników, księciem nazywać lub hrabią, lecz wypada chlubnie wynieść go na tron królewski i uwieńczyć koroną. A zdjąwszy z głowy swój diadem cesarski i włożył na głowę Bolesława". Mianował go też „bratem i współpracownikiem cesarstwa". Profesor Andrzej Nowak pisał w „Dziejach Polski do 1202 r.", że Bolesław miał zbudować wschodni fundament nowego porządku chrześcijańskiej Europy. Obok Italii, Germanii, Galii miała być to Sclavinia – świat słowiański.

Relikwia za relikwię

Kto wie, może gdyby Otton żył dłużej (zmarł dwa lata po zjeździe w Gnieźnie w wieku zaledwie 22 lat, Chrobry nie czekałby na koronę jeszcze ćwierć wieku. Niemniej fakt, że niemiecki cesarz uznał polskiego księcia za godnego korony, mógł pomóc w staraniu się o nią i rozsławił w Europie młode państwo chrześcijańskie.

Zabójstwo biskupa Stanisława. Fragment tryptyku z 1500 r. w kościele św. Stanisława w Bielsku-Białej FOT. MARTYROLOGIUM.BLOGSPOT.COM

Niemiecki biskup Thietmar, kronikarz, nie mógł pogodzić się z uznaniem, jakim w oczach cesarza cieszył się Bolesław: „Oby Bóg przebaczył cesarzowi [Ottonowi III], że czynszownika [Bolesława Chrobrego] czyniąc udzielnym panem, do tego stopnia go wywyższył [...]".

Cesarz podarował Bolesławowi kopię włóczni św. Maurycego, z cząstką gwoździa z krzyża, na którym umarł Chrystus. Bolesław zrewanżował mu się relikwią – ramieniem Wojciecha. Polityczne skutki fascynacji Ottona III polskim księciem trwały krótko, gdyż po jego śmierci Bolesław musiał wojować z cesarstwem.

Znacznie ważniejszy – bo długotrwały skutek – był inny, także polityczny. Otton III, jak odnotował Gall, przekazał Chrobremu władzę w zakresie udzielania godności kościelnych, która dotąd przysługiwała cesarstwu. Poza tym, w rezultacie zjazdu gnieźnieńskiego powstała metropolia gnieźnieńska, a więc polski Kościół nie zależał już od obcej metropolii. Było to niewątpliwie w interesie państwa piastowskiego, także i późniejszych księstw dzielnicowych oraz z pewnością pomogło w zjednoczeniu Polski w XIV w. Dalekim echem ustanowienia metropolii gnieźnieńskiej było to, że choć piastowski Dolny Śląsk nie wszedł w skład zjednoczonej Polski, to władza arcybiskupów z Gniezna wciąż rozciągała się na diecezję wrocławską, aż do 1821 r.

Król kontra biskup

Polityczne wątki i następstwa wiążą się z męczeństwem biskupa krakowskiego Stanisława. Do dziś nie jest w pełni jasne, co było przyczyną jego zabójstwa. Gall Anonim zarzucił biskupowi zdradę, niektórzy historycy twierdzili, że biskup był w zmowie z możnowładcami, którzy chcieli obalić zbyt samowładnego, energicznego księcia. Inni zwracają uwagę, że ambitny i drażliwy Szczodry mógł nie ścierpieć jakichkolwiek pouczeń biskupa, czy to dotyczących obrazy praw Boskich, czy też praw Kościoła. Mógł je zakwalifikować jako zdradę. Feliks Koneczny sądził, że przebywając dłuższy czas w zdobytym Kijowie, widział, jak duchowni prawosławni są podporządkowani

eprasa.pl e73e707b89

księciu kijowskiemu – niczym w dzisiejszej Rosji – stąd „pobyt króla w Kijowie zachęcał do pewnego lekceważenia duchowieństwa uległego po bizantyjsku". Król miał próbować postępować z Kościołem w Polsce właśnie po bizantyjsku.

Warto zwrócić uwagę na legendę o Piotrowinie, czyli Piotrze. Według niej biskup kupił dla Kościoła jego dobra, jednak podbechtani przez króla krewni Piotra zażądali, by własność po zmarłym wróciła do rodu. Biskup wybrał się do grobu Piotra, wymodlił jego wskrzeszenie, by stawił się na sąd królewski i świadczył na jego korzyść. Ostatecznie król – pod wrażeniem wskrzeszonego Piotra – potwierdził nabytą własność Kościoła. Gdyby nie to – twierdził Koneczny – powstałby groźny precedens: Kościół nie mógłby nabywać majątków z rąk prywatnych. A Bolesław chciał, by Kościół także pod względem majątkowym zależał od niego.

Inną przyczyną konfliktu miało być ujmowanie się biskupa za niewiernymi żonami rycerzy, którzy wybrali się z królem na Ruś. Król kazał je karać, podobno obcinaniem piersi lub dostawianiem do nich szczeniąt. Co więcej, Szczodry był wściekły na rycerzy, który dowiedziawszy się o cudzołóstwie żon, wrócili z Kijowa do kraju, a więc zdezerterowali, i także ich karał.

„Jawnie ludzi gorszył – pisał o królu Gall Anonim – i wielkim okrucieństwem, a nieznośnymi ciężarami stany wszelkie uciskał". Było więc wiele powodów do niezadowolenia.

Nie znaczy to koniecznie – choć nie wyklucza – że biskup był uczestnikiem spisku zawiązanego z tych powodów. Być może jedynie występował z pouczeniami moralnymi wobec króla, których ten nie mógł znieść i zakwalifikował je jako zdradę. A Stanisław był jedynym, który się odważył krytykować króla, gdyż pozostali biskupi po prostu się bali. Prywatne napomnienie monarchy nie poskutkowało, biskupi uradzili więc, że musi odbyć się publiczna krytyka i nałożenie kary na Bolesława. Oczywiście znów żaden z nich się do tego nie palił, poprosili więc biskupa krakowskiego. Stanisław obłożył króla klątwą. Była to straszna broń: Bolesław faktycznie został wykluczony z Kościoła, a jego poddani nie musieli być mu wierni.

Dwa lata wcześniej, w 1077 r., cesarz Henryk IV ukorzył się w Canossie przez papieżem Grzegorzem VII. Bolesław nie mógł o tym nie wiedzieć, ale nie zamierzał zrobić kroku w tył. Nie wziął sobie do serca lekcji z Canossy – a przyszłość pokazała przecież, że cesarz tylko chwilowo się ugiął, by potem wygnać papieża.

Niejasne jest, czy odbył się sąd królewski czy też biskup nie stawił się nań i w rezultacie zapadł wyrok śmierci, być może za aprobatą wystraszonych biskupów. Zwracano jednak uwagę, że gdyby tak się stało, nie byłoby powodów do buntu przeciw królowi.

Do zabójstwa doszło w 1079 r. w kościele na Skałce w Krakowie. Mordu mieli dokonać ludzie Bolesława, jednak zaczęli „drżeć, padać i ślepymi stawać się", więc uciekli z kościoła. Król jednak nie zważał na ten oczywisty znak, potraktował go jako tchórzostwo więc sam „wbiegł do kościoła, miecz w świętej głowie utopił i okrutnie zamordował". Czy tak było, nie wiadomo z pewnością, ale ta hipoteza znajduje poparcie w porywczym temperamencie króla.

Badanie czaszki św. Stanisława przeprowadzone w latach 60. ubiegłego wieku wykazało, że w jej tylnej części znajdowało się wgniecenie, skutek uderzenia. Najpewniej wyklucza to śmierć z wyroku sądu królewskiego, gdyż – jak zapytywał prof. Jan Widacki – jakiż kat uderza skazańca mieczem w tył głowy.

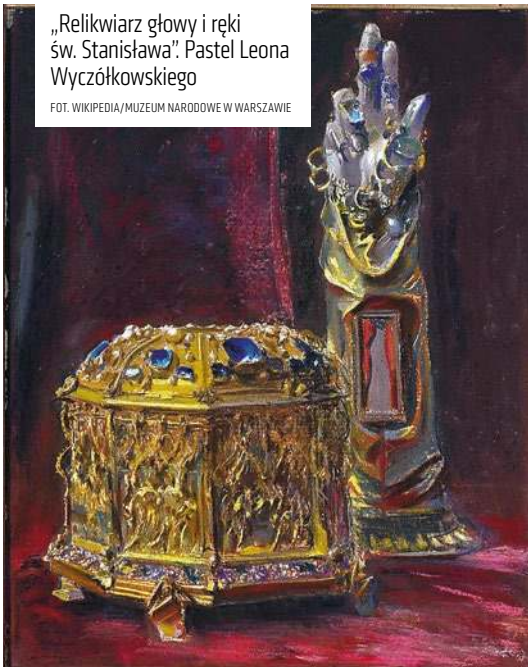

„Relikwiarz głowy i ręki św. Stanisława". Pastel Leona Wyczółkowskiego

FOT. WIKIPEDIA/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

W opinii Galla król, sam będąc pomazańcem Bożym, nie powinien był drugiego pomazańca za żaden grzech karać cieleśnie. „Wiele mu to bowiem zaszkodziło, gdy grzech przeciw grzechowi zastosował i wydał biskupa na obcięcie członków".

Konflikt skończył się fatalnie dla króla Bolesława Szczodrego. Także z powodu zabójstwa biskupa Stanisława ten niewątpliwie wybitny władca musiał uchodzić z kraju i zmarł na obczyźnie.

Zrośnięte ciało Polski

To, co się stało z ciałem biskupa, miało doniosłe polityczne skutki, które ujawniły się dwa wieki później. Bolesław Szczodry miał nakazać swoim ludziom, by poćwiartowali ciało zamordowanego biskupa. Rozbicie dzielnicowe, a zatem poćwiartowanie ciała Polski, uważano za zemstę Boga na królestwie. Po Bolesławie Śmiałym przez prawie 220 lat żaden Piast nie włożył korony. Jednak z ciałem Stanisława miał się stać cud: zrosło się. I tę legendę wykorzystano propagandowo. Podzielona na dzielnice Polska miała się zrosnąć tak, jak ciało biskupa. Kult św. Stanisława stał się „głównym ideowym narzędziem dążeń do zjednoczenia dziedzictwa piastowskiego – pisał prof. Andrzej Nowak – do spojenia rozbitych na dzielnice ziem polskich".

Kanonizacja Stanisława nastąpiła w 1253 r., za czasów Bolesława Wstydliwego, potomka Bolesława Szczodrego, a rok później w krakowskich uroczystościach wzięli udział liczni książęta piastowscy. Niewiele dziesiątków lat później, niesiony zapewne także legendą o cudownym zrośnięciu się ciała biskupa, Władysław Łokietek rozpoczął proces jednoczenia Polski, korzystając także ze wsparcia Jakuba Świnki, arcybiskupa gnieźnieńskiego.

Choć królowie Polski mieli różne zatargi z Kościołem, to zwyczajem się stało, że każdy monarcha po koronacji udawał się z pielgrzymką na Skałkę, niejako przepraszając za grzech Bolesława Śmiałego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e73e707b89

1940–1945 / Francuskie oddziały pomocnicze przy gestapo

Abel Danos, Henri Lafont, Pierre Bony FOT. WIKIWAND

Mętne wody państwa Vichy

Piotr Semka

W likwidowaniu ciał zamordowanych ofiar katowni przy rue Lauriston pomagał francuskim pomocnikom gestapo seryjny morderca, a jednocześnie lekarz Marcel Petiot

Okres uzależnienia Francji od III Rzeszy w latach 1940–1945 zazwyczaj przedstawiany jest jako dzieje kolaboracji tworu państwowego zwanego Państwem Francuskim pod wodzą marszałka Philippe'a Pétaina. Wiele wiemy też o walce u boku Niemców takich formacji jak Legion przeciwko Bolszewizmowi, który potem zmienił się w dywizję SS „Charlemagne".

Ale znacznie mniej znany jest fakt istnienia francuskich oddziałów pomocniczych przy okupacyjnym gestapo. Te niezwykle groźne dla ruchu oporu i ukrywających się Żydów formacje nie miały nawet specjalnie określonej nazwy. Do historii przeszły jako „Carlingue".

Francuskie gestapo

Kiedy w 1940 r. Niemcy zajęli północną i zachodnią część Francji, marszałek Pétain, który postanowił iść drogą kolaboracji, naiwnie był przekonany, że

eprasa.pl e73e707b89

Budynek, w którym znajdowała się paryska siedziba gestapo FOT. WIKIWAND

Niemcy potraktują go jako jedynego partnera w zarządzaniu Francją. Pierwszą gorzką pigułką był sam akt stworzenia przez Niemców strefy okupowanej, która obejmowała całe wybrzeże atlantyckie Francji od okolic Lille poprzez Paryż aż do granicy hiszpańskiej.

Potem szybko okazało się, że administracja i siły policyjne, które podlegały rządowi Vichy na terenach okupowanych, są dublowane przez struktury bezpośrednio podporządkowane niemieckiemu gestapo. Niemcy stawiali także na takich polityków jak Jacques Doriot czy Marcel Déat, którzy po cichu ignorowali władzę Vichy i sugerowali Niemcom, że Francją powinna rządzić tutejsza partia o charakterze podobnym do NSDAP. Czołowym organem tych bardziej proniemieckich niż w Vichy kolaborantów był dziennik „Je Suis Partout", który podkreślał, że Francja potrzebuje przemiany bardziej radykalnej niż „rewolucja narodowa" lansowana przez Pétaina. To był jednak tylko ideologiczno-polityczny front podwójnej gry, którą toczyły władze niemieckie ze złudnie przekonanym o swym prestiżu marszałkiem.

O wiele większe znaczenie dla Niemców miało stworzenie czegoś w rodzaju własnego francuskiego pomocniczego gestapo. Ta nieformalna struktura była zarządzana pospołu przez gestapo, Sicherheitsdienst oraz Geheime Feldpolizei. Niemcy postawili na wyjątkowo brutalną, ale i sprawną strukturę postprzestępczą, którą stworzyli dwaj profesjonalni gangsterzy z paryskiego półświatka – Henri Lafont oraz Pierre Loutrel. Wspomagał ich skorumpowany ekspolicjant Pierre Bonny.

Bardzo szybko adres francuskiego gestapo przy 93 rue Lauriston 16. dzielnicy Paryża stał się adresem, który budził w okupowanym mieście przerażenie. O ile w wypadku zatrzymania przez Niemców można było powoływać się na jakieś procedury czy przepisy (Niemcy mieli początkowo zalecenie, by bez potrzeby nie czynić sobie wrogów z Francuzów), o tyle w wypadku Carlingue nie można było liczyć na nic, chyba że na słoną łapówkę.

W niemieckiej nomenklaturze Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy francuskie gestapo nazywano mianem Aktivgruppe Hesse od nazwiska oficera SS, który nadzorował działania kolaborantów. Grupa działała na szeroką skalę od 1941 r. Bardzo szybko położyła rękę na czarnym rynku i korzystała z przedwojennej jeszcze sieci podległych mafijnym strukturom skorumpowanych urzędników, polityków i biznesmenów. Wstydliwym dla Francuzów faktem jest to, że gdy po zdobyciu Paryża Niemcy ogłosili rekrutację w limicie 2 tys. do pomocniczych jednostek policjantów francuskich otrzymali zgłoszenia aż od 6 tys. kandydatów.

Jednym z upiornych szczegółów działalności katowni przy rue Lauriston był fakt, że w likwidowaniu ciał zamordowanych ofiar pomagał francuskim pomocnikom gestapo seryjny morderca, a jednocześnie lekarz Marcel Petiot. Francuskie gestapo po pewnym czasie zaczęło rywalizować z milicją stworzoną przez Vichy. W walce z ruchem oporu oba ugrupowania tworzyły taktykę, którą zastosowało po wojnie polskie UB przeciwko żołnierzom wyklętym. Tworzono fałszywe oddziały ruchu oporu Maquis, które wysyłano w rejony działania prawdziwych grup partyzanckich i pozwalano nawet na wielkie ataki na Niemców, aby w odpowiedni sposób zalegendować prowokatorów.

Do takich akcji należała operacja w rejonie Turle w centralnej Francji w styczniu 1944 r. Tam członkowie Carlingue pod wodzą Alexandre'a Villaplane skutecznie zwalczyli miejscowe oddziały partyzanckie, zaprowadzając spokój w rejonie. Osobnym problemem było zjawisko tzw. dzikich Maquis, czyli band przestępczych, które podawały się za siły podporządkowane rządowi gen. Charles'a de Gaulle'a, ale de facto miały wyłącznie cele rabunkowe. W takich wypadkach Carlingue raczej szybko dogadywała się z apolitycznymi bandytami i skłaniała ich do wspólnego działania przeciwko patriotom.

Lądowanie aliantów w Normandii w czerwcu 1944 r. jeszcze spotęgowało brutalizację działań Carlingue. A z drugiej strony znacząco poszerzyło liczbę oddziałów partyzanckich. Zarówno Vichystowska milicja, jak i francuscy pomocnicy Gestapo przestali w ogóle brać jeńców z likwidowanych grup Resistance i rozstrzeliwali wszystkich złapanych na miejscu. Z kolei partyzanci też strzelali pomocnikom gestapo w plecy.

Eskalację przemocy pokazał w swoim filmie z 1974 r. „Lacombe Lucien" reżyser Louis Malle. Opowiada w nim historię młodego człowieka z jednej z miejscowości francuskiego Masywu Centralnego. Film oparty na prawdziwych wydarzeniach jest jedną z niewielu prób pokazania ponurego fenomenu Carlingue. Reżyser pokazuje, jak wiele znaczył zwykły przypadek w wyborze stron walki w czasie okupacji. Młody człowiek, tytułowy Lucien Lacombe, zgłasza się do miejscowego ruchu oporu, który odsyła go z kwitkiem, informując, że nie potrzebuje 18-latków. Młodzieniec przyjmuje to jako zniewagę i chcąc się zemścić za urazę, zostaje wspólnikiem miejscowego oddziału Carlingue. Szybko przekracza wszelkie granice w okrucieństwie, przy stosowaniu tortur budząc zdumienie i przerażenie nawet u doroślejszych od siebie weteranów współpracy z gestapo. Wykorzystuje swoją wszechwładną pozycję do szantażowania ukrywającej

eprasa.pl e73e707b89

się rodziny Żydów. Gdy jednak wobec zbliżania się aliantów próbuje uciec do Hiszpanii, wpada w pułapkę oddziału Maquis. Zostaje rozstrzelany na miejscu.

Na wygnaniu

Sukcesy aliantów musiały otrzeźwić nawet najbardziej fanatycznych pomocników Niemców. Późną jesienią 1944 r. część członków siatki Carlingue wycofuje się w kierunku Rzeszy pod osłoną cofającego się Wehrmachtu. Nowym „emigracyjnym" centrum niedobitków po Vichy staje się zamek Sigmaringen w Wirtembergii. Tutaj przy asyście Abwehry powstaje pomysł stworzenia francuskiej kontrpartyzantki, która przerzucana byłaby za linie frontu drogą zrzutów spadochronowych. Operację nazwano „Maquis Blanc".

Celem było umieszczenie na terenach zajętych przez Amerykanów sabotażystów, którzy mieli w razie niemieckiej kontrofensywy wywołać panikę i sporządzać listy tych, którzy „kolaborowali" z Amerykanami i Brytyjczykami. Historycy sprzeczają się, jak duża była grupa Francuzów, których wyszkolono w technikach wysadzania mostów, utrzymywania kontaktu radiowego z niemiecką centralą i wreszcie zasad walki partyzanckiej. Nocą 15 grudnia 1944 r. amerykańska latająca forteca zdobyta przez Niemców zrzuciła nad płaskowyżem Étangs de Clergoux grupę 11 spadochroniarzy, którzy mieli ukryć się w miejscowych lasach. Jednak Abwehra nie wzięła pod uwagę skali antynazistowskich nastrojów zwykłych Francuzów. Prości wieśniacy bardzo szybko wypatrzyli i wyłapali popleczników III Rzeszy i wydali ich w ręce francuskiej żandarmerii.

Na stacji kolejowej Corrèze zdemaskowany skoczek popełnia samobójstwo, używając cyjanku ukrytego w plombie zęba. Inny sabotażysta, przywódca grupy Louis Pasthier został aresztowany w mieście Clergoux. Fatalne efekty wysłania pierwszej grupy w okolice Correze nie zniechęciły Niemców. 7 stycznia 1945 r. znów wysłano trzech zrzutków i znów Niemcy zrzucili ich ze zdobycznego amerykańskiego samolotu Dakota. Wojsko francuskie i policja, a także ochotnicy z ruchu oporu szybko zaczęli przeszukiwać miejscowe lasy. Wszyscy trzej agenci zostali szybko schwytani i skazani na 20 lat pracy przymusowej.

Niepowodzenia zrzutów mogły być też efektem umieszczenia w centrum dowodzenia emigracyjnego Vichy alianckich agentów, którzy na bieżąco ostrzegli władze francuskie przed zrzutami sabotażystów na usługach III Rzeszy.

Ostatnie podrygi

O byłych członkach Carlingue francuska opinia publiczna jeszcze raz usłyszała w 1946 r. przy okazji wyczynów słynnej grupy przestępczej, tzw. Gang des Tractions Avant.

Banda ta zdobyła rozgłos serią zuchwałych napadów rabunkowych na banki i kasy wypłat w paru fabrykach. Grupa posługiwała się bardzo szybkimi jak na ówczesne czasy samochodami marki Citroën 11CV Tractions Avant – stąd nazwa grupy. Jej lider Pierre Lourtrel zgromadził wokół siebie ludzi gotowych na wszystko zarówno z kręgu dawnych członków Carlingue, jak i paru uczestników ruchu oporu. Powojenne zubożenie przy jednoczesnym nawyku do używania broni w przedziwny sposób połączyło ludzi, którzy w czasie wojny walczyli po dwóch różnych stronach barykady. Sam Lourtrel znany jako „Pierrot le Fou", czyli „Piotruś wariat", był w czasie wojny członkiem zespołu René Launaya, który długie lata okupacji polował na bojowników Resistance w imieniu gestapo, po czym w bardzo zgrabny sposób zmienił front i dołączył do sieci grupy oporu w Tuluzie.

Gang des Tractions Avant dokonał całej serii napadów rabunkowych na Lazurowym Wybrzeżu, w Paryżu i w Prowansji, nie dając się schwytać od lutego aż do listopada 1946 r. Ich łupem padło w ciągu tych miesięcy 80 mln franków, czyli ponad 6,5 mln euro. Cały gang wyłapano i skazano na kary śmierci. Pełna skala działalności Carlingue jest odkrywana przez historyków dopiero od niedawna.

Po wojnie osoby najbardziej skompromitowane zostały szybko skazane na śmierć i rozstrzelane, o ile nie padły wcześniej ofiarą samosądów partyzanckich. Ale część zdrajców załatwiła sobie parasol francuskich służb specjalnych z racji fenomenalnej wiedzy dotyczącej wielu obszarów świata przestępczego. Oblicza się że po wyzwoleniu ok. 150 współpracowników gestapo zostało ukaranych sądownie. Nie wiadomo, ilu zabito bez sądu z rąk Maquis. Spośród 64 skazanych tylko 22 ukarano rozstrzelaniem. Niektórzy wedle utartej plotki trafili do francuskich służb specjalnych, gdzie byli użyteczni jako skrytobójcy. Gorzka wiedza o praktyce służb specjalnych pozwala wierzyć, że wirtuozi trucizny i pistoletu mogli znaleźć po wojnie nowych panów.

Marcel Petiot FOT. GETTY IMAGES

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e73e707b89

1914–1918 / Oficerowie III Brygady

„Atak czwartaków pod Jastkowem". Reprodukcja obrazu Józefa Świrysz-Ryszkiewicza FOT. WIKIPEDIA

Mężni z brygady najmniej znanej

Marek Gałęzowski

Ofiara życia wielu z nich tworzyła nie legendę, a fundament polskiego wojska, dowodząc, że niepodległość nie została darowana

O to jak poeta legionista Józef Relidzyński upamiętnił chorążego Romana Bereskiego, któremu kilku miesięcy brakowało do ukończenia 19 lat, kiedy w bitwie pod Jastkowem na Lubelszczyźnie (31 lipca–3 sierpnia 1915 r.), po tym, jak dowódca jego kompanii został zraniony, objął jej dowództwo, by w potężnym ogniu Rosjan poprowadzić żołnierzy naprzód:

Przez szkła polowe dojrzałem go wreszcie – na wznak spoczywał i wznosił kurczowo, sztywnie rewolwer; na ustach mu słowo „naprzód" zastygło, zdało się w szeleście... I tak pozostał w ciągu bitwy całej, z ręką sterczącą, martwą, jakby palbą kul reszty wrogom groził jeszcze, albo w niebo wskazywał, obrzękły, zsiniały...

W tym natarciu legionistów, które z brawurą podeszło pod rosyjskie okopy, „padł młodziutki Bereski u samych wrót piekieł: u zajazi [czyli pułapki] drutów – ręką jeszcze skrzepłą, wyciągniętą, z rewolwerem w zaciśniętej dłoni, wskazując drogę swemu plutonowi...". Ten z kolei opis zawdzięczamy Władysławowi Orkanowi, znanemu pisarzowi, wówczas oficerowi tego samego 4. pułku piechoty co poległy bohater. Pułk ten przynależał do III Brygady Legionów, powstałej niespełna dwa miesiące wcześniej przed jastkowską bitwą, pierwszą dla niej na legionowym szlaku. Brygady najmniej znanej, a przecież mającej w swoich szeregach oficerów nie mniej mężnych niż dwie słynne brygady: I Józefa Piłsudskiego i II Józefa Hallera.

„Nic wielkiego..."

Wybitny polski mediewista Jan Dąbrowski, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, a jednocześnie oficer Legionów, w których służyło – co zawsze warto przypominać – wielu wybitnych przedstawicieli polskiej kultury, wspominał, że żaden z kolegów znających Kazimierza Gwiazdomorskiego „jako dziesięcioletniego jeszcze uczniaka, nie uwierzyłby nigdy, że ten malutki, drobny chłopczyna, krótkowidz, wiecznie słaby na serce, polegnie śmiercią walecznych jako polski oficer. Nigdy go zresztą wojaczka nie zajmowała". Lecz wstąpienie do Legionów to było coś więcej niż zwykła wojaczka. To był wybór ideowy, opowiedzenie się za czynnym wystąpieniem przeciw zaborcy, by tym sposobem wybić drogę do niepodległego państwa.

Kazimierz Gwiazdomorski pochodził z Krakowa, gdzie jego ojciec, lekarz, był właścicielem i dyrektorem Domu Zdrowia, pierwszej prywatnej placówki zdrowotnej w Krakowie. Ukończył słynne III Gimnazjum im. Króla Jana III Sobieskiego, który wydało tylu wybitnych uczestników zmagań o niepodległość Polski. Do Legionów wstępował, mając 24 lata i prawie ukończoną matematykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Do III Brygady przeszedł z 2. pułku legionowego, mając za sobą ciężkie boje w Karpatach. I z nią bił się na Wołyniu.

W końcu października 1915 r. pod Kamieniuchą „Moskale zerwali się do

eprasa.pl e73e707b89

Maciejówka legionowa FOT. MWP

kontrataku. Wykonali go po swojemu, ławą i na oślep. Zostali odparci, pozostawiając w naszych rękach 500 jeńców. Pościg za pobitym nieprzyjacielem trwa dalej i zaczyna się zbieranie smutnych trofeów zwycięstwa – rannych. Przebiegałem właśnie przez pobojowisko i zobaczyłem nosze, a w nich adiutanta Gwiazdomorskiego. Poznał mnie, gdyż machnął ręką i rzekł prawie wesoło: – Nic wielkiego. Jestem ranny w nogę…" – wspominał jego kolega z pułku Józef Gigiel-Melechowicz, który ćwierć wieku później znajdzie się w dole śmierci pod Charkowem, zamordowany wśród tysięcy innych oficerów Wojska Polskiego przez NKWD.

A Kazimierz Gwiazdomorski? Jego rana jednak okazała się śmiertelna… Wspomnijmy, że poległy oficer był starszym bratem Jana. Zbyt młody na Legiony, był później oficerem WP w czasie wojny z bolszewikami, a później wybitnym prawnikiem, który jako profesor najstarszej polskiej uczelni został aresztowany 6 listopada 1939 r. przez Niemców w tzw. Sonderaktion Krakau i uwięziony w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. Przeżył wojnę, wrócił do pracy naukowej na macierzystym uniwersytecie, napisał wspomnienia przedstawiające martyrologię profesorów, więzionych razem z nim w niemieckim obozie.

Brat legionista

„Uwielbiany dla zalet swego charakteru i umysłu przez swych podwładnych, wiódł swoją 3. komp[anię] w akcji pod Kopnem, wzorowo prowadząc do trzech ataków i trzech kontrataków, dzięki którym przyczynił się wybitnie do akcji, która wprawdzie wyczerpała 6. pp na krótki czas, ale strategicznie była jedną z najgłówniejszych i najowocniejszych akcji bojowych na Wołyniu w ogóle" – pisano we wniosku o odznaczenie Virtuti Militari chorążego Stanisława Mitery. Był on rówieśnikiem Kazimierza Gwiazdomorskiego, absolwentem gimnazjum w Podgórzu, obecnie dzielnicy Krakowa, i podobnie jak on studentem UJ – „z wielkim zamiłowaniem studiował filozofię ścisłą, etykę, języki nowożytne". W 1912 r. otrzymał pierwszą nagrodę katolickiego „Przeglądu Powszechnego" za pracę poświęconą twórczości i działalności Piotra Skargi, która następnie doczekała się publikacji. „W tym okresie wieku, kiedy młodzież oddaje się zabawie – On w mozolnych szperaninach w archiwach, w starannem badaniu manuskryptów, czas trawi. Owocem jego sumiennej pracy było kilka dzieł z zakresu krytyki [literackiej]".

Lecz nie tylko kwerenda starych woluminów wypełniała czas młodego studenta filozofii. Był w skautingu i w „Sokole", należał też do Związku Strzeleckiego. I on, zanim znalazł się w III Brygadzie, był już wcześniej w Karpatach, ale w 3. pułku. Poległ na Wołyniu jako dowódca kompanii 22 listopada 1915 r. pod Kostiuchnówką, kiedy „wyszedłszy na przedpole wraz z garstką żołnierzy, celem zebrania materiału na budowę ziemianek, zostaje trafiony kulą w serce". Ściślej, Mitera wyruszył z patrolem do zgliszcz wsi, znajdującej się na przedpolu, gdzie doszło do utarczki z Rosjanami, w czasie której zginął. „Nie tylko śmiałym i odważnym był Komendantem. Był także dobrym i kochanym Komendantem, dobrym i kochanym Kolegą. Jak w całem swoim życiu, tak i na posterunku wojennym podbijał sobie serca wszystkich, którzy się z nim zetknęli".

Pozostali młodsi bracia – Kazimierz, artysta malarz, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, był uczestnikiem wojny polsko-bolszewickiej. Drugi – Zygmunt, trzynaście lat młodszy od Stanisława, wybrał zupełnie inną dziedzinę niż obaj bracia. Wybitny harcerz, inżynier górnictwa, pracownik naukowy Akademii Górniczej w Krakowie, a krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie jako podporucznik rez. WP wziął udział w obronie Polski przed najazdem ze wschodu i z zachodu w 1939 r., dostał się do niewoli sowieckiej i został zamordowany przez NKWD w Charkowie. Losy obu tych młodszych braci splotły się ze ścieżkami życia Józefa Czapskiego. Przedwcześnie zmarły w 1936 r. Kazimierz był przyjacielem Czapskiego, z którym współpracował jako redaktor „Głosu Plastyków". Zygmunta zaś Czapski spotkał w Starobielsku i upamiętnił we wspomnieniach z tego obozu.

„Iskrzycki"

„W ostatniej bitwie zginął por. Klisiewicz, którego wszyscy znacie z nazwiska. Bardzo go tu lubiliśmy wszyscy, jak i podkomendni jego" – pisał w liście z 4 października 1915 r. chorąży Stanisław Szumski. Klisiewicz należał do najstarszych oficerów III Brygady, dobiegał już bowiem czterdziestki. Lwowiak, urzędnik kolejowy w rodzinnym mieście, po wypadku został przeniesiony na emeryturę. Wówczas zaczął studiować chemię na uniwersytecie w Wiedniu, a po ukończeniu studiów z tytułem inżyniera chemika został dyrektorem fabryki w Hanowerze. Porzucił „życiową stabilizację", wstąpił do Legionów. W pierwszej bitwie III Brygady pod Jastkowem „brawurowo postępował z III [batalionem] 4. pp wiodąc swe km [karabiny maszynowe] – zawsze dawał przykład

Legioniści czwartacy polegli pod Jastkowem FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl e73e707b89

Cmentarz Legionistów Polskich w Jastkowie FOT. PABLOOOO/WIKIPEDIA/CC BY-SA 4.0

spokoju i zimnej krwi […]. Dzięki szybkiej orientacji odparł atak kaw[alerii] n[ieprzyjacie]lskiej pod Wolą Osińską".

Stanisław Szumski, także ze Lwowa, który z żalem wspomniał poległego kolegę, zginął 11 dni później. Miał zaledwie 20 lat, a już budził ogromne nadzieje jako uzdolniony polonista i wybitny działacz harcerski. Jako student Uniwersytetu Lwowskiego interesował się przede wszystkim poezją polskich romantyków oraz myślą Andrzeja Towiańskiego, co było nierzadkie wśród przedstawicieli pokolenia polskiej irredenty. Był równocześnie współorganizatorem IV Lwowskiej Drużyny Skautowej im. Ludwika Mierosławskiego.

„Postulat realizowania wyznawanych haseł prowadzi go do skautingu, któremu oddał się z zapałem i sumiennością. Staje się wzorowym skautem. W myśl obowiązków harcerskich pomaga wytrwale młodszym i słabszym w naukach, a pomoc ta bywała konieczną, gdyż trzeba było wynikami świadectw okazywać rodzicom, że postępy w naukach nie tracą nic na przyjęciu nowych obowiązków harcerskich. Należało nawet w naukach celować, aby skuteczniej przełamywać opór i wrogie usposobienie niektórych c.k. pedagogów. Trzeba więc było wszystek wolny od nauki czas poświęcać swej drużynie, biegać w różne strony miasta i pomagać młodszym skautom. Dla braku czasu trzeba było wyrzec się kształcenia w muzyce, którą kochał gorąco" („Pod znakiem harcerskim. Stanisław Szumski. Harcerz – legionista", Kraków 2016, reprint z wydania: Lwów 1935).

Po wybuchu wojny przybył do Krakowa i wstąpił do oddziału Józefa Piłsudskiego, z którym wkroczył do zaboru rosyjskiego. Dość szybko jednak z powodów zdrowotnych – zapalenia płuc i problemów z sercem – został odesłany do szpitala. Gdy wrócił, przeniesiono go do Departamentu Wojskowego NKN na stanowisko kierownika biura technicznego, gdzie pracował pod kierunkiem wybitnego historyka Mariana Kukiela, a później do Stacji Zbornej w Jabłonkowie. Nie chciał jednak służyć na zapleczu i w połowie 1915 r. na własną prośbę przeszedł do III Brygady. „Jestem jak koń rozszalały wirem walki, żądzą sławy, lotu" – pisał wówczas do rodziny.

Zginął 15 października 1915 r. od szrapnela rosyjskiej artylerii pod Koszyszczami. „[…] gdy Moskale napierali przeważającymi siłami, chor. Szumski, będąc ze swym plutonem pod silnym ogniem artyleryjskim niszczącym okopy, zagrzewał i dodawał ludziom otuchy do wytrzymania aż do ostatka. Mężnie odpierał natarcia nieprzyjacielskie jedne po drugim. Widząc, iż ludzie jego są już przemęczeni, choć sam był wyczerpany, wyszedł na okopy, dając tym samym przykład dzielności i nieustraszonej odwagi, umiał porwać tym ludzi, tak że nabrali odwagi i ze zdwojoną siłą odpierali natarcia. W trakcie przelatywania z jednego końca plutonu na drugi sam ginie mężnie, jak na Polaka przystało, rażony kulą szrapnelową. Czynem tym dowiódł pojmowania sprawy, pełen dzielności i nieustraszonej odwagi, wytrzymał aż do końca, czem uratował sytuację, gdyż nie było żadnych już rezerw, a po przerwaniu frontu Moskale zajęli Kołki" – pisano we wniosku o pośmiertne odznaczenie Szumskiego Virtuti Militari.

Tak zginął ten polski harcerz o pseudonimie Iskrzycki, który „odznaczał się wybitną ideowością i bezgranicznym oddaniem pracy, potrafiąc jednoczyć kształtowanie światopoglądu niepodległościowego z wydatnym rozwojem militarnym" – czytamy we wniosku o odznaczenie Krzyżem Niepodległości.

Bez patosu

Tych bohaterów najmniej znanej brygady było rzecz jasna więcej. Dwudziestodwuletni Janusz Roliński w bitwie pod Jastkowem „wypada z własnych okopów, porywając za sobą swój pluton, i przeprowadza atak na silnie umocnioną redutę n[ieprzyjacie]la. Zostaje ciężko ranny w rękę i mimo nalegań ze strony kolegów nie wycofuje [się] i podprowadza oddział do samych drutów. Rzuca się na nie z okrzykiem: »Naprzód!« i w momencie tym zostaje trafiony śmiertelnie". Pochodził z powiatu ostrołęckiego, wówczas leżącego w zaborze rosyjskim, był studentem Szkoły Politechnicznej we Lwowie.

Rok później (niemal co do dnia) podczas ostatnich zmagań na Wołyniu poległ jego rówieśnik por. Rudolf Witold Udołowicz z bieszczadzkiego Zagórza, podobnie jak Roliński student Szkoły Politechnicznej we Lwowie, wyróżniający się działacz Polskich Drużyn Strzeleckich. W Legionach od początku, przeszedł w 2. pułku kampanię karpacką, odznaczając się męstwem m.in. w natarciu na Bohorodczany i pod Mołotkowem. Zyskał opinię: „Jego inicjatywa, niezwykła energia, wysokie poczucie obowiązku, znajomość służby, bystra orientacja sprawiły, że podkomendni ufali mu bezwzględnie i w każdej sytuacji byli pewni pod jego d[owódz]twem zwycięstwa". Zginął 3 sierpnia 1916 r. pod Rudką Miryńską „ugodzony kulą szrapnelową w głowę".

Bez fałszywego patosu, tacy byli w oczach kolegów i przełożonych polegli oficerowie najmniej znanej legionowej brygady. Powtórzę więc to, o czym już pisałem w jednym z artykułów, poświęconych poległym oficerom Legionów Polskich: czyn legionowy nie był, jak chcą niektórzy, mało rzeczywistą „wojenką", do której później obóz piłsudczyków w czasie swoich rządów w okresie międzywojennym „dorobił" legendę. Był twardą, wymagającą poświęceń służbą, którą tylko ludzie małostkowi i nieuczciwi mogą traktować lekceważąco. W trwających dwa lata bojach poległo lub zmarło 127 oficerów Legionów Polskich, z których zaledwie kilku nie zginęło w bezpośredniej walce z zaborcą.

„Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, by ta niepodległość kosztowała dwa grosze wydatków i dwie krople krwi, lecz niepodległość jest dobrem nie tylko cennym, ale i bardzo kosztownym" – mówił krótko przed wybuchem pierwszej wojny Piłsudski. Czyn legionistów – naznaczony ofiarą życia wielu z nich – tworzył nie legendę, a fundament polskiego wojska, dowodząc, że niepodległość nie została darowana, że trzeba było się o nią bić. Wbrew nonsensownemu – a szerzonemu także współcześnie – poglądowi, jakoby niepodległość została uzyskana bez udziału Polaków, gdyż wynikała jedynie z rozpadu zaborczych potęg.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

eprasa.pl e73e707b89

– Nie mieliśmy praktycznie żadnych narzędzi, żeby chronić prezydenta. Kierownictwo Secret Service nie mogło się doprosić więcej pieniędzy na zwiększenie liczby agentów czy zakup nowego sprzętu – mówi Gerald Blaine, emerytowany agent Secret Service

Prezydent John Kennedy i jego żona Jacqueline na chwilę przed zamachem w Dallas

FOT. WALT CISCO/DALLAS MORNING NEWS/WIKIPEDIA

Świadek / Z Geraldem Blainem, ochroniarzem JFK, współautorem książki „Zamach na Kennedy'ego"

rozmawia Piotr Włoczyk

Ochraniałem Kennedy'ego

PIOTR WŁOCZYK: Jak się zaczął dla pana 22 listopada 1963 r.?

GERALD BLAINE: W dniu zabójstwa prezydenta byliśmy w hotelu Texas w Fort Worth [Kennedy poleciał stamtąd kilka godzin później do nieodległego Dallas, gdzie został zamordowany – przyp. red.]. Byłem wtedy na nocnej zmianie, która kończyła się o ósmej rano. Tego poranka pani Kennedy dopytywała się o kwestie bezpieczeństwa, ponieważ niezbyt często brała udział w przejazdach kawalkady prezydenckiej. JFK tłumaczył jej, jak to będzie wyglądało. Prezydent powiedział też przy tej okazji – wiem to od Kena O'Donnella [jeden z najbliższych doradców prezydenta – przyp. red.], z którym rozmawiałem po zabójstwie: „Jeżeli ktoś chciałby mnie zabić strzałem z okna, to nikt nie będzie w stanie temu zapobiec, więc po co się tym przejmować?". To, że te słowa padły z ust prezydenta, zostało potwierdzone przy okazji prac komisji Warrena.

Ostatni obraz JFK, jaki zapadł panu w pamięci?

Kennedy był bardzo zadowolony, gdy wyszedł wtedy rano ze swojego pokoju, ponieważ podróż do Teksasu okazała się dużo większym sukcesem, niż się tego spodziewał. Moje ostatnie wspomnienie to właśnie widok uśmiechniętego prezydenta. Następnie zeszliśmy z nim na dół, wygłosił jeszcze ostatnie przemówienie w Fort Worth, a ja wraz z innymi agentami z nocnej zmiany pojechaliśmy na lotnisko, aby polecieć do kolejnego przystanku na teksańskiej trasie – Austin, gdzie prezydent miał przylecieć tego samego dnia z Dallas.

W jakich okolicznościach dowiedział się pan o zamachu?

Dopiero co położyłem się do łóżka w hotelu w Austin. Nagle usłyszałem potworne walenie w drzwi. Myślałem, że ktoś chce je wyważyć. To był kierownik mojej zmiany, który wykrzyknął tylko: „W Dallas postrzelili szefa!". Sekundę później włączyłem telewizor, ale w tamtym momencie nikt jeszcze nie wiedział, co się stało. Zaraz też dostaliśmy telefon – kazano nam wracać natychmiast do Waszyngtonu. Zebraliśmy więc wszystkich agentów z nocnej zmiany i pognaliśmy na wojskowe lotnisko. Czekał tam na nas samolot cysterna, który zabrał nas do stolicy. Wraz z nami leciał też szef Partii Demokratycznej – John Bailey. Nikt nie wydusił z siebie ani słowa przez całą drogę. Dopiero po wylądowaniu w bazie Andrews usłyszeliśmy, że prezydent zmarł.

Jak pan to przyjął?

Jakby mnie ktoś młotem uderzył w klatkę piersiową. Ale wtedy nie było czasu na

eprasa.pl e73e707b89

rozklejanie się. Pojechałem do domu, przebrałem się i kolejną nocną zmianę przepracowałem, strzegąc nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych – Lyndona B. Johnsona.

I wtedy o mały włos nie doszło do kolejnej tragedii.

Tak. Prezydent Johnson jeszcze jako wiceprezydent był ochraniany przez jednego–dwóch agentów, przez co nie był przyzwyczajony do reżimu ochronnego, pod którym żył prezydent Kennedy. W nocy z 22 na 23 listopada 1963 r., pierwszej nocy, gdy Johnson otrzymał prezydencką ochronę, strzegliśmy go w jego prywatnej rezydencji, ponieważ Jackie Kennedy wciąż jeszcze przebywała w Białym Domu. Na zewnątrz obiektu było nas w sumie pięciu i krążyliśmy wokół niego w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Ktokolwiek szedłby w innym kierunku byłby odebrany jako zagrożenie, ponieważ zakładaliśmy, że wszyscy znają procedurę.

Jeżeli prezydent Kennedy chciał wyjść w nocy na zewnątrz Białego Domu, to zawsze dawał o tym znać ochronie. Johnson nie był jeszcze przyzwyczajony do tych standardów i zdecydował się na krótki spacer bez powiadamiania kogokolwiek. Muszę zaznaczyć, że byłem już na nogach trzecią dobę, więc mój umysł nie był najostrzejszy. W pewnym momencie usłyszałem w pobliżu domu jakiś dziwny odgłos, więc odbezpieczyłem karabin, przyłożyłem go do ramienia i byłem gotów oddać strzał, gdy zza rogu wychyliła się postać, którą po profilu rozpoznałem jako Johnsona.

Widział, że trzyma go pan na muszce?

Tak. Po czym bez słowa odwrócił się na pięcie i wrócił do domu. Podejrzewam, że był mocno blady.

W swojej książce napisał pan: „Żaden z agentów nie potrafił zrozumieć, dlaczego decydował się być tak lekkomyślny". Rozumiem, że miał pan na myśli kwestię limuzyny kabrioletu, którym JFK uwielbiał się poruszać, co też ostatecznie okazało się ogromnym ułatwieniem dla zamachowca. Jak wielkim problemem było to auto dla Secret Service?

Jack Ruby strzela do Lee Harveya Oswalda, podejrzanego o zabójstwo prezydenta FOT. ROBERT H. JACKSON/WIKIPEDIA

Zaprzysiężenie prezydenta Lyndona B. Johnsona FOT. C. W. STOUGHTON/WHITE HOUSE PHOTO OFFICE

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musimy się cofnąć kilka lat, do prezydentury Dwighta Eisenhowera. To właśnie za jego rządów zacząłem pracę w Secret Service.

Prezydent Eisenhower nie poruszał się kabrioletami, ponieważ podczas swojej drugiej kadencji nie potrzebował tak bliskich kontaktów z tłumami i ściskania dłoni wyborców. Generalnie bardzo dobrze się z nim pracowało, gdyż bardzo skrupulatnie przestrzegał naszych rekomendacji odnośnie do bezpieczeństwa. Mieliśmy wtedy ok. 95-procentową pewność, że nic mu się nie stanie.

Gdy do Białego Domu wprowadził się prezydent Kennedy, sytuacja uległa zmianie. Jego styl uprawiania polityki zakładał przebywanie wśród ludzi. Ta różnica była widoczna od samego początku. Byłem jednym z pierwszych agentów, którzy zostali przydzieleni do ochrony – wtedy jeszcze – prezydenta elekta Kennedy'ego. JFK przyleciał na pokładzie „Caroline" z Bostonu do Palm Beach na Florydzie, gdzie miał czekać do momentu inauguracji. „Caroline" była samolotem, który ojciec prezydenta, Joseph Kennedy, kupił na potrzeby kampanii swojego syna. Gdy tylko drzwi samolotu się otworzyły, wszyscy zobaczyliśmy uśmiechniętego, wysokiego przystojniaka. Tuż pod schodkami do samolotu podstawiliśmy dla niego auto, ale on zamiast wsiąść do limuzyny poszedł prosto w sam środek tłumu… Proszę sobie tylko wyobrazić nasze miny, skoro mieliśmy na miejscu nie więcej niż pięciu agentów. W ten sposób dostaliśmy od niego pierwszą lekcję – trzeba być przy nim przygotowanym na każdą ewentualność, bo jest w stanie zrobić wszystko, co mu tylko przyjdzie do głowy. Z biegiem czasu przyzwyczailiśmy się do tego. Gdy zakupiono nową prezydencką limuzynę, podstawową zasadą było to, że o ile tylko nie padało, dach miał być opuszczony. Zasada ta obowiązywała wszędzie, gdzie jeździliśmy: zarówno w USA, jak i w Berlinie czy we Włoszech.

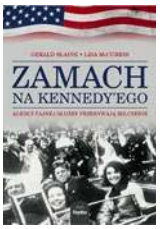

GERALD BLAINE, LISA MCCUBIN
„ZAMACH NA KENNEDY'EGO. AGENCI TAJNYCH SŁUŻB PRZERYWAJĄ MILCZENIE"
REPLIKA

Ten opuszczony z polecenia Kennedy'ego dach był waszą zmorą?

W przypadku kabrioletu czuliśmy, że mamy tylko 75-procentowa pewność, że jesteśmy mu w stanie zapewnić bezpieczeństwo. Mając pięciu agentów, nie sposób było zabezpieczyć odpowiednio prezydenta jadącego kabrioletem przez miasto. Musieliśmy więc polegać na analizie danych, w tym na badaniu pogróżek wysyłanych w listach do prezydenta. Niestety w Dallas nie mieliśmy absolutnie żadnych danych wskazujących na niebezpieczeństwo ze strony Oswalda.

Jak się pan czuł, jeżdżąc na tylnych schodkach limuzyny Kennedy'ego? Bezsilny?

Myślałem sobie: „Mogę zapobiec wielu typom ataków, ale miejmy nadzieję, że nikt się nie pojawi w oknie z karabinem". W takim przypadku naprawdę niewiele mógłbym zrobić dla prezydenta.

Jak często musieliście „walczyć" z Kennedym o przydzielanie mu ludzi na limuzynie?

eprasa.pl e73e707b89

Prezydent nie lubił jeździć z agentami stojącymi za jego plecami. Dał nam to odczuć m.in. w Tampie na Florydzie, gdzie byliśmy z prezydentem cztery dni przed zamachem w Dallas. Mieliśmy bardzo niewielu agentów, w tym tylko dwóch doświadczonych, a do przejechania dystans 28 mil. Nie było szans na zmianę tych ludzi, więc powiedziałem wtedy przełożonemu: „Tych dwóch agentów nie może przecież przebiec maratonu przy limuzynie. Może postawimy ich z tyłu auta?". Usłyszałem, że spróbuje przekonać do tego prezydenta, ale nie gwarantuje sukcesu.

Kennedy ostatecznie odparł, że nie życzy sobie, aby ktokolwiek z ochrony stał na jego samochodzie. Powiedział nam: „Zrozumcie, muszę wygrać na Florydzie i muszę wygrać w Teksasie. Jeżeli nie będę blisko ludzi, to nie ma szans, żebym wywalczył reelekcję". Pośrednio więc komunikował nam, że musi ryzykować swoje bezpieczeństwo i nie może sobie pozwolić na agentów stojących na samochodzie, którzy ograniczaliby widok tłumom, a także mogliby sprawiać wrażenie, że jest przesadnie chroniony. Nic już więc nie mogliśmy zrobić w tej sprawie, bo z prezydentami się nie dyskutuje.

W pańskiej wypowiedzi uderza, jak bezsilne było wówczas Secret Service. Jakie konkretnie środki mieliście do dyspozycji?

Wtedy nie mieliśmy praktycznie żadnych narzędzi, żeby chronić prezydenta. W ochronie Kennedy'ego pracowało w sumie 34 agentów, podzielonych na trzy ośmiogodzinne zmiany. Robiliśmy miesięcznie po 80 nadgodzin. Kierownictwo Secret Service nie mogło się doprosić więcej pieniędzy na zwiększenie liczby agentów czy zakup nowego sprzętu. Nie mieliśmy ze sobą nawet kontaktu radiowego! Mieliśmy za to małe zdjęcia ludzi, którzy grozili prezydentowi. Na tyle takiego zdjęcia mieliśmy opis gróźb i krótkie info na temat takiej osoby. To wszystko, czym dysponowaliśmy.

Od wielu lat każdy wyjazd amerykańskiego prezydenta organizowany jest przez gigantyczny sztab ludzi. Jak wyglądało przygotowanie wizyty Johna F. Kennedy'ego w Dallas?

Cóż, w moich czasach w przygotowaniach do wizyty uczestniczył zwykle jeden agent. Przy dobrych wiatrach było ich dwóch. W tamtym okresie nasz budżet nie przekraczał 5 mln dol., a agentów było 300 w całym kraju. Dziś to zupełnie inny świat. Obecnie Secret Service ma budżet w wysokości ponad 2 mld dol., co pozwala na utrzymywanie ok. 4 tys. agentów. Nie tak dawno miałem okazję otworzyć drzwi do pancernej limuzyny prezydenta i muszę przyznać, że trzeba włożyć w to sporo siły. Widać więc, że prezydent może się w niej czuć bezpieczny. Secret Service, w którym służyłem, stało się przykładem tego, co się dzieje, gdy taka służba nie ma odpowiednich środków.

Nie było możliwości, abyśmy zabezpieczyli dokładnie całą trasę przejazdu prezydenta po Dallas, która liczyła 10 mil. Poza tym nawet miasto Dallas nie miało takich środków. Przy okazji warto nadmienić, że jedną z cech, którą trzeba było się wykazać, żeby rozpocząć służbę w Białym Domu, było posiadanie... przyjaznej osobowości.

Chodziło o to, żeby skutecznie przekonywać władze miast, do których przyjeżdżał prezydent, aby przeznaczały do ochrony prezydenta maksymalną liczbę policjantów. Ale nawet z policjantami pełne zabezpieczenie terenu było nieosiągalne.

Dallas to bardzo gorące miasto. Na początku lat 60. nie wszędzie były jeszcze klimatyzatory, więc mnóstwo okien było otwartych i nie było takiej możliwości, żebyśmy byli w stanie zabezpieczyć każde z nich. Widać więc, że to jest zupełnie inny świat od tego, co mamy dziś.

Co się zmieniło w Secret Service po zabójstwie Kennedy'ego?

Nic! Absolutnie nic! Dlatego w lipcu 1964 r., po pięciu latach służby, odszedłem z Secret Service, bo pomyślałem sobie, że to czysta głupota i czas zmienić pracę. Od dnia zamachu każdy mówił o konieczności wprowadzenia zmian w sposobie funkcjonowania ochrony prezydenta, ale nic się nie działo. Prawdziwe zmiany nadeszły dwa–trzy lata po zamachu, a w 1967 r. doszło naprawdę do poważnego zwiększenia liczby agentów.

Aż nie chce się wierzyć, że od razu po zabójstwie Kennedy'ego Secret Service nie dostało od Kongresu góry pieniędzy.

My też nie mogliśmy tego zrozumieć. Po zabójstwie JFK wyrabiałem więcej nadgodzin niż kiedykolwiek wcześniej, mieliśmy za pasem kolejne wybory prezydenckie, co w sytuacji ówczesnego braku ludzi oznaczało, że bylibyśmy przez długi czas pozbawieni kontaktu z rodzinami.

Z niedowierzaniem myślałem sobie wtedy: „Mój Boże, funkcjonujemy tak, jakby się nic nie stało". Mieliśmy wraz z innymi agentami mnóstwo dobrych pomysłów, jak poprawić działanie służby, ale nie mieliśmy szansy zrealizowania tych pomysłów w praktyce.

Niektórzy wciąż uważają, że wtedy w Dallas zamachowców było dwóch albo nawet trzech...

Przez wszystkie te lata słyszałem już chyba każdą bzdurną teorię, łącznie z tym, że to kierowca strzelił do Kennedy'ego. Przeczytałem dokładnie raport komisji Warrena i z rozmów z innymi agentami wynika, że ustalenia tej komisji są prawdziwe. Dlatego też napisałem „Zamach na Kennedy'ego". Chciałem rozprawić się z wszystkimi mitami odnośnie do Secret Service za czasów prezydenta Kennedy'ego. Przeanalizowanie wszystkich dowodów pozwala definitywnie powiedzieć, że Oswald był jedynym zamachowcem.

Czy w tamtych okolicznościach zabezpieczenie prezydenta było niewykonalne?

Żadna inna grupa agentów nie byłaby w stanie ochronić 22 listopada Kennedy'ego. W tamtych okolicznościach było to niewykonalne. To wydarzenie naprawdę mocno wstrząsnęło Clintem Hillem [ochroniarz Jacqueline Kennedy, który jako jedyny z agentów zdążył dobiec tuż po zamachu do prezydenckiej limuzyny – przyp. red.] i innymi agentami, którzy byli w Dallas przy prezydencie. Wszyscy, którzy byli świadkami, jak trzecia kula roztrzaskuje prezydentowi głowę, nie mogli tego obrazu wymazać z pamięci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Gerald Blaine
należał do elitarnej grupy 34 agentów Secret Service służących w Białym Domu. W latach 1959–1964 służył trzem kolejnym prezydentom: Dwightowi Eisenhowerowi, Johnowi F. Kennedy'emu oraz Lyndonowi B. Johnsonowi.

eprasa.pl e73e707b89

Generał Władysław Anders wśród żołnierzy 2. Korpusu we Włoszech FOT. DOMENA PUBLICZNA

1945–1946 / Misja wywiadowcza „Witolda"

Rotmistrz i orzeł

Maciej Rosalak

Czy gen. Anders wysłał rtm. Pileckiego do kraju, bo myślał, że operacja „Nie do Pomyślenia" jest jednak możliwa?

Przed miesiącem (25 maja) minęła kolejna rocznica zamordowania przez komunistów bohatera narodowego – rtm. Witolda Pileckiego (1901–1948), ps. Witold. Z kolei 12 maja przypada rocznica śmierci gen. Władysława Andersa (1892–1970) oraz krwawego pierwszego szturmu, zakończonej po tygodniu polskim zwycięstwem, bitwy o Monte Cassino w 1944 r. Przypomina to obu znaczących w dziejach drugiej wojny światowej Polaków – dowódcę 2. Korpusu Polskiego, naszego jedynego związku operacyjnego na uchodźstwie, oraz oficera, którego brytyjski historyk Michael Foot zaliczył do sześciu najodważniejszych ludzi ruchu oporu drugiej wojny światowej.

Rzadko wraca się jednak do okresu od maja do października 1945 r., kiedy rtm. Pilecki przebywał we Włoszech jako oficer gen. Andersa. Powstała wtedy nie tylko pełna i uporządkowana wersja jego raportu o pobycie w KL Auschwitz, lecz także sfinalizowany został plan powrotu Pileckiego do okupowanego przez komunę kraju z tajną misją wywiadowczą.

Zatwierdził tę misję generał, ale parł do niej sam rotmistrz przeżywający od udziału w Powstaniu Warszawskim „głęboką rozterkę duchową", wywołaną – co się wydaje zaskakujące – poczuciem własnej niesubordynacji, a nawet… złamaniem rozkazu. Przypomnijmy, że od pierwszych dni powstania walczył na ochotnika w Zgrupowaniu „Chrobry II", skutecznie broniącym samego centrum stolicy. „Witold" znakomicie dowodził i sam dawał dowody męstwa na placówkach w rejonie Żelaznej, pl. Starynkiewicza i Towarowej. Więc o co chodzi?!

Chodzi o to, że ten nieskazitelny żołnierz i honorowy oficer jeszcze wiosną 1944 r. złożył przysięgę zachowania pełnej konspiracji w Organizacji „Niepodległość" – kryptonim NIE (konspiracji zwłaszcza przed… kolegami z Armii Krajowej). Dowództwo AK powołało ją na przełomie lat 1943 i 1944 za wiedzą i zgodą Wodza Naczelnego, aby dążyła do „zachowania ducha narodu i niepodległości Polski" podczas zbliżającej się okupacji sowieckiej. W tej sytuacji konieczna była nowa organizacja polityczno-zbrojna, całkowicie niezależna od AK szykującej się akurat do walki z otwartą przyłbicą. Dlatego obok roty przysięgi („Bogu i Polsce przysięgam walkę z wrogami na zwycięstwo i śmierć. Będę karny i posłuszny przełożonym, będę ofiarny i koleżeński, tajemnic dochowam") członkowie „NIE" otrzymywali też rozkaz nieuczestniczenia w otwartym powstaniu przeciw Niemcom.

Większość zaprzysiężonych – kiedy tylko padły w sierpniu pierwsze strzały, a ulice zakwitły biało-czerwonymi sztandarami – przystąpiła do walki. Ilu

eprasa.pl e73e707b89

z tych, którzy przeżyli, czuła „rozterki duchowe", nie wiemy. Pierwszy żołnierz Rzeczypospolitej – jakim okazał się Witold Pilecki – czuł…

Anders na białym koniu

Podobnie jak ich liczni rodacy pod okupacją sowiecką wielu żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie widziało rozstrzygnięcie przyszłości Ojczyzny w trzeciej wojnie światowej, tym razem już nie przeciw Hitlerowi, lecz Stalinowi. Generał Anders, pod którego komendą znajdowała się tuż po wojnie największa część PSZ, utwierdzał ich w tym. Na razie żołnierze mieli broń, nadzorowali sytuację w Italii oraz w północno-zachodnich Niemczech (1. Dywizja Pancerna gen. Stanisława Maczka). Co więcej, ich szeregi rosły. Dołączali żołnierze internowani w Szwajcarii w 1940 r. po francuskiej klęsce, jeńcy wojenni osadzeni w oflagach i stalagach w 1939 r. po kampanii wrześniowej i w 1944 r. po Powstaniu Warszawskim, a także najliczniejsi – Ślązacy i Pomorzanie, których przymusowo zmobilizowano do Wehrmachtu, a teraz zwalniano z alianckich obozów jenieckich.

Generał Władysław Anders, który od 26 lutego 1945 r. pełnił obowiązki Naczelnego Wodza w zastępstwie gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego, po jego uwolnieniu z niewoli niemieckiej objął znów dowództwo 2. Korpusu (21 czerwca 1945 r.). Siedziba dowództwa znajdowała się w Porto San Giorgio nad Adriatykiem.

Rotmistrz Witold Pilecki przybył do Włoch jeszcze w czasie, gdy między konferencjami trzech zwycięskich mocarstw w Jałcie i Poczdamie ważyły się losy Europy i świata, kiedy premier brytyjski myślał o „nie do pomyślenia" planie ofensywy przeciw Sowietom, a gen. Anders starał się rozbudować Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie na wypadek powrotu do ojczyzny z bronią w ręku. Starał się podtrzymać ducha bojowego u swych żołnierzy w trudnym momencie po uznaniu warszawskiego Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej przez aliantów – i zarazem cofnięciu uznania dla Rządu RP na Uchodźstwie – z dniem 6 lipca 1945 r. Uczynił to w specjalnym rozkazie (cyt. za „Bez ostatniego rozdziału"). Oto fragment:

„Zmuszony dziś do milczenia Kraj patrzy w naszą stronę. Chce nas widzieć na ziemi ojczystej, do której i my dążymy i tęsknimy z całego serca, ale chce nas widzieć nie jako niewolników obcej przemocy, chce nas widzieć z rozwiniętymi sztandarami jako chorążych i zwiastunów prawdziwej wolności. Gdy taki powrót dziś jeszcze nie jest możliwy, trzeba nam w zwartych szeregach czekać na pomyślną zmianę warunków. Zmiana ta nadejść musi…".

Oficerowie Zgrupowania „Chrobry II" w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego. Obok: odznaka zgrupowania FOT. MPW

Wojna pozostała jednak na papierze. Churchill polecił wtedy tylko, aby przygotować kolejną grę: plan odparcia ewentualnej napaści Sowietów na Wyspy Brytyjskie. Czy te gry strategiczne miały jakikolwiek związek z faktem, że gen. Andersowi pozwolono rozbudowywać 2. Korpus jeszcze podczas konferencji poczdamskiej, a pod bronią stał on we Włoszech jeszcze prawie rok? Czy ma znaczenie, że Anglosasi cofnęli uznawanie Rządu RP na Uchodźstwie dopiero pięć dni po 1 lipca, jakby „nie do pomyślenia" było z tym dniem się skrupulatnie liczyć?

Dopóki autentyczne dokumenty nie potwierdzą przypuszczeń o tajnym polsko-brytyjskim porozumieniu w sprawie celowego szykowania 2. Korpusu do wojny z Sowietami, dopóty można zakładać, że wszyscy zainteresowani (z USA i ZSRS włącznie) ewentualności użycia polskiego wojska w ofensywie na Wschód przynajmniej nie wykluczali. Nagonka propagandy komunistycznej – polskojęzycznej śladem sowieckiej – skierowana została głównie przeciwko generałowi Andersowi.

Uderza tu zwłaszcza mit „Andersa na białym koniu". „Czekacie na Andersa na białym koniu?!" – takie pytanie było oskarżeniem o nieprawomyślność na zebraniach w zakładach pracy, w szkołach i na uczelniach. Oprawcy z UB po takim pytaniu zwykle sadzali ofiarę na „koniu Andersa", którym był odwrócony nogami do góry zydel. Wściekłość z powodu wymknięcia się generała wraz ze stoma tysiącami rodaków z „nieludzkiej ziemi", strach przed siłą jego wojska, nienawiść do symbolu zwycięstw odniesionych po „niedobrej stronie" w sojuszu z „imperialistami" – to wszystko pobrzmiewało w tym określeniu.

Z kolei ujarzmieni Polacy również, zwykle szeptem, powtarzali ów zwrot. Anders, który przyjedzie na białym koniu do Polski na czele bohaterów spod

eprasa.pl e73e707b89

Monte Cassino, stanowił personifikację ich najskrytszych nadziei…

Korpus jak armia

Liczbę żołnierzy znajdujących się pod jego komendą sam generał Anders określał w drugiej połowie 1945 r. na 112 tys. Brytyjczycy oceniali tę liczbę na jeszcze wyższą. Anders cytuje np. list od gen. Williama Morgana – szefa sztabu marsz. Harolda Alexandra – który pisał: „Stan liczebny 2. Korpusu Polskiego i Bazy [czyli żołnierzy w jednostkach liniowych i w rezerwie – przyp. M.R.] przekroczył w sierpniu o 11 910 żołnierzy zatwierdzoną górną granicę 100 389, a we wrześniu nadwyżka wzrosła do 21 314 żołnierzy…". Wedle tej rachuby Anders dysponował wtedy 121 703 podkomendnymi (dla porównania: na początku października 1943 r. – 52 688).

Napływ nowych żołnierzy do 2. Korpusu pozwolił na uzupełnienie jego struktury, np. istniejące w 1944 r. dwie brygady 5. Kresowej Dywizji Piechoty miały numery 5 i 6 (brakowało 4. Brygady), a bataliony – od 13 do 18 (brakowało batalionów o numerach 10, 11,12). Natomiast brygady 3. Dywizji Strzelców Karpackich (1 i 2; brakowało 3. Brygady) złożone były z batalionów o numerach od 1 do 6 (brakowało batalionów nr 7, 8, 9). Nowe brygady i bataliony wypełniły więc przygotowane dla nich wcześniej miejsca.

W 1945 r. istniejącą brygadę pancerną rozwinięto w 2. Warszawską Dywizję Pancerną; zamierzano też utworzyć Wielkopolską Brygadę Pancerną (o numerze 14) przeznaczoną dla 3. Korpusu. Dowództwo takiego związku operacyjnego organizowano bowiem na Środkowym Wschodzie. Cała numeracja oddziałów 2. Korpusu uwzględniała dotychczasową organizację (dywizje 1. i 4. formowano w Wielkiej Brytanii) oraz plany rozbudowy Polskich Sił Zbrojnych. Sięgały one właśnie trzech korpusów i ćwierćmilionowej armii. Nie do pomyślenia? Gdyby Operation „Unthinkable" (operacja „Nie do Pomyślenia" – wojna z ZSRS, której plany nakazał przygotować Churchill) doszła do skutku, to kto wie?

Pytania rodzą też rozmowy Andersa z Churchillem. We wspomnieniach „Bez ostatniego rozdziału" nie porusza się właśnie kwestii operacji „Unthinkable". Czy premier brytyjski istotnie, oczywiście w najbardziej utajniony sposób, nie ustaliłby udziału w planowanej wojnie Polskich Sił Zbrojnych z gen. Andersem, pełniącym od lutego do końca maja 1945 r. obowiązki Naczelnego Wodza PSZ? Na taką rozmowę – jak w astrofizyce na czarną dziurę, której nikt nie widział, a o której świadczą ruchy okolicznych gwiazd – wskazują zaawansowane plany operacji „Unthinkable", z przewidzianą liczbą dziesięciu polskich dywizji włącznie.

Witold Pilecki w okresie międzywojennym FOT. IPN

Anders był jedynym z polskich generałów, który po zakończeniu działań wojennych otrzymał pełny etat brytyjski, a nie gażę o charakterze zapomogi w Polskim Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia. Czy ów fakt stanowił dowód wdzięczności za lojalność wobec Zjednoczonego Królestwa podczas pojałtańskiego „prawie buntu" żołnierzy polskich? A może uznania za dowodzenie Korpusem w kampanii włoskiej, z przeprowadzeniem brawurowego natarcia na Monte Cassino, bez liczenia się z liczbą ofiar?

Nad Adriatykiem

Po kapitulacji Powstania Warszawskiego rotmistrz Pilecki dostał się do niewoli niemieckiej – najpierw w Stalagu 344 (w Łambinowicach), a następnie w Oflagu VII A (w bawarskim Murnau). Tam doczekał wyzwolenia przez Amerykanów oraz przybycia 8 maja 1945 r. generałów też dopiero co uwolnionych z Oflagu IV C Colditz koło Drezna: Tadeusza Bora-Komorowskiego, Antoniego Chruściela i Tadeusza Pełczyńskiego. Zameldował się u tego ostatniego do raportu.

Jak pisze Adam Cyra (cyt. za: „Rotmistrz Pilecki. Ochotnik do Auschwitz"): „Przeżywał tam rozterkę duchową, pamiętał bowiem, że zgodnie z przysięgą złożoną w Organizacji »NIE« jego obowiązkiem było pozostać w Polce". Cyra słusznie zaznacza, że przed uwolnieniem rotmistrz nie wiedział ani o porwaniu i wywiezieniu do Moskwy gen. Leopolda Okulickiego, desygnowanego na komendanta „NIE", ani o aresztowaniu przez NKWD (niezidentyfikowanego na szczęście) szefa sztabu „NIE" gen. Augusta Emila Fieldorfa. Oczywiście wymienieni generałowie z Colditz podczas odwiedzin w Murnau o losie komendanta i szefa sztabu „NIE" informacje te musieli już posiadać, podobnie jak gen. Anders, będący od lutego 1945 r. p.o. Naczelnym Wodzem, trzymającym przecież w ręku nie do końca porwane kontakty z krajem.

11 maja przyjął „Witolda", odpowiedzialny za wywiad w KG AK, płk Kazimierz Iranek-Osmecki. Witold Pilecki (cytuję za: „Rotmistrz Pilecki. Ochotnik…") wspominał: „Wszystkie moje meldunki przyjęto i rozmowę prowadzono w kierunku konieczności mego powrotu do Kraju i kontynuowania pracy". W połowie czerwca Anders na specjalnie zorganizowanym apelu wzywał oficerów, aby wyjeżdżali do Włoch i wstępowali do 2. Korpusu. Kiedy pod koniec czerwca kpt. Bornholz sporządzał w Murnau listę oficerów deklarujących chęć wyjazdu i dołączenia do 2. Korpusu, rotmistrz zgłosił swą gotowość. Chciał udać się do Polski przez Włochy. „Pilecki – pisze A. Cyra – przedstawił dręczący go ciągle problem wierności przysiędze oraz wyraził chęć powrotu do Polski w celu prowadzenia dalszej pracy konspiracyjnej. Spowodowało to, że został umieszczony na tej liście".

9 lipca 1945 r. wyjechał z Murnau do Italii… Trafił tam z grupą oficerów dwa dni później, a w sierpniu 1945 r. został przydzielony do II Oddziału (wywiad) i służbowo podlegał ppłk. Stanisławowi Kijakowi. Przełożony uważał, że Pilecki będzie mógł wyjechać do kraju i zorganizować tam sieć wywiadowczą w oparciu o znane rotmistrzowi struktury „NIE".

W Porto San Giorgio rotmistrz zamieszkał w willi położonej nad morzem, zajmowanej przez ppłk. Kijaka. Wkrótce przybyła tam Maria Szelągowska, znana Pileckiemu z konspiracji w Warszawie, a niedawno spotkana w wyzwolonym oflagu w Murnau, obecnie „pestka" z Pomocniczej Służby Kobiet. Pomagała rotmistrzowi w spisywaniu wspomnień. To wtedy powstał najbardziej znany, obszerny raport o pobycie „Witolda" w Auschwitz.

eprasa.pl e73e707b89

Z gen. Władysławem Andersem spotkał się dwukrotnie na początku września. 5 września po półtoragodzinnej rozmowie dowódca i organizator polskich sił we Włoszech powiedział mu: „Rzeczywiście, obecność Pana w Kraju jest potrzebna". Z kolei Jarosław Wróblewski („Rotmistrz") podobne słowa umiejscawia podczas drugiego spotkania generała z rotmistrzem 11 września. Wróblewski pisze: „Podczas drugiej, trwającej ok. trzech godzin rozmowy, opowiadał generałowi o Oświęcimiu i konspiracyjnej siatce, jaką tam stworzył, a także o późniejszych działaniach w Warszawie". Oczywiście nie można wykluczać, że zadziwiony doświadczeniami, odwagą, determinacją i rzadkimi talentami organizatorskimi „Witolda" dowódca 2. Korpusu Polskiego przy każdym ze spotkań dawał temu zadziwieniu wyraz.

Dwukrotnie też, ale pod koniec następnego miesiąca, spotkał się z gen. Pełczyńskim. 23 października generał pożegnał go „z ojcowskim błogosławieństwem na pracę w Kraju".

Witold Pilecki jako Roman Jezierski, a Maria Szelągowska jako Krystyna Kwiecińska ruszyli przez Bolonię i Bremę do Ratyzbony, a następnie – wsparci przez mjr. Mikołaja Kozłowskiego z Brygady Świętokrzyskiej – pokonali linię demarkacyjną i dostali się do Pilzna, a stamtąd do Pragi. Tam pomógł im dr Karel Stransky (współpracownik „Witolda" w KL Auschwitz) i jako repatrianci wrócili do kraju. Zatrzymywali się u znajomych w Zakopanem, Krakowie, Katowicach i Częstochowie, a do Warszawy dotarli 8 grudnia 1945 r.

Tu „Witold" nie spotkał nikogo z organizacji „NIE", bo ta już nie istniała. Mozolnie i ze wzrastającym ryzykiem tworzył nową siatkę wywiadowczą i wysyłał raporty o sytuacji w kraju – ze szczególnym uwzględnieniem działań MBP. W połowie czerwca 1946 r. nie skorzystał z wezwania do powrotu do Włoch. Uznał, że musi pozostać na stanowisku w kraju. Ale mniej więcej wtedy do jego otoczenia dostał się zdrajca – komunistyczny agent i prowokator. W maju 1947 r. bezpieka postanowiła aresztować Pileckiego i jego współpracowników. I tak nasz bohater narodowy trafił znów do piekła, przy którym, jak wyznał żonie, „Oświęcim to była igraszka". Po roku tortur zamordowano go strzałem w tył głowy w więzieniu mokotowskim 25 maja 1948 r. o godz. 21.30.

Pamiętajmy, że ów bohater, przywrócony nareszcie narodowej pamięci, zginął jako żołnierz 2. Korpusu gen. Władysława Andersa.

... jęk szatanów

Oto przedziwna, nieznana szerzej historia z okresu pobytu rtm. Witolda Pileckiego we Włoszech, którą opisał jego kolega, Jan M. Mierzanowski w liście do Adama Cyry:

„Któregoś dnia zawędrowaliśmy do ogrodu zoologicznego [podczas wycieczki z Porto San Giorgio wraz z Marią Szelągowską do Rzymu – przyp. M.R.]. Stanęliśmy przed klatką z orłami i pogrążyli w rozmowie. Witold chwycił za pręt klatki i w tej chwili sfrunął na ten pręt olbrzymi orzeł przebijając szponem palec Witolda, który zbladł, ale dał mi wzrokiem znać bym zachował spokój. Istotnie ptaszysko za chwilę otworzyło szpony i odleciało. Podziwiałem znów Witolda, przecież ktoś inny krzyknąłby lub starał uwolnić i wystraszył orła, który rozszarpałby przebity palec zupełnie. Taki był Witold! Prawie siłą zabrałem go na punkt opatrunkowy. On uważał to przebicie i krwawienie palca za bagatelę".

Ów atak drapieżnika potraktować można – z jednej strony – jako zły omen lub przestrogę przed powrotem rotmistrza do Polski, a z drugiej – jak ilustrację do słów, które Józef Piłsudski kazał w testamencie wyryć na słynnym, wileńskim grobie Matki i Serca Syna. Chodzi oczywiście o ten urywek poematu „Beniowski" Juliusza Słowackiego: „Kto, mogąc wybrać, / Wybrał zamiast domu / Gniazdo na skałach orła / Niechaj umie spać / Gdy źrenice czerwone od gromu / I słychać jęk szatanów / W sosen szumie. / Tak żyłem...". Słowa pasują do Komendanta, do Rotmistrza również – kto wie, czy nie bardziej jeszcze dramatycznie…

Na koniec przytoczę poruszający fragment wspomnień syna rotmistrza – Andrzeja Pileckiego – o pobycie w Porto San Giorgio w 2007 r. i poszukiwaniu tam śladów ojca, a także o roku 1945, kiedy ojciec przybył nad Adriatyk („A. Pilecki. Śladami mojego taty"):

„[…] żyliśmy cały czas w Ostrowi Mazowieckiej bez pojęcia, co ojciec robi, gdzie jest. Tęskniliśmy za nim bardzo i czekaliśmy na niego. A on te piękne, gorące, bezpieczne Włochy zostawił i wrócił. Tylko że mam już sporo lat i wiem, że ojciec zgodnie z własnym sumieniem i poczuciem obowiązku nie mógł postąpić inaczej. Musiał wrócić i coś w tej Polsce robić, działać, ratować, namawiać – bo Polska, która była dla niego tak ważna, ciągle nie była wolna.

Na pewno chciał zobaczyć się z rodziną, z nami, pobyć razem, ale ciągnęła go służba, obowiązek, odpowiedzialność o los jego przyjaciół, chłopaków z powstania, którzy nie mieli w nierównej walce z komunistami szans na zwycięstwo. To było dla niego takie ważne, tata taki po prostu był".

Na ławie oskarżonych przed sądem wojskowym w Warszawie. Od lewej: Witold Pilecki, Maria Szelągowska, Tadeusz Płużański FOT. PAP

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e73e707b89

1878–1957 / Nestor poezji polskiej XX w.

Nieznajomy poeta Staff

Krzysztof Masłoń

Dawniej czytelnicy chłonęli to, co w wierszach Staffa było nowego w porównaniu z poezją Młodej Polski, dziś na pierwszy plan wybija się to, co było w niej z ducha tamtej epoki...

Wymieniano go jednym tchem z Bolesławem Leśmianem jako poetę, który swą doskonałą artystycznie twórczość ukształtowaną jeszcze w Młodej Polsce potrafił wznieść na wyżyny w następnej epoce, a nawet epokach, jako że obaj mieli się okazać poetami trzech, a nawet czterech – jak chciał tego Artur Sandauer – pokoleń. Dziś Leśmian uchodzi nieomal za geniusza, Leopolda Staffa pamiętają tylko historycy literatury i wymieniają go – w przypisach.

A przecież nie tak znów dawno Piotr Kuncewicz utrzymywał, że był on „dla niejednego pokolenia wręcz uosobieniem poezji i poetyckości". Co począć jednak z tym, że w zdecydowanej większości wiersze Staffa (a napisał ich tysiące!) nie wytrzymały próby czasu. Oczywiście, poza wyjątkami, a w końcu to one nadają rangę literaturze. Bo w dalszym ciągu młodopolski „Deszcz jesienny" zachwyca swym niepowtarzalnym rytmem i jak mało który wiersz sprawdza się w deklamacji. A z „Wysokich drzew" uczymy się szacunku dla natury, podziwu dla jej majestatu.

W otwierającym „Gałąź kwitnącą" „Przedśpiewie" autor tak się przedstawiał:

Czciciel gwiazd i mądrości, miłośnik ogrodów,
Wyznawca snów i piękna i uczestnik godów,
Na które swych wybrańców sprasza sztuka boska:
Znam gorycz i zawody, wiem, co ból i troska,
Złuda miłości, zwątpień mrok, tęsknot rozbicia,
A jednak śpiewać będę wam pochwałę życia –
Bo żyłem długo w górach i mieszkałem w lasach.

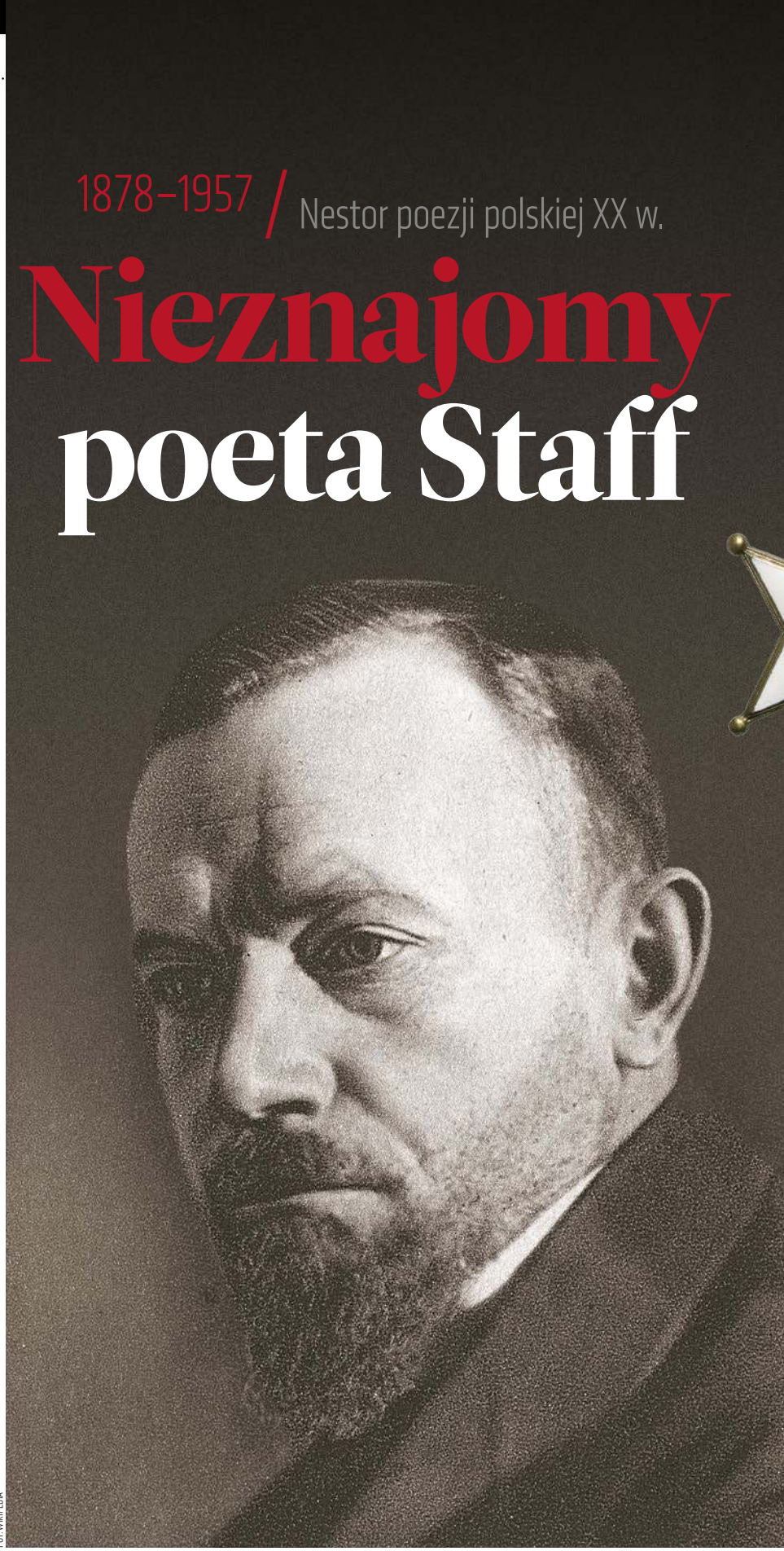

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl e73e707b89

Ten poeta kreujący się na mędrca o ogromnym doświadczeniu życiowym, w 1908 r., kiedy ukazała się „Gałąź kwitnąca", miał raptem trzydzieści lat.

Modernistyczne rozwichrzenie

Leopold Staff pochodził z rodziny o korzeniach czeskich. Jego rodzice przybyli do Lwowa w roku 1870 ze Śląska Cieszyńskiego, spolonizowali się, a utrzymywali z cukierni prowadzonej przez ojca poety i jego licznego rodzeństwa – Franciszka Staffa. Urodzony w 1878 r. Leopold skończył gimnazjum klasyczne, maturę zdał w roku 1897. Zapisał się na wydział prawa Uniwersytetu Lwowskiego, przez dwa lata łącząc studia prawnicze z filozoficznymi, by w końcu wybrać te drugie razem z – jako drugim fakultetem – romanistyką. Uczęszczał zresztą na wykłady i na innych wydziałach, zachodząc podobno i na medycynę.

Okres studencki uformował go jako poetę, udzielał się w kole literackim przy Czytelni Akademickiej, zawarł istotne znajomości, m.in. z Ostapem Ortwinem, należał do grupy młodzieży artystycznej skupionej wokół poetki Maryli Wolskiej, dokonał pierwszych publikacji poetyckich i przekładów, odbył też pierwszą podróż do Włoch, z Janem Kasprowiczem i wydawcą Bernardem Połonieckim. Będzie potem wielokrotnie tam powracał.

Trudno też przecenić rolę samego Lwowa, w owym czasie przeżywającego chyba swój najświetniejszy czas, miasta – jak pisała Irena Maciejewska – „na sposób europejski akademickiego, w którym sprawy nauki, sztuki były – rzecz w polskich warunkach osobliwa – stosunkowo silnie zautonomizowane". I to tu rozwinęła się nowa, młodsza fala polskiego modernizmu, jakże często niezauważanego, bo przecież Młoda Polska to Kraków. Jak miało się okazać – nie tylko.

I tą Młodą Polską nasiąkł Staff, a nie zapominajmy, że o ile dla naszego malarstwa był to okres najznakomitszy w całych dziejach sztuki polskiej, o tyle w żadnym wypadku nie da się tego powiedzieć o literaturze. W końcu z czegoś wziął się ten lekceważący, a nawet nieco pogardliwy ton w określeniu „młodopolszczyzna". I, niestety, niezależnie od wszelkich zaklęć admiratorów twórczości autora „Gałęzi kwitnącej" coś z tego modernistycznego rozwichrzenia i gadulstwa pozostało w wierszach Leopolda Staffa wtedy nawet, gdy ponoć poeta zaczął już oszczędzać słowa.

W swoich i obcych gazetach

„Martwą pogodę", jego tom powojenny (po drugiej wojnie!) otwierał wiersz „Kto jest ten dziwny nieznajomy". Po śmierci poety Tadeusz Różewicz tak właśnie zatytułuje wybór jego utworów, który przygotuje i wyda w PIW w roku 1964. Będzie ten wybór wznawiany, a sam wiersz cytowany wielokrotnie. Z całą pewnością dlatego, że w przeciwieństwie do innych, jest po prostu dobry:

Kto jest ten dziwny nieznajomy,
Co mnie urzeka swoim gusłem?
Rozrzuca mnie jak wiązkę słomy
I znów związuje mnie powrósłem.

Ogniem przepala moje ciało,
Duszę mi toczy, jak czerw sprzęty,
Spać mi nie daje przez noc całą,
A jednak wstaję wypoczęty.

Łagodnym zmierzchem mnie weseli,
Gdy radość mego dnia się kończy.
Jak rozstaj drogi moje dzieli
I jak most brzegi moje łączy.

O Staffie mówiono i pisano, że nie dotknął jego twórczości socrealizm. Niekoniecznie… W tomiku „Dziewięć muz" wydanym dwa lata po (!) sławetnej październikowej odnowie, znalazły się wiersze z poprzedniej epoki stanowczo przedwcześnie uznanej za minioną. I tak w „Bajce o ziarnku maku" zachwyca się poeta wiatrem, który nabrał potężnej siły, „Gdy z ust milionów? Buchnął śpiew / Pokój i Praca!", a w „Horror vacui" gromił Amerykę, która „myśli uranem, myśli wodorem" i daje konterfekt Amerykanina, kończący się tak:

Brzuch napastnika
Zachłanna próżnia,
Co od śmietnika
Gwiazd nie odróżnia
Ma swoje gwiazdy
Na wietrznej fladze,
Lecz zakażone
Złota zarazą.
A ma i pasy,
Które pętają
Podstępnie czasy,
Jakie nastają.
Aż pasy pękną
I gwiazdy żywe
Ukażą piękno
Jutra prawdziwe.
A w owym pięknie
Po wszystkie czasy
Piersi odetchną,
Jak szumią lasy

Z wierszy z „Dziewięciu muz" zwraca uwagę jeszcze jeden, datowana na

eprasa.pl e73e707b89

21 lutego 1955 r. „Ludwika Wawrzyńska". Trzynaście dni wcześniej w Warszawie miała miejsce tragedia, tak opisana przez Staffa:

Ma Polska pięciuset poetów
O wielkich talentu zaletach.
Szukają wierszom bohaterów
W swoich i obcych gazetach.

Aż w Warszawie przy ulicy Włościańskiej
Pożar! Drewniane baraki gorą!
Nauczycielka Ludwika Wawrzyńska
Uratowała z ognia dzieci czworo.

Poparzona, przypłaciła to życiem.
Z honorami pochowano jej ciało.
Różni ludzie płakali wzruszeni,
Pięciuset poetów milczało.

Rozminął się poeta z prawdą. Śmierć bohaterskiej, 47-letniej nauczycielki wstrząsnęła opinią publiczną, stała się Wawrzyńska patronką szkół, a poeci poświęcili jej swoje wiersze. Nie tylko Staff, także inni, w tym Wisława Szymborska, która w „Minucie ciszy po Ludwice Wawrzyńskiej", jednym z najlepszych swoich utworów, napisała, że „minuta ciszy po umarłych czasem do późnej nocy trwa", a „tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono".

Świerszcze na Capri

Artur Sandauer, wyróżniając w twórczości poety cztery okresy: estetyzujący, franciszkański, witalistyczny i „awangardowy", podkreślał „właściwy Staffowi rytm rozwojowy, gdzie każdy okres dopiero po długich poszukiwaniach osiąga swój punkt szczytowy i gdzie zatem każdy tom obok pozycji nowatorskich przynosi i podźwięki dawnych. Rzeczą krytyki jest każdorazowe ustalenie kierunku tego rozwoju. Niestety, trudno rzec, jakoby spełniła ona to zadanie" – utyskiwał autor „Poetów trzech (czterech) pokoleń". Tymczasem, zapewniał, jest Staff „więcej aniżeli nestorem poezji polskiej, bo jej feniksem".

Zafascynowany Leśmianem Sandauer Staffa czytał jednak stanowczo mało dokładnie, powierzchownie. Wprawdzie czas powstawania jego szkicu o autorze „Ścieżek polnych" (1919) wiele tłumaczy, a pisał go w latach 1953–1954, niemniej nie broni się interpretacja wierszy z tego tomu, chociaż najlepsze z nich, jak „Kartoflisko" wywołują oczywiste skojarzenia ze świetnym malarstwem rodzajowym tamtego okresu. Co począć jednak z „Gnojem", który – jak chce poeta – pachnie „jak wszystkie wonności Arabii"? Świadomy jestem, naturalnie, tego, że „lepsze polskie gówno w polu niż fijołki w Neapolu" (Kazimierz Przerwa-Tetmajer) i bliska mi jest opiewana przez Mickiewicza „Sopliców choroba" („że im oprócz ojczyzny nic się nie podoba"), wolałbym jednak, by twórca wiersza wykazywał większą wstrzemięźliwość w wierszowanej opowieści o „czcigodnym gnoju, dobroczynnym łajnie". Podobnie jak trudno przejąć się wcześniejszym wierszem Staffa „Capri", w którym roztkliwia się nad tym, że na tej włoskiej wyspie (będącej dla niego „miniaturą Tatr"), „w trawie świerszcz tak samo gra jak w polskim życie". No, cykady na Cykladach.

Ryszard Matuszewski kreślił portret Staffa wyłącznie jasnymi barwami i rozczulał się, co zresztą w stosunku do znanych sobie osób miał w zwyczaju: „Myślę, że niewielu było w moich czasach poetów tak powszechnie akceptowanych, nie tylko w sensie artystycznym, ale także w sensie osobowości... Z rozrzewnieniem opowiadano sobie historyjki o tym, jak to Staff z Tuwimem wpadają po cichutku na kieliszeczek do baru Pod Kuchcikiem na Nowym Świecie. Budził powszechny podziw tym, że umiał nie tylko patronować swoim poetyckim wnukom, jak Tadzio Różewicz, ale również tym, że – jak mawiano – sam umiał się od nich uczyć.

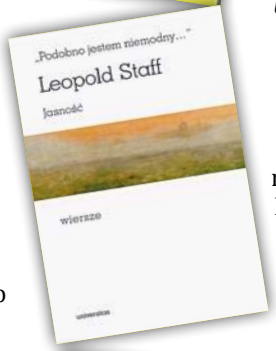

Podkreślano to, kiedy pod koniec życia wydał zupełnie różny od swoich dawnych tom – »Wiklinę« (1954). Któż drugi mógłby – w wiele lat później – opisałem w posłowiu do pośmiertnego wyboru wierszy Staffa – taką klamrą zamknąć księgę swojego poetyckiego żywota, w czyich ustach brzmiałyby równie przejmująco tak przyległe do całej postaci słowa:

Nie wabił mnie spiżowy pomnik,
Rozgłośne trąby, huczne brawa.
Zostanie po mnie pusty pokój
I małomówna, cicha sława.

Tak pisał w wierszu, który zaczynał od słów:

Ostatni z mego pokolenia,
Drogich przyjaciół pogrzebałem.
Widziałem jak się życie zmienia,
I sam jak życie się zmieniałem.

Ejże... Ta poetycka sława nie była wcale taka cicha. Pierwsze zbiorowe wydanie jego utworów ukazało się już na początku lat 30. Miał honorowe doktoraty uniwersytetów w Warszawie i Krakowie. Nagradzały go Lwów i Łódź, krzyżami i orderami dekorowano go i przed wojną i po niej. Jan Marx stwierdził wręcz, że był on „personifikacją sławy".

Ból w okolicy serca

Wielbili go skamandryci. Kazimierzowi Wierzyńskiemu „wydawał się ojcem poetyckim" i nazywał go „bóstwem mojej młodości", Tuwim klękał przed nim i towarzyszył w spacerkach nie tylko do Kuchcika, a wódeczkę twórca „Podwalin" lubił i to bardzo, zaś Jan Lechoń upamiętnił go aktem strzelistym: „Był mistrzem przez szlachetność swej

eprasa.pl e73e707b89

postawy, przez oddanie się poezji, przez wiarę w nią, przez cześć, którą jej całym swym życiem oddawał. I w grozie, w niezawinionym przez nas potwornym upodleniu polskiego życia on jeden daleki od wszystkich paktów z tą podłością, czysty jak dziecko i może niezagrożony jak dziecko – jest mistrzem, jest jedyny symbolem szlachetności i honoru poezji polskiej".

No właśnie: „»Staffizm« – zapisał Lechoń w 1952 r. w »Dzienniku« – to dziś zapomniane słowo, było w codziennym użyciu w dyskusjach literackich w czasach »Pro Arte«. Pszczoły, pogoda, włóczęga, plony, jabłka – był to cały świat, później nieco uprzykrzony, ale który był nowością prawdziwą po nocach, burzach, księżycach, szałach romantycznych i po uprzykrzonej frazeologii młodopolskiej". Tak właśnie było: czytelnicy tamtej epoki chłonęli to, co w wierszach Staffa było nowego w porównaniu z poezją Młodej Polski, dziś na pierwszy plan wybija się to, co było w niej z ducha tamtej epoki, a nie późniejszych lat.

I ostatni raz przywołam autora „Karmazynowego poematu", który – pewnie nieco naiwnie – chciał widzieć w Staffie poetę bez skazy. Utrzymywał, że „gdyby Poldziowi […] kazano napisać wiersz na cześć Stalina, powiedziałby pewno: »Wiesz, Hesiu [chodziło o żonę poety, Halinę – przyp. K.M.], mam jakiś taki dziwny ból w okolicy serca…«. I umarłby. Po prostu, mam nadzieję, że Pan Bóg udzieliłby mu tej łaski, aby mógł swoją poezję zanieść przed św. Franciszka".

Święty z Asyżu przywołany zostaje tutaj celowo, nie tylko dlatego, że był Staff tłumaczem „Kwiatków świętego Franciszka" (1910), które po okresie PRL-owskiej banicji jak najsłuszniej wróciły na listy szkolnych lektur. Inna sprawa, na jak długo…

Zatarty napis na kamieniu

Oczywiście, powojenny podziw dla Starego Poety (Staff zmarł w roku 1957) nie był wcale powszechny. Nawet uchodzący za jego admiratorów po cichu nazywali go „mumią", co przytrafiło się i Iwaszkiewiczowi w ostatnich latach życia także porównywanemu do zabalsamowanych zwłok. We wstępie

> „Wiele z tych wierszy czyta się tak, **jakby miało się przed oczami napis na kamieniu częściowo zatarty**"

do swojego autorskiego wyboru wierszy Staffa Bohdan Zadura przypominał, że ważny swego czasu i opiniotwórczy Julian Przyboś nie miał najlepszego zdania o tej poezji, „dostrzegał w niej rymowany zapis impresyj i nastrojów, symbolizm i pompatyczność. Młode pokolenie na emigracji – pisał we wstępie do antologii wierszy londyńskiej grupy Kontynenty – jest antysentymentalne. Powojenna liryka w kraju, ta żywa i rozwijająca się, ta, która się w historii poezji liczy, nie nawiązuje do Staffa i jego następców". To prawda, ale jeżeli Staff stał się passe, to co dopiero, sporo jednak od niego młodszy (1901–1970) Przyboś?

Leopold Staff wygłasza przemówienie na posiedzeniu Polskiej Akademii Literatury FOT. NAC

W tym samym tekście Bohdan Zadura zestawił wartość dorobku autora „Pierwszej przechadzki" z „okruchami", które pozostały z twórczości Safony. Bo i prawda: „Choć w jego utworach – pisał – zachowały się wszystkie litery, wszystkie słowa, odnoszę wrażenie że jakieś barwy, jakieś treści, jakieś esencje z nich uleciały. Bo nie wszystko w tej poezji wydaje się konieczne, wiele z tych wierszy czyta się tak, jakby miało się przed oczami napis na kamieniu częściowo zatarty".

Rzeczywiście, z lekturą poezji Staffa mamy tę trudność, którą wypunktował Zadura, przy okazji wiersza „Lipy":

Odkąd dla Muz i własnej poważnej igraszki,
W chłodnym cieniu ochronnej lipy czarnoleskiej,
Wyśpiewałeś na lutni swej pieśni i fraszki,
Pogodną sztuką z rymem wiążąc rym królewski:
Od czterech wdzięcznych wieków i dla wiecznej chwały,
Złotej jak miód natchniony w tym pisanym dzbanie,
Wszystkie kwitnące słodko lipy w Polsce całej
Pachną imieniem twoim, Kochanowski Janie!

I mnie, tak jak Bohdana Zadurę, odrzuca samo zakończenie wiersza, to nieszczęsne: „Kochanowski Janie!", i to postawione przed imieniem nazwisko, i cały przyciężki koncept poetycki. Niezależnie od tego, że niebawem trzeba już będzie zamiast o czterech mówić o pięciu stuleciach, które minęły odkąd Poeta z Czarnolasu wprowadził polszczyznę do literatury światowej. I to dzięki niemu w zasobach jej znajduje się miejsce i dla Leopolda Staffa. W przypisach wprawdzie, ale czyż to miejsce niegodne?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e73e707b89

Dokument poświadczający niemiecką przynależność narodową Eugenii Pohl FOT. IPN

Książka miesiąca / Łódzki kacet dla dzieci

Piekło Uli

W swej nowej książce o koszmarze, jakiemu hitlerowcy poddali polskie dzieci w Łodzi, autor rozwija opowieść o Eugenii Pol. Działo się to od grudnia 1942 r. do stycznia roku 1945 w Prewencyjnym Obozie Policji Bezpieczeństwa dla Młodzieży Polskiej na kawałku gruntu wydzielonego z getta przy ul. Przemysłowej. Tam, pod kierunkiem funkcjonariuszy niemieckiej policji, wyjątkową brutalnością wyróżniała się zwłaszcza Eugenia Pol vel Genowefa Pohl.

Ta urodzona w Ozorkowie łodzianka podpisała volkslistę. Słabo znała język niemiecki i Niemcy ją poniżali. Ale nieletnich podopiecznych potrafiła katować i wyzywać od „polskich świń". Oto przestępstwa, za które Niemcy zsyłali nieletnich do obozu: „miał przy sobie zapałki", „rodzice nie przyjęli volkslisty", „córka polskiego profesora", „syn polskiego oficera" albo „żebrze, włóczy się". Rzeczywisty powód był jeden: „dziecko polskie". Jak mówił ocalony Jerzy Jeżewicz: „Nie było gazu i krematorium, bo nie były potrzebne. Zabijano nas głodem, pracą, biciem i mrozem." Na 2–3 tys. dzieci w wieku od 8 do 16 lat wyzwolenia nie doczekało ok. 200.

Wachmanka Pohl nie uciekła i nie ukrywała się po wojnie. Aresztowano ją dopiero w grudniu 1970 r. (wcześniej zapewne współpraca z UB) i po kilkuletnim procesie skazano na 25 lat więzienia. Wyszła w 1989 r., a umarła w 2003 r. Torański przejrzał cały materiał dowodowy i zeznania świadków. Większość ukazywała oskarżoną jako wyjątkową sadystkę. Akt oskarżenia obarczył ją m.in. winą za śmierć sześciorga dzieci, w tym dwóch dziewczynek – Teresy Jakubowskiej i Urszuli Kaczmarek.

Obydwie znalazły się w błędnym, upiornym kole z głodu. Nikt nie przysyłał im paczek, więc kradły jedzenie koleżankom, za to je bito i nie dawano jeść nawet pomyj zwanych zupą. Oszalałe z głodu narażały się jeszcze bardziej i nie zwracając już uwagi na nic sięgały po czyjeś zapasy. Ich właścicielki – też w rozpaczy – skarżyły się wachmankom, stając się współwinowajczyniami (mimo woli, a może niekiedy celowo?) następujących nieuchronnie ciosów w wychudłą buzię, biczowania, kopnięć ciężkimi butami w zwijające się z bólu po ziemi wychudłe, obciągnięte skórą szkielety… Okrutnie skatowane, przemarznięte dziewczynki moczyły się w łóżko. Znowu bite, wyzwane „szczylami", spały zimą na gołych deskach.

Jak podczas procesu stwierdził prokurator, wachmanka Pohl „na przełomie zimy względnie wiosną 1944 roku wspólnie z Sydonią Bayer […] spowodowała śmierć nieletniej więźniarki o nazwisku Jakubowska […]. Po uprzednim wielokrotnym i długotrwałym biciu jej, chorą i wycieńczoną wyciągnęła z Izby Chorych na dziedziniec obozu, bijąc ją pejczem i kopiąc do utraty przytomności, a następnie po polaniu jej wodą pozostawiła bez pomocy na mrozie, zabraniając równocześnie udzielenia jej pomocy przez więźniów obozu, w wyniku czego doprowadziła do śmierci Jakubowskiej, która zmarła na skutek zamarznięcia, jak i doznanych obrażeń".

Jeśli chodzi o Urszulę Kaczmarek, to „pobitej uprzednio przez nią, wycieńczonej i okaleczonej wetknęła kilkakrotnie w ranę w okolicę prawej pachwiny pejcz, jakiego używała do bicia dzieci, jątrząc nim ranę i naruszając narządy wewnętrzne, w wyniku czego […] przyspieszyła jej zgon". Aż trudno sobie wyobrazić, jakim koszmarem stało się umieranie tych bezbronnych istot…

Napisaną z ogromną empatią książkę Torański kończy rozmową z lekarzem psychiatrą Giennadijem Płużnowem. O przyczynach przemiany Eugenii Pol w oprawcę dzieci mówi on: „Zastanawiam się, jak ucierpiała jej psychika, w jakim była stanie, kiedy odkryła w obozie, że znalazła się w szambie… To był stan przewlekłego stresu. Jak go uwolnić? […] przede wszystkim pokazywaniem siły swej władzy nad dziećmi, nad drugim człowiekiem. Aby jej psychika przetrzymała obozowe piekło, musiała stworzyć odskocznię. Było nią znęcanie się nad dziećmi". I na koniec stwierdza: „Na nazistów nie mogła powiedzieć niczego złego, bo natychmiast by oberwała, a nad słabymi polskimi dziećmi mogła się bezkarnie znęcać. Mówić »ty polska świnio« albo pytać dziewczynkę, czy wycałuje jej buty. Decydowała się na formy upodlenia, bo upodlenie innych jest źródłem najwyższej satysfakcji dla człowieka, który ma niskie poczucie wartości". ©℗ ***Maciej Rosalak***

BŁAŻEJ TORAŃSKI
„KAT POLSKICH DZIECI"
PRÓSZYŃSKI I S-KA

eprasa.pl e73e707b89

Naga prawda o Mai

Maja Berezowska, znakomita malarka, graficzka, ilustratorka, karykaturzystka, a jednocześnie żywiołowa, fascynująca kobieta, doczekała się wreszcie biografii. Zasłynęła ze śmiałych rysunków, akwareli przedstawiających sceny miłosne. Budziła zgorszenie, chociaż miłosne pary były przedstawione z elegancją i dobrym smakiem. Małgorzata Czyńska pisze o rysunkach Berezowskiej: „Najprzyjemniejsze były te, na których smukła kobieta otoczona jest obwarzankiem ślicznych młodzieńców". A Maja „do znudzenia powtarza wszystkim zgorszonym golizną na jej rysunkach, że nagość nie zawsze jest sprośna, że jest wspaniała". Pod koniec życia powie: „Już takie nieuniknione, ale miłe przeznaczenie: ubierać i rozbierać ołówkiem". Ilustrowała współczesne scenki obyczajowe, a także staropolskie fraszki, w tym Jana Kochanowskiego. I – jak stwierdza autorka – nie było bardziej predestynowanej artystki do zilustrowania „Dekamerona". Miłość, młodość i uroda to jej ulubione tematy.

Ale artystka zaangażowała się także wraz z Kazimierzem Grusem („najweselszym człowiekiem w Polsce"), za którego wyszła za mąż, w akcję plebiscytową na Górnym Śląsku, rysując dla satyrycznego „Kocyndra" (niedługo po swoim prasowym debiucie, w 1918 r. w „Szczutku"). W latach 30., przebywając w Paryżu, zilustrowała artykuł „Miłostki słodkiego Adolfa" pikantnymi rysunkami przedstawiającymi Hitlera. Podczas procesu o zniesławienie głowy państwa wymierzono jej karę grzywny, zredukowaną do symbolicznego jednego franka.

Podczas drugiej wojny światowej musiała się ukrywać z powodu owych karykatur, jednak w 1942 r. została aresztowana. Z Pawiaka trafiła do KL Ravensbrück, była ofiarą eksperymentów pseudomedycznych. W obozie zaprzyjaźniła się z Jadwigą Kopijowską, której zawdzięczała uratowanie życia. Opuściła obóz wraz z wieloma innymi więźniarkami w wyniku szwedzkiej akcji humanitarnej. Wróciła do Polski, jednak Jerzy Borejsza, komunistyczny ideolog kultury, potępił „Anegdotę, dowcip, karykaturę, naładowane erotyzmem i pornografią". Tym samym, jak pisze autorka, „sznurówki obyczajowego gorsetu zostały mocno ściągnięte".

Na nagrobku Mai Berezowskiej znajduje się wizerunek nagiego Amora, umieszczony wbrew wątpliwościom znajomych artystki przez jej przyjaciółkę Jadwigę Kopijowską. Poniżej Amora wykuto napis: „Radość życia sławiła sztuką swoją". Nie zabrakło oburzonych moralistów, którzy oblali nagrobek farbą. ©℗ ***Tomasz Stańczyk***

MAŁGORZATA CZYŃSKA
„BEREZOWSKA. NAGOŚĆ DLA WSZYSTKICH"
WYDAWNICTWO CZARNE

Zamki w Polsce

Leksykon opisuje zamki w Polsce, także te nieistniejące, razem pół tysiąca. Autorzy przedstawiają ich historię, prace architektoniczne oraz archeologiczne. Ilustrują książkę zdjęciami i grafikami z epoki oraz rysunkami rekonstrukcyjnymi, przedstawiającymi także zamki w formie, jaką miały pierwotnie. A istniejące dziś niektóre zamki kryją w sobie relikty średniowiecznych warowni. Przykładem jest choćby wspaniały zamek Książ, zawdzięczający swój wygląd Hochbergom, powstały jednak za czasów Bolka I Świdnickiego. Autorzy piszą też o rekonstruowanych współcześnie zamku w Bobolicach oraz Zamku Przemysła w Poznaniu. ©℗ ***(t.s.)***

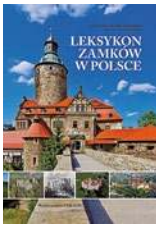

LESZEK KAJZER, STANISŁAW KOŁODZIEJSKI, JAN SALM, MAREK GAWORSKI
„LEKSYKON ZAMKÓW W POLSCE"
ARKADY

MARCIN SZYMAŃSKI
„NA SPRZEDANEJ WOJNIE"
BELLONA

AFGANISTAN BEZ RETUSZU

Wojnę można opisywać na dwa sposoby. Zgodnie z wyretuszowanym, propagandowym schematem lub w sposób prawdziwy. Pierwsze książki są nudne, drugie ciekawe. Dziennik polskiego dowódcy grupy bojowej z Afganistanu należy do tej drugiej kategorii. To opis wojny bez retuszu. Z całą jej brutalnością i mozołem codziennej walki. Ciekawe! ©℗ ***(p.z.)***

SANTIAGO H. AMIGORENA
„GETTO JEST WE MNIE"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

MARTÍN CAPARRÓS
„DZIADKOWIE"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

O ROSENBERGACH Z POLSKI

Jednocześnie ukazały się dwie książki kuzynów – pisarzy argentyńskich piszących o wojennych i powojennych losach rodziny Rosenbergów z Polski. Obie powieści, które są zarazem esejami i reportażami, dotyczą więzów krwi, tożsamości, pamięci i zagłady. Są próbą uchwycenia bólu i bezsilności człowieka wobec losu. Ucieczka w milczenie staje się wyzwaniem wobec barbarzyństwa... ©℗ ***(m.r.)***

RICHARD GRUNBERGER
„HISTORIA SPOŁECZNA TRZECIEJ RZESZY"
ZNAK LITERANOVA

NIEMCY W III RZESZY

Oto panorama życia społeczeństwa niemieckiego za rządów partii Hitlera. Czytamy o działalności aparatu państwowego, administracji, korupcji i donosach. O sytuacji rodziny, kobiet i młodzieży oraz polityce władz III Rzeszy wobec nich. O literaturze, sztuce i kinie, a także o nazistowskim języku, w którym „ślepa wiara" nabrała zdecydowanie pozytywnego znaczenia, świadcząc o „totalnym" zaangażowaniu po stronie reżimu. ©℗ ***(t.s.)***

eprasa.pl e73e707b89

Okrągły stół w Pałacu Prezydenckim FOT. ADRIAN GRYCUK/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0 PL

Agenturalna antologia

Jak uczciwie opowiedzieć historię bohatera z okresu Powstania Warszawskiego i wybitnego naukowca, który uwikłał się we współpracę z SB? Czy da się rozplątać sieć kłamstw, którą utkał wokół swojego życiorysu Lech Wałęsa? Czy warto prześwietlać po latach esbeckie teczki czołowych dyplomatów III RP?

Wszyscy, których interesują te pytania, powinni sięgnąć po „Agenturę". Ta książka to zbiór najważniejszych tekstów prof. Sławomira Cenckiewicza o agentach PRL-owskiej bezpieki, które ukazały się w polskiej prasie w ciągu ostatniej dekady. Wiele z nich to artykuły opublikowane na łamach „Do Rzeczy" oraz naszego miesięcznika. Książka zaczyna się właśnie od tekstu z „Historii Do Rzeczy" – alfabetu agentów, który jest lekko napisanym kompendium wiedzy o najważniejszych i najbardziej znanych współpracownikach komunistycznej bezpieki.

SŁAWOMIR CENCKIEWICZ „AGENTURA"
LTW

Dalej mamy pogłębione sylwetki przedstawicieli całego agenturalnego wachlarza – ludzi, którzy współtworzyli III RP i mając esbeckie plamy na życiorysach siłą rzeczy robili wszystko, by lustracja pozostała fikcją, bohaterów prawicy, którzy do końca zaprzeczali tak niewygodnej dla siebie prawdzie z okresu PRL, a także ludzi Kościoła, którzy zdradzili i donosili bezpiece lub wręcz zostali funkcjonariuszami Służby Bezpieczeństwa. „Agentura" pokazuje, jak mistrzowsko esbecja wykorzystywała ludzkie słabości.

Niemal połowę książki zajmuje omówienie agenturalnej działalności i późniejszych piramidalnych kłamstw legendy Solidarności. Nic dziwnego, skoro to przecież z „Bolka" prof. Cenckiewicz uczynił przedmiot swojej specjalizacji. Wygląda na to, że w Polsce jego ustalenia dotarły już do świadomości większości społeczeństwa. Niestety, za granicą prawda na temat Lecha Wałęsa nie ma szans w starciu z jego legendą, co zresztą pierwszy demokratycznie wybrany prezydent III RP skrzętnie wykorzystuje, podkreślając, że cały świat uważa go za bohatera, i tylko w Polsce męczą go pytaniami o „Bolka". ©℗

Piotr Włoczyk

Spłoszone panny i nieporadni chłopcy

Autor z wielkim znawstwem pisze o erotycznych obyczajach Polaków, od schyłku XIX w. poczynając. Powołuje się na pierwsze badania domorosłych seksuologów i naukowe oraz pseudonaukowe dysertacje, opowiadania, publikacje prasowe, wspomnienia itp. Odkrywają one prawdziwy obraz sytuacji za zasłoną oficjalnej moralności z powoływaniem się na religię, konwenanse i stereotypową hierarchię wartości z zapłodnieniem i dominującymi potrzebami mężczyzny na czele. Słynny instruktaż współżycia płciowego, czyli „Małżeństwo doskonałe", wydany w 1926 r. przez holenderskiego ginekologa Theodora Hendrika van de Velde (polskie tłumaczenie z 1935 r.), też nie jest wolny od stereotypów.

O zakłamaniu świadczył np. wiktoriański wibrator, służący rzekomo zdrowiu sfrustrowanych mężatek (bardzo wśród nich popularny). W Polsce próbowano zastąpić poruszający urządzenie prąd elektryczny… ręcznym kołowrotkiem. Producent oczywiście splajtował. Z europejskiej kusej mody, odsłaniającej po pierwszej wojnie powaby kobiecego ciała, najbardziej niezadowoleni byli – zdaniem satyrycznego „Sowizdrzała" – żydowscy handlarze tracący na rynku odzieżowym. Przebłyski prawdziwego życia łóżkowego widać w dowcipach i aluzjach. Obopólny seks oralny ukrywano np. za liczbą „69". Ofiarami hipokryzji wykluczającej normalną edukację seksualną padali podczas nocy poślubnej cnotliwi młodożeńcy – spłoszone dziewczęta i nieporadni chłopcy. ©℗ ***Maciej Rosalak***

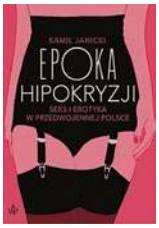

KAMIL JANICKI „EPOKA HIPOKRYZJI. SEKS I EROTYKA W PRZEDWOJENNEJ POLSCE"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

eprasa.pl e73e707b89

Lubelskie. Krwawa wiosna '44

Ciekawy jak zawsze zbiór artykułów dotyczących różnych aspektów historii XX w. zamieszony został w najnowszym numerze periodyku IPN „Pamięć i Sprawiedliwość". Szczególną uwagę zwraca tekst dr. Mariusza Zajączkowskiego dotyczący najbardziej intensywnej fazy konfliktu polsko-ukraińskiego, która miała miejsce wiosną 1944 r. na Lubelszczyźnie. Autor artykułu postanowił spojrzeć na owe zmagania oczami okupacyjnych władz niemieckich, prezentując raporty i meldunki wytworzone przez 372. Oberfeldkommandanturę Wehrmachtu, niemiecką Ordungspolizei, a konkretnie wchodzący w jej skład III Oddział Konny SS i Policji, uczestniczący w wielu akcjach pacyfikacyjnych i operacjach antypartyzanckich na tym terenie, a także przez administrację cywilną. Struktury te obserwowały krwawe walki polsko-ukraińskie, raportując na ich temat do swoich władz zwierzchnich. Niemcy byli zainteresowani wygaszeniem walk pomiędzy Polakami a Ukraińcami, bowiem uniemożliwiały one m.in.normalne funkcjonowanie administracji cywilnej GG na części opanowanych przez siły AK, BCH i UPA terenów Lubelszczyzny.

Już pierwsze ataki oddziałów AK i BCh w ramach tzw. rewolucji hrubieszowskiej zostały zauważone przez niemieckie władze policyjne w chwili ich rozpoczęcia. 10 marca dowódca Orpo w dystrykcie lubelskim stwierdzał: „W nocy [z 9] na 10 III [1944 r.] bandyci zaatakowali ukraińskie wioski Sahryń, Miętkie i Turkowice […], mordowano mieszkańców, a wsie podpalono. Ukraiński posterunek policji w Sahryniu został zaatakowany ogniem z karabinów maszynowych, lecz policjantom udało się przebić. Część obsady 10 III ok. godz. 7.30 dotarła do Hrubieszowa. Według ich relacji ogólna liczebność bandy wynosi ok. 400 ludzi, część jej członków używa koni. Część bandy przeniosła się z powiatu zamojskiego do powiatu hrubieszowskiego".

Skalę zniszczeń nie tylko dotykających Ukraińców, lecz także Polakówpo wkroczeniu na Lubelszczyznę sotni UPA z Wołynia i Galicji Wschodnie, dostrzegała także administracja dystryktu. W notatce szefa Urzędu Gubernatora Dystryktu Lublin dla gubernatora dystry czytamy, że do 23 marca 1944 spalono: „w sumie […] 25 wiosek. Zginęło ok. 2500 Ukraińców i 500–600 Polaków". O niszczeniu polskich wsi raportowało dowództwo 3. szwadronu III Oddziału Konnego SS i Policji 21 kwietnia: „Walka narodowościowa pomiędzy Polakami i Ukraińcami przyjęła bardzo ostre formy. W ostatnich tygodniach dochodziło głównie do palenia polskich majątków. Czyniły to zapewne bandy ukraińskie, gdyż także ludność ukraińska mówi o tym, że majątki te musiały zostać spalone, aby nie mogły służyć jako schronienie dla polskiego ruchu oporu". Ponadto policyjni „kawalerzyści" informowali, iż „75 proc. wsi jest spalonych, a mieszkańcy pozostałych […] w większości uciekli".

MARIUSZ ZAJĄCZKOWSKI
„KONFLIKT POLSKO-UKRAIŃSKI W DYSTRYKCIE LUBELSKIM (MARZEC–CZERWIEC 1944 R.)"
„PAMIĘĆ I SPRAWIEDLIWOŚĆ" NR 38, IPN

Te informacje wskazują na brak niemieckiej kontroli nad obszarami, które stały się areną brutalnej konfrontacji. Opinię tę potwierdza meldunek z 26 kwietnia opracowany przez sztab wspomnianego III Oddziału Konnego SS i Policji: „Bandyci są w pełni panami sytuacji. Doszło do tego, że kilka wielkich band w sile do 400 ludzi zajęło całe miejscowości i zablokowało hermetycznie dostęp do nich. Z wielu miejscowości uciekli wójtowie i sołtysi; administrowane są one teraz przez bandytów". Późniejsze raporty z maja i czerwca odnotowywały znaczący spadek wcześniejszej intensywności zbrojnej aktywności po obu stronach. ©℗ ***Arkadiusz Karbowiak***

HISTORYCZNE BITWY

Aleuty

Otrzymaliśmy wyjątkowo profesjonalny opis zmagań o Aleuty, które od czerwca 1942 r. do sierpnia 1943 r. toczyły USA z Japonią. Dzięki znajomości języka oraz źródeł japońskich Piegzik koryguje błąd, który popełniali do niedawna historycy. Otóż inwazja japońska na dwie wyspy z archipelagu Aleutów nie miała – po sukcesie U.S. Navy na Morzu Koralowym (maj 1942 r.) – zapobiec miesiąc później decydującej bitwie o Midway. Decyzję o zajęciu wysp Attu i Kiska wydano po zaskakującym rajdzie 16 bombowców ppłk. Doolittle'a z lotniskowca „Hornet", które zdołały dotrzeć nad Tokio w kwietniu 1942 r. Japończzykom chodziło więc o zamknięcie „obwodu obronnego" swych wysp na północy Pacyfiku. Odciągnięcie lotniskowców U.S. Navy spod Midway zburzyłoby też plan adm. Yamamoto, który pragnął zatopić je u wrót Hawajów.

Autor szczegółowo przedstawia nieudaną próbę zniszczenia amerykańskich baz wrejonie, desant i zajęcie Attu przez 2 tys. żołnierzy japońskich oraz wyspę Kiska przez 5 tys., a następnie transporty zaopatrzenia i patrolowanie rozległych wód przez nieliczne okręty floty cesarskiej. Los japońskich garnizonów przypieczętowała bitwa morska w rejonie Komandorów (na wschód od Kamczatki), którą Japończycy przegrali (marzec 1943 r.) i nie mogli już zaopatrywać wysp. Opis bitwy – z analizą możliwości artylerii krążowników i niszczycieli obu stron oraz manewrów na oceanie – jest majstersztykiem! U.S. Army zajęła Attu latem po samobójczym kontrataku wroga, natomiast garnizon Kiska podjęły pod osłoną mgły okręty japońskie. ©℗ ***Maciej Rosalak***

MICHAŁ A. PIEGZIK
„ALEUTY 1942–1943"
BELLONA

eprasa.pl e73e707b89

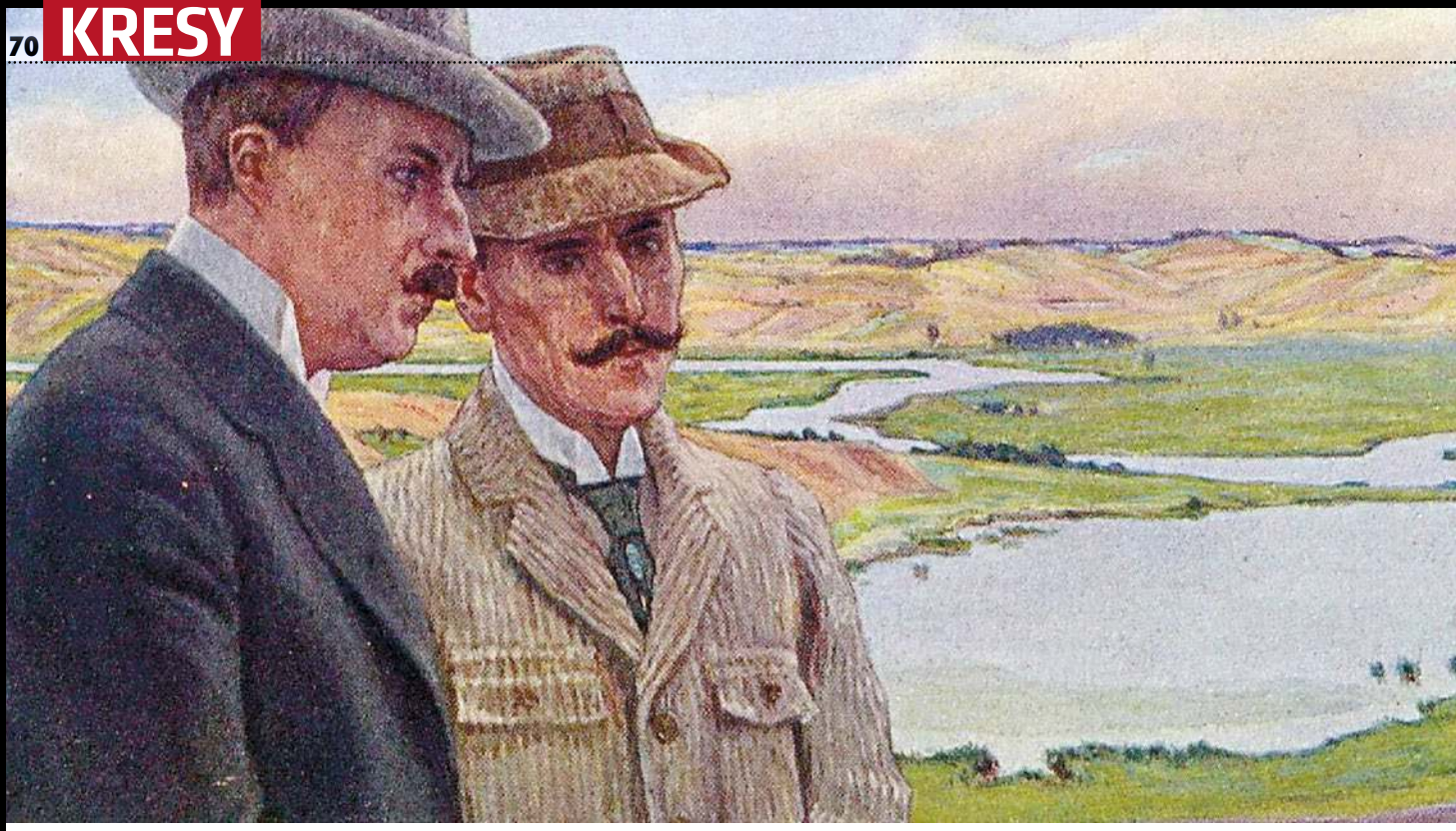

XIX–XX w. / „Ostatni wajdelota polskiego ziemiaństwa"

Podróże Józefa Weyssenhoffa

Tomasz Stańczyk

Potomek świetnego rodu zbankrutował. Na szczęście, gdyż eksziemianin stał się świetnym pisarzem

Józef Weyssenhoff pochodził z inflanckiego szlacheckiego rodu, urodził się jednak na Podlasiu. Miał jednak w swoim życiu dwa inflanckie epizody: studia na uniwersytecie w Dorpacie i podróże po ziemiach przodków w poszukiwaniu źródeł do historii rodziny.

Urodził się w 1860 r. w majątku Kolano, gimnazjum ukończył w Warszawie. Bez przekonania zapisał się na uniwersytet w Dorpacie, by zgodnie z sugestiami rodziny studiować prawo. Dlaczego Dorpat? Było to w istocie niemieckie miasto w Rosji i takim też był słynący ze znakomitej niemieckiej kadry uniwersytet. Józef wpadł od razu w wir studenckiego życia, był członkiem korporacji Polonia. Oddawał się głównie rozrywkom ze swoim przyjacielem Leonardem Siesickim. Jako birbanci dobrali się jak w korcu maku. Pewnego razu do Dorpatu przyjechał zespół teatralny. „Zainteresowani powabnymi (lecz dobrze pilnowanymi) aktorkami studenci – pisała Irena Szypowska – we dwóch przez trzy tygodnie żywili cały zespół, po każdym przedstawieniu zapraszając go w całości na kolację – i nic nie

eprasa.pl e73e707b89

Józef i Henryk Weyssenhoffowie na ilustracji Henryka Weyssenhoffa do „Sobola i panny" FOT. WIELKOPOLSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

zyskali". Weyssenhoff wpędził się jednak w kłopoty, gdy do Dorpatu przyjechała siedemnastoletnia Dunka, piosenkarka Lula i zakochała się w studencie. Nie mógł się od niej odczepić, a w pewnym momencie był już zaręczony.

Po studiach objął majątek w Samoklęskach, na mocy zapisu testamentowego swojej krewnej. Starał się być dobrym gospodarzem, czytał książki o rolnictwie. Jednak od zapachu siana wolał zapach starego papieru, był też bibliofilem.

O sobie Józef Weyssenhoff pisał w rodzinnej kronice szczerze: „Nie zajął się rolnictwem, do którego nie miał teoretycznego przygotowania, lecz rozszerzeniem i upiększeniem siedziby".

Pewnego dnia przeczytał książkę Gustawa Manteuffla „Inflanty Polskie", a w niej o swoim rodzie Weissów-Weyssenhoffów: „W roku 1642 Gothard i Jan Weissowie stanęli znowu na posiedzeniu Ritterbanku w Mitawie i złożyli dyplom Zygmunta III nadający im szlachectwo". A to by znaczyło, że Ritterbank, instytucja prowadząca księgi genealogiczno-historyczne, nie uznała rycerskiego, niemieckiego pochodzenia Weyssów (Weissów).

Józef Weyssenhoff był oburzony, że Manteuffel, pochodzący też z inflanckiego rodu, zarzuca jego rodzinie plebejskie pochodzenie. Te emocje stały się impulsem do gruntownego zbadania dziejów Weissów-Weyssenhoffów, co trwało lat 40 i zaowocowało wydaniem, już po śmierci pisarza, „Kroniki rodziny Weissów-Weyssenhoffów".

Szczury lubią papier

Weyssenhoff pojechał na Inflanty, by odnaleźć archiwalia do dziejów rodu. Na trasie jego podróży znalazł się Lucyn. W zakrystii kościoła znajdowało się archiwum. „Ujrzałem w jednym z rogów szafę bez drzwi, po prostu kilka wielkich trójkątnych półek – relacjonował po latach pisarz. – Gdym dotknął pierwszego z brzegu zwoju, szczur przeskoczył mi przez rękę, ażem się wzdrygnął, a gdym dobył fascykuł, okazało się na końcu ukrytym w cieniu pocięty był przez szczury. W głębi leżał stos grubej papierowej sieczki. Gdy zwróciłem na to uwagę wikarego, przyznał obojętnie, że szczury lubią ciąć papier".

Weyssenhoff postanowił ratować to, czego jeszcze nie dotknęły zęby gryzoni i zaproponował proboszczowi, że zabierze ze sobą te akta, w zamian za ofiarę na kościół. Po krótkiej walce ze sobą ksiądz powiedział: „Suń to pan pod płaszcz i bierz sobie! Tylko żeby nikt… bo wyjdzie jeszcze z tego historia. Dobyłem banknot z pugilaresu – ksiądz nie wziął. Pocałowałem go więc tylko w ramię i uszedłem ze zdobyczą".

Na trasie podróży znalazła się Andzelmużja, ostatni już majątek znajdujący się w Inflantach w ręku Weyssenhoffów. Jego właścicielem był stary, bezdzietny Michał Weyssenhoff.

„Zaprowadził mnie do »apteczki« – wspominał wizytę u krewnego – czyli dużej spiżarni z zapasami napitków, które nazywał »biblioteką pustelnika«. Zapamiętałem tam kilka flaszek z dobrze rżniętymi herbami królewskimi Stanisława Augusta i z napisami u dołu: Michaleis Weyssenhoff Succam. S.R.M. Śliczne te flaszki należały niegdyś oczywiście do mojego pradziada Michała podkomorzego, nie zaś do pradziada obecnego Michała, który pochodził od brata podkomorzego Jana, sędziego ziemskiego inflanckiego. Ale przedawnienie i gościna wyłączyły możliwość rewindykacji tych flaszek dla mnie".

W Rybiniszkach zastał Józef Weyssenhoff opustoszały pałac należący niegdyś do jego pradziada Michała, dobra tamtejsze utracił syn Michała – Tadeusz, gdyż… był utracjuszem.

W pałacu wisiał wciąż obraz będący kopią malowidła przestawiającego bitwę Konstantyna Wielkiego. Dawna rezydencja Weyssenhoffów była wówczas własnością inżyniera Stanisława i Eugenii – córki słynnego Stanisława Kierbedzia, budowniczego mostu w Warszawie – Kierbedziów. Mieszkali jednak w wybudowanej przez siebie willi.

Józef Weyssenhoff był uczciwy w swoich poszukiwaniach genealogicznych, przyznawał bowiem, że niewielu Weissów było szlachtą, ale napisał jednak, że bardzo prawdopodobne, iż jego przodkowie wywodzili się właśnie z tego stanu. Z pewnością chciał się jednak uważać za potomka „odwiecznej szlachty", a nie nobilitowanej dopiero przez Zygmunta III Wazę. Wskazywał, że to, co pisał Manteuffel o dyplomie króla, było „fałszem absolutnym", a także „zmyśleniem i absurdem", dla którego nie ma żadnego potwierdzenia w dokumentach.

O swoich przodkach Weyssenhoff pisał: „Weyssenhoffowie niezbyt byli zawzięci na gromadzenie dostatków ani na zdobywanie zaszczytnych odznaczeń. U żadnego z nich nie zanotowałem nieokiełznanej żądzy wywyższenia zwanej dziś arywizmem". Przyznawał jednak, że ta chwalebna zapewne bierność wyradzała się w „zbytnie zasiedzenie, domatorstwo albo lenistwo".

Weyssowie lub Weissowie stali się Weissami-Weyssenhoffami – a potem już tylko Weyssenhoffami – w XVIII w. Historycy podważają jednak tożsamość Weissów z Weyssenhoffami – tak jak Manteuffel uważają, że to dwa różne rody, a niemiecki herbarz podaje, że Weissowie prawdopodobnie zostali uszlachceni w Polsce, natomiast Weyssenhoffowie przybyli do Inflant w 1780 r. i należeli do polskiego rodu herbu Łabędź.

Swoją drogą herb w „Kronice Weyssenhoffów" ozdobiony jest koroną baronowską, tymczasem Szymon Konarski, wybitny genealog umieszcza Weyssenhoffów wśród pseudohrabiów.

Józef Weyssenhoff bardzo wysoko – i nie bez powodu – oceniał swój ród: „Typ wybitnie obywatelski, kochający swój kraj, nie tylko dla osobistego pożytku, lecz pragnący dobrobytu, triumfu powszechnego ładu i sprawiedliwości".

eprasa.pl e73e707b89

Panorama Jużynt. Ilustracja Henryka Weyssenhoffa

FOT. WIELKOPOLSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

W 1772 r, po pierwszym rozbiorze Inflanty Polskie odpadły od Rzeczypospolitej, mimo to posłów z Inflant nadal wybierano. W 1788 r. został posłem Józef Weyssenhoff, jeden z najaktywniejszych zwolenników reform – wygłosił 100 przemówień – i poparł konstytucję. Jednocześnie z nim na posła wybrano Juliana Ursyna Niemcewicza. Z nim, a także z Tadeuszem Mostowskim, Józef Weyssenhoff założył przed uchwaleniem Konstytucji 3 maja, w gorącym politycznie czasie, „Gazetę Narodową i Obcą".

Soból i panna

Franciszek, dziad Józefa, marszałek szlachty wiłkomierskiej, był właścicielem Rybiniszek. Należał do loży „Gorliwy Litwin". Choć jak pisał Józef Weyssenhoff: „Jednak ta gorliwość masońska nie przeszkadzała gorliwości chrześcijańskiej. Nie wojował Marszałek z religią. Odnawiał i przystrajał swój familijny kościół w Jużyntach". Franciszek Weyssenhoff jako pierwszy z rodziny „stanowczo" przeniósł się z Inflant na Litwę, do Jużynt właśnie. Okolica była piękna, Józef Weyssenhoff, bywający w Jużyntach, opisał ją w powieści „Soból i panna", o podtytule „Cykl myśliwski". Pisarz pisał o sobie: „Głównym urokiem litewskich wakacji była mu włóczęga ze strzelbą po tamtych okolicach".

Tytuł powieści został wzięty ze słów zacytowanej w niej piosenki myśliwskiej: „Pojedziemy na łów..."

A teraz się dzielmy, dzielmy,
Towarzyszu mój!
Tobie zając i sarna,
A mnie soból i panna,
Towarzyszu mój!

W młodości zachęcało Józefa Weyssenhoffa do odwiedzin w Jużyntach sąsiedztwo powiatu wiłkomierskiego. Pochodzące z niego panny miały bowiem opinię nadzwyczaj powabnych.

Ostatnim właścicielem majątku był brat pisarza – Waldemar Weyssenhoff. „Walunio, skądinąd uczciwy, prawy i dobrego serca – charakteryzował go Michał Römer – był jednak opętany manią tytułów i wielkości arystokratycznej, poza tym pasjonat wściekły, skąpy w drobiazgach, dewot, wychuchany i wymuskany jak laleczka".

Włożył wielkie pieniądze w budowę i wyposażenie pałacu, założenie parku, co wpędziło go w długi. Sytuację na jakiś czas uratował ożenek z bogatą hrabianką Ledóchowską.

Generał Jan Weyssenhoff

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

W niepodległej Litwie majątek Waldemara Weyssenhoffa na skutek reformy rolnej skurczył się do 80 hektarów. „O tym, żeby Walunio mógł osiąść i gospodarzyć na tych 80 hektarach, skoro nie umiał sobie dać rady przed wojną na całości, nie mogło być mowy – oceniał Römer. Na gospodarstwo 80-hektarowe Walunio był za wieki pan – jemu potrzebne są do życia na wsi latyfundia, pałace, parki. Ostatecznie Weyssenhoff sprzedał Jużynty i osiadł na wileńskim bruku, pieniądze ze sprzedaży przepuścił, „a sam został z żoną i rodziną na bruku wileńskim goły – w ciężkiej nędzy".

Generał Jan Weyssenhoff

W Samoklęskach natrafił Józef Weyssenhoff na pamiętniki gen. Jana Weyssenhoffa.

„Przed kilku dniami wynalazłem sobie bardzo przyjemne i pouczające towarzystwo – pisał w 1885 r. Weyssenhoff do przyjaciela i bliskiego krewnego Konstantego Górskiego – w osobie brata mojego dziadka. Czytam pamiętniki generała Weyssenhoffa, do których dotąd nie zajrzałem, a które w zapomnianym rękopisie na dnie jednej z szaf bibliotecznych leżały". Nie tylko przeczytał je, lecz także przepisał i wydał.

Jan Weyssenhoff karierę wojskową rozpoczął podczas insurekcji kościuszkowskiej, był adiutantem gen. Jakuba Jasińskiego, a w 1806 r. – gen. Jana Henryka Dąbrowskiego. Brał udział w bitwie o Gdańsk i pod Frydlandem, zasłużył na Virtuti Militari i awans na pułkownika. Podczas kampanii w Rosji w 1812 r. pełnił funkcję szefa sztabu gen. Józefa Zajączka, uhonorowany został wówczas Legią Honorową. Weyssenhoff, który otrzymał awans na generała brygady podczas wojen napoleońskich, służył później w armii Królestwa Polskiego, był dowódcą dywizji ułanów. Gdy wybuchło powstanie listopadowe, nie wierzył – jak zresztą chyba wszyscy generałowe – w jego powodzenie. A jednak przyłączył się do wojny przeciw Rosji, ponieważ solidaryzował się ze zrywem niepodległościowym. Był dowódcą jazdy podczas bitwy o Olszynkę Grochowską. Po upadku powstania trafił na dwa lata na zesłanie, po powrocie osiadł w Samoklęskach.

Karciany hazard

Ten właśnie majątek odziedziczył Józef Weyssenhoff i utracił go. Tak o tym i o sobie pisał: „Nie było to skutkiem klęsk żywiołowych ani przewrotów wojennych, lecz konsekwencją rozrzutności i pewnej zawieruchy w jego życiu, która go ogarnęła między rokiem 1891 a 1905".

Ta zawierucha rozbiła jego małżeństwo z Aleksandrą, córką Jana Gottlieba Blocha, multimilionera, budowniczego

eprasa.pl e73e707b89

dróg żelaznych, i Emilii z Kronenbergów. Uczucie z pewnością było, ale były też diametralne różnice. Ona – stateczna, on „pędziwiatr".

Józef Weyssenhoff przegrał swój majątek w pokera ze stryjecznym bratem cara. Stało się to w rosyjskim Yacht Klubie w 1894 r. Był pewny wygranej, miał cztery króle, ale – cóż – wielki książę miał cztery asy. Weyssenhoff przegrał fortunę – 400 tys. – rubli i musiał pozbyć się majątku w Samoklęskach. Bolało go to chyba mniej niż konieczność sprzedania także zawartości kilkunastu szaf bibliotecznych z książkami i archiwaliami – także tymi przywiezionymi przez niego z Inflant. Dużo jego zbiorów przekazanych do biblioteki ordynacji Krasińskich spalili wraz z nią Niemcy podczas powstania warszawskiego.

Uwolniony od gospodarskich trosk Weyssenhoff mógł się wreszcie bez przeszkód poświęcić książkom i pisaniu. To było jego przeznaczenie, jednak także źródło zarobkowania. „Od dzieciństwa – wyznawał – byłem pełen czci dla powołania pisarza, które wydawało mi się raczej kapłaństwem niż karierą". Sam stał się tęgim pisarzem, jego „Soból i panna" oraz „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego" mają swoje niekwestionowane miejsce w kanonie literatury polskiej. Ta druga powieść miała za życia autora kilka wydań. Weyssenhoff został nazwany „ostatnim wajdelotą polskiego ziemiaństwa", jak głosi tytuł poświęconej mu książki, autorstwa Kazimiery Zdzisławy Szymańskiej. ©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

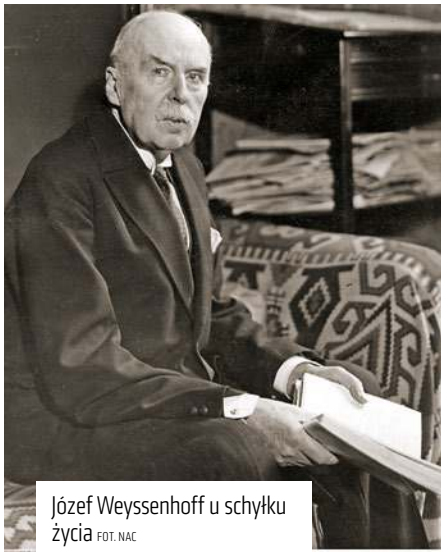

Józef Weyssenhoff u schyłku życia FOT. NAC

Polacy w Kijowie

Tomasz Stańczyk

Przedwczesna była – jak się okazało – wiadomość, że władze Kijowa przekazały wspólnocie rzymskokatolickiej kościół św. Mikołaja. Uroczystość, która miała miejsce w świątyni 1 czerwca, nie oznaczała, że kościół odtąd należy do wiernych. Kościół jest Narodowym Budynkiem Muzyki Organowej i Kameralnej. To spuścizna po czasach sowieckiej Ukrainy, które zamknęły świątynię w 1936 r., a obecne przeznaczenie zyskała w latach 70. ubiegłego wieku. Kościół, jak deklarują władze ukraińskie, będzie oddany rzymskim katolikom (ubiegają się o to od 30 lat), ale wtedy, gdy znajdzie się miejsce dla znajdującej się w nim instytucji kultury. Niemniej w świątyni nadal będą się odbywały nabożeństwa. Znakomite dzieło architektury neogotyckiej, kościół św. Mikołaja, jest dziełem wybitnego architekta Władysława Horodeckiego, podchodzącego z Podola. Budowa trwała od 1899 do 1909 r. Nowa świątynia była potrzebna do zaspokojenia potrzeb wiernych, gdyż nie mieścił ich dotąd istniejący kościół. A w Kijowie mieszkało w tym czasie ok. 25 tys. Polaków, stanowiących 8,5 proc. ludności miasta. Horodecki był jednym z nich. W Kijowie projektował m.in. Narodowe Muzeum Sztuki Ukrainy oraz Dom z Chimerami, obecnie należący do kancelarii prezydenta Ukrainy.

Liczebność ludności polskiej w Kijowie zwiększała się (100 tys. w 1915 r.), a przyczyniły się do tego migracje podczas pierwszej wojny światowej. Z Kijowem związane są młodzieńcze lata Jarosława Iwaszkiewicza, który tu uczył się w gimnazjum. Debiutujący poeta związał się z polskim teatrem Studya Stanisławy Wysockiej, był jego kierownikiem literackim. W teatrze poznał kijowianina Henryka Józewskiego, scenografa, późniejszego ministra w rządzie Ukraińskiej Republiki Ludowej, wojewodę wołyńskiego prowadzącego politykę zbliżenia Polaków i Ukraińców. Józewskiemu nie udało się wciągnąć Iwaszkiewicza do POW, poeta wstąpił natomiast do III Korpusu Polskiego, broniącego polskich majątków – a to nie znaczy tylko ziemian, lecz także ich pracowników – przed bolszewicko-chłopską ukraińską „pożogą".

Komenda Naczelna III POW w Kijowie to lata piewrszej wojny światowej i późniejsze, ale działalność niepodległościowa w tym mieście, inspirowana przez Józefa Piłsudskiego, rozpoczęła się kilka lat przed jej wybuchem, wraz z powstaniem kijowskich oddziałów Związku Walki Czynnej i Związku Strzeleckiego. Kijowska POW, do której wstąpiło wielu studentów i harcerzy, odegrała ważną rolę szczególnie podczas wojny z czerwoną Rosją. Była w istocie placówką wywiadowczą Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego, a jej członkowie dostarczali bezcennych informacji o Armii Czerwonej, infiltrując nawet jej struktury. Informacje te przekazywały kobiety – dzielne kurierki – do Warszawy. Wybitną członkinią POW była Maria Wittek, harcerka, komendantka placu w Kijowie, późniejsza komendantka Przysposobienia Wojennego Kobiet, a podczas drugiej wojny światowej, pod niemiecką okupacją – komendantka Wojskowej Służby Kobiet. Pierwsza kobieta awansowana w Wojsku Polskim na stopień generalski. Członków Kijowskiej POW zawzięcie ścigano i rozpracowywano, a schwytanych z reguły rozstrzeliwano. Piłsudski ogromnie doceniał jej pracę. Żołnierze KN III otrzymali 121 Orderów Virtuti Militari. W większości przyznano je poległym i pomordowanym przez bolszewików w latach 1917–1921. ©℗

eprasa.pl e73e707b89

/ Felieton

Rafał A. Ziemkiewicz

Rzeczpospolita Narodów

Ja wiem, że to jeszcze za więcej niż rok, ale bardzo proszę – nie schrzańmy tego. Myślę o okrągłej, 350. rocznicy bitwy pod Chocimiem. Co prawda, nie tej pierwszej, w której korpus polsko-litewsko-kozacki pod dowództwem hetmana Chodkiewicza wytrzymał wielotygodniowe oblężenie Turków, a która jeszcze lepiej niż druga bitwa chocimska, z 1673 r., pasowałaby do bieżących potrzeb polityki historycznej. Ale ta druga, zwycięski szturm armii polsko-litewskiej z niewątpliwym licznym udziałem Rusinów, też jest świetnym powodem do celebry.

Proszę i namawiam, kogo mogę: po 24 lutego 2022 r. musimy całą naszą wspólną historię opowiedzieć od nowa. Musimy ją – wiem, że to źle zabrzmi, ale tak to muszę nazwać – odpolszczyć. Cofnąć wiek XIX, w którym, zbierając się do kupy po wielkim historycznym zerwaniu ciągłości, niejako wstecznie zawłaszczyliśmy sobie całą Rzeczpospolitą, jakby była Rzecząpospolitą Jednego Narodu, a nie – Obojga Narodów z nazwy, a w istocie wspólnym państwem trzech narodów wielkich i do kilkunastu mniejszych grup etniczno-wyznaniowych. Owszem, malowaliśmy w powstaniu styczniowym godła łączące orła, pogoń i archanioła, podkreślaliśmy tu i ówdzie wkład wschodnich członów sarmackiej federacji we wspólną historię, nasz narodowy wieszcz pisał „Litwo, Ojczyzno moja", a nie „Polsko", a wielbiony przez wielu (przeze mnie nie) Marszałek wielokrotnie podkreślał, że nie jest żadnym Polakiem, tylko Rusinem, a w ogóle Polacy to… wybierzmy najdelikatniejsze z jego powiedzonek: dziura w obwarzanku.

Tak naprawdę jednak nasz obraz Rzeczypospolitej określiło „Ogniem i mieczem", w którym kozacki, czyli wedle pojęć autorowi współczesnych ukraiński, lud walczy z polskimi panami. Co charakterystyczne, i dziś dla nas nieco problematyczne, tę polską XIX-wieczną narrację kupili też Ukraińcy i dziś mit kozaczyzny jest w samym sercu ich tożsamościowej narracji.

> **Po 24 lutego 2022 r. musimy całą naszą wspólną historię opowiedzieć od nowa.** Musimy ją – wiem, że to źle zabrzmi, ale tak to muszę nazwać – odpolszczyć

A przecież Chmielnicki, przywódca buntu, był polskim szlachcicem, a jego pogromca Jeremi Wiśniowiecki z krwi i kości Rusinem, którego ojciec nie mówił jeszcze w ogóle po polsku i chodził do prawosławnej cerkwi. A wielu prostych Kozaków i tej „czerni", którą powiedli przeciwko „panom", to uciekinierzy z Polski oraz polscy chłopi, przez kilka dekad poprzedzających bunt w pocie czoła sprowadzani i osadzani na spustoszonej przez Tatarów Rusi przez miejscowych panów, Rusinów, jakkolwiek szybko się, jak Jeremi, spolszczających.

Można by o tym w nieskończoność. Elity Rzeczypospolitej bez względu na pochodzenie mówiły po polsku – ale czuły się nie tyle Polakami, ile Sarmatami. Zresztą wcześniej, przed unią, etnicznie polskie elity używały łaciny. I co, czy Dantyszek albo Janicki nie byli polskimi poetami? Czemu więc Mickiewicz nie może być uważany za poetę litewskiego? W końcu ta rzekomo kolonizowana przez nas Litwa niemal do samego końca Rzeczypospolitej zachowała osobne wojsko, władze i instytucje.

Ta historia musi zostać opowiedziana na nowo, inaczej, niż ją sobie Polacy opowiadali pod zaborami – bo musimy tamtą wspólnotę, ten „Jagielloński Commonwealth", odbudować. Powiadam, 350. rocznica Chocimia, jak raz jeszcze przypadająca przecież na dzień 11 listopada (!), to wręcz wymarzona okazja do wspólnych, polsko-litewsko-ukraińskich obchodów i fantastyczny symbol, który w tej pracy może bardzo pomóc. Nie przegapmy tego i nie zmarnujmy. ©℗

eprasa.pl e73e707b89

/ Felieton

Piotr Semka

W anarchistycznej rodzince

Przyzwyczaiłem już czytelników moich felietonów, że uwielbiam odnajdywać w starych filmach ślady dawnych historycznych cywilizacji. Światów, które kiedyś tryskały żywotnością i emocjami, a po latach zapomniano już niemal o ich istnieniu.

Oto przypadkowo trafiłem na włoski film „Co za radość żyć" w reżyserii René Clémenta z 1961 r. Jeżeli dziełko to czasami trafia jeszcze do telewizji, to tylko z racji tego, że jest to jeden z pierwszych obrazów z Alainem Delonem, późniejszą megagwiazdą francuskiego kina. Dla polskiego widza z kolei interesująca jest okoliczność, że w roli głównej współbohaterki filmu René Clément obsadził Barbarę Kwiatkowską-Lass.

Gwiazdę polskiego filmu z lat 50., która jako krótkotrwała żona Romana Polańskiego próbowała robić karierę na Zachodzie. Pani Barbara miała przepiękne oczy i niezwykle zmysłowe usta, ale nie z powodu jej wdzięków urzekł mnie ten film. To, co przyciąga uwagę, to utrzymana w tonie nieco surrealistycznej komedii ciepła opowieść o rodzinie włoskiego drukarza Olinto Fossatiego, która płonie duchem włoskiego anarchizmu. Główny bohater, Ulysse Cecconato, grany przez Delona, to biedny jak mysz kościelna osierocony chłopiec. Po skończeniu służby wojskowej w stolicy Włoch szuka jakiejkolwiek pracy. Początkowo wiąże się z faszystami, ale gdy w ramach wyznaczonej mu misji ma sprawdzić, czy to właśnie w drukarni rodziny Fossati nie są drukowane ulotki przeciwko czarnym koszulom, to urzeczony urodą córki właściciela – młodej Franki (Kwiatkowska) – postanawia zatrudnić się jako terminator w warsztacie anarchistycznej rodziny.

> **Akcja filmu dzieje się w roku 1921.** Władzę utrzymują monarchistyczne partie mieszczańskie, ale faszyści szykują się już do zrobienia porządku...

I oto wraz z nim poznajemy zapomniany już świat rodzin włoskich, które żyły kultem anarchistycznych męczenników, zachwycały się zamachami na koronowane głowy i czekały na przybycie emisariuszy z tajemniczej europejskiej centrali ruchu. Weteranem rodu jest dziadek, który wspomina z łezką, jak w roku 1861 spotkał na dworcu w Neapolu Michaiła Bakunina, prekursora rosyjskiego anarchizmu. Ulubionym zajęciem dziadka jest wyśpiewywanie pieśni w rodzaju: „Śmierć bombom i mieczom, niech zginą! Podepczmy je, chcemy wolności! Pragniemy wolności!". Ideały dziadka przejął szacowny ojciec, który trzem swoim synom nadał rewolucyjne imiona. Pierwszy z synów otrzymuje imię Aeroplan jako hołd dla postępu techniki, drugi w ramach hołdu dla anarchistycznej idei zjednoczenia narodów zostaje nazwany Universo, a trzeci otrzymuje imię Sanguesparso – Przelana Krew – dla upamiętnienia poległych bohaterów w walce o wolność.

Akcja dzieje się w roku 1921, kiedy jeszcze władzę utrzymują monarchistyczne partie mieszczańskie, ale faszyści szykują się już do zrobienia porządku. A ponieważ Mussolini głosi, że tylko on jest gwarancją stabilizacji kraju, to na rękę są mu zamachy anarchistów. Najlepiej udowadniają zastraszonym burżujom, że ktoś musi wziąć rewolucjonistów za pysk. Wkupiony w rodzinę Ulysseso postanawia zdobyć serca zaangażowanej w ideę anarchizmu Franki i rozpoczyna wiele bohaterskich wyczynów. W środku dnia wspina się na kościelną wieżę, aby powiesić anarchistyczny sztandar, a potem udaje, że planuje zamach na czterech generałów ententy, którzy mają przybyć do Rzymu. Ku przerażeniu chłopaka logika wydarzeń pcha go ku obowiązkowi spełnienia swoich przechwałek. Los mu sprzyja, bo akurat do Rzymu przybywa dwóch rosyjskich anarchistów, którzy już z rutyną zawodowych wirtuozów bomby i rewolweru wcielają w życie zamachy na cudzoziemskich generałów.

Nie będę zdradzał państwu, jak kończy się to zabawne qui pro quo, bo sami mogą państwo znaleźć ten film na portalu Chomikuj.pl. Cenne w filmie jest to uwiecznienie całej subkultury anarchistycznej rodziny. Jej członkowie na złość Panu Bogu jedzą wołowinę w piątek. Znają na pamięć historię swoich męczenników idei, znają daty wszystkich zamachów anarchistycznych w Europie i na świecie. Podniecają się tym, że ich biuletyn dociera np. do Bukaresztu. A przy okazji, co pokazuje film Clémenta, zderzają się z bardzo podobnymi do siebie zwolennikami Mussoliniego. W filmie poznajemy płomienną faszystkę, szefową brutalnej bojówki, która do złudzenia przypomina stylem bycia dzisiejsze Passionarie polskich feministek.

Słowem, świat, który był, przeminął, mało kto się dzisiaj do niego przyznaje, ale kiedyś buzował emocjami. Było, minęło. ©℗

eprasa.pl e73e707b89

Bizantyjczycy atakują wrogów ogniem greckim. Miniatura z XIV w. FOT. DOMENA PUBLICZNA

674–678 i 717–718 / Arabskie oblężenia Konstantynopola

Islam atakuje pierwszy

Maciej Rosalak

Z imieniem Allaha na stolicę Bizancjum jako pierwsi ruszyli Arabowie. Na lądzie zatrzymały ich mury, a na morzu... ogień

Bizantyjski Konstantynopol oblegano w ciągu dziejów 23 razy. Gigantyczne fortyfikacje, sprzyjająca obronie topografia terenu, doskonale strzeżony port, determinacja obrońców oraz – jak wierzyli oni – protekcja Bogarodzicy czczonej w cudownym wizerunku Hodegetrii sprawiły, że odchodzili stąd już z kwitkiem Germanie i Hunowie. Wkrótce podzielą ich los Arabowie, Słowianie i Bułgarzy, jeszcze później skandynawscy Rusowie i Turcy Seldżucy. Wreszcie Turcy osmańscy będą z uporem atakować ową przesławną redutę i symbol chrześcijaństwa na styku Wschodu z Zachodem. Powiedzie się dopiero w 1453 r. osmańskiemu sułtanowi Mehmedowi II nazwanemu za ów wiekopomny triumf Zdobywcą.

Ale z imieniem Allaha na ustach jako pierwsi na Konstantynopol ruszyli w roku 674, a następnie w 717 Arabowie.

Wcześniej zjednoczył ich plemiona – nową monoteistyczną religią i zbrojnie – Mahomet żyjący między rokiem 570 a 632 w pustynnej Arabii. Ów prorok Allaha głosił równość między nawróconymi, a ponieważ wojnę (dżihad) uznał za skuteczną drogę nawracania, zbudował armię liczną, sprawną i fanatyczną. Przed śmiercią wysłał list do perskiego władcy Chosrowa z takim oto grzecznym

eprasa.pl e73e707b89

wezwaniem: „Z nakazu Allaha, zapraszam cię do Niego. On posłał mnie, abym oświecił wszystkie ludy, abym mógł je wszystkie ostrzec przed Jego gniewem i mógł postawić niewiernym ultimatum. Przyjmij islam, abyś mógł pozostać bezpieczny. A jeśli odmówisz przyjęcia islamu, będziesz odpowiedzialny za grzech Magów". Zaskakująca szybkością przemieszczających się armii konnych, skutecznością wojowników w używaniu szabli, sztyletów, włóczni i łuków oraz rozmachem kolejnych kampanii ekspansja arabska doprowadziła w ciągu kilkudziesięciu lat po śmierci Mahometa do zajęcia całego Bliskiego Wschodu z Persją i częścią Azji Mniejszej, Azji Środkowej po Chorezm, Afganistan i północne Indie, a także Afryki Północnej od Egiptu i Libii po kraje Maghrebu.

Do chrześcijańskiego Bizancjum należały wcześniej liczne z podbitych przez Arabów krain. Tuż po śmierci Mahometa następcy zaczęli – jego wzorem – od grzecznego, acz niepozostawiającego niedomówień listu do cesarza Herakliusza: „Bóg dał tę ziemię w dziedzictwo naszemu ojcu Abrahamowi i jego potomkom. Jesteśmy dziećmi Abrahama. Wystarczająco długo dzierżyłeś nasz kraj. Oddaj go nam w pokoju, a nie najedziemy twojego kraju. Jeżeli tego nie uczynisz, odbierzemy z nawiązką, co od nas wziąłeś".

Chodziło o Ziemię Świętą zarówno Starego, jak i Nowego Testamentu, w których Mahomet znalazł korzenie dla swego islamu. Jezus był w nim zarówno wysłannikiem, jak i prorokiem Jedynego Boga, ale nie Jego Synem (co głosi m.in. inskrypcja w wielkim Meczecie Na Skale, wzniesionym na gruzach świątyni Salomona w Jerozolimie, zajętej w 637 r.). W latach 634–640 Arabowie zdobyli biblijne ziemie Palestyny i Syrii aż po Antiochię. Najstarsze chrześcijańskie państwo świata – Armenia – uległo najeźdźcom w 654 r. W latach 640–645 padł ich łupem Egipt z Trypolitanią, w 649 r. Cypr, w 655 r. Rodos, w 659 r. małoazjatycki obszar południowo-wschodni po Tars, a na przełomie wieków VII i VIII – pozostała, zachodnia część Afryki Północnej.

Stąd w 711 r. dostali się do chrześcijańskich posiadłości w Hiszpanii, dochodząc w 714 r. do Pirenejów. Zagarnięcie Francji uniemożliwił Karol Młot w 732 r. pod Poitiers, a następni władcy frankijscy wyparli ich do aragońskiej rzeki Ebro na Półwyspie Iberyjskim. Dodajmy jeszcze, że do Bizancjum należały też zajęte później wyspy: Sardynia (760 r.), Baleary (798 r.), Kreta (823 r.), Korsyka i Sycylia (lata 831–878). Na południowych wybrzeżach Italii zajmowali zaś w IX w. Tarent i Bari, pod Neapolem założyli obóz łupieżczy Garigliano, w Prowansji zaś twierdzę Fraxinet.

Farys na galerze

Zdobyte przez Arabów kluczowe wyspy oraz punkty na wybrzeżu Morza Śródziemnego świadczą o swobodzie poruszania się ich floty zarówno w drugiej połowie VII w., jak i w VIII i IX stuleciu. Oczywiście żeglarzem z reguły nie zostawał wtedy farys – pustynny wojownik beduiński – ale mieszkaniec wybrzeży Syrii czy Egiptu lub berberyjski pirat, a do wioseł przykuwano często wziętych do niewoli chrześcijan.

Początkowo Arabowie unikali morza. Omar – jeden z pierwszych kalifów (panował w latach 634–644), który objął władzę po śmierci Mahometa – odmówił namiestnikowi zdobytej właśnie Syrii zgody na budowę floty wojennej i zaatakowanie stolicy Bizancjum. Tenże namiestnik Mu'awija (ur. 602, zm. 680, w swoim czasie stał się pierwszym kalifem z dynastii Omajjadów) uzyskał jednak pozwolenie od kolejnego kalifa Usmana (644–656) i zdobył Cypr (w 649 r.). Natomiast pierwsze zwycięstwo nad flotą bizantyjską odniósł namiestnik Egiptu Abdullah ibn Saad w 655 r., broniąc pamiętających jeszcze Fenicjan portów bliskowschodnich.

Dwie setki jego okrętów dały odpór dwuipółkrotnie liczniejszej flocie chrześcijan. Podobno muzułmanie zaproponowali im nawet starcie na lądzie, ale gdy przeciwnicy wybrali walkę na morzu, wyznawcy Allaha zaatakowali z taką brawurą i zawziętością, że kadłuby uderzały o siebie, umożliwiając abordaż i walkę wręcz, a pokłady ociekały krwią. Ponieważ w ścisku okrętów ich maszty sczepiały się ze sobą, starcie to nazwano Bitwą Masztów. Niewielu Bizantyjczyków ją przeżyło. Cesarz Konstans II (641–668) ocalał, bo w przebraniu prostego żołnierza dostał się na pokład nieatakowanego jeszcze okrętu i uciekł na zachód, do sycylijskich Syrakuz.

Sukcesy na wschodnich akwenach Morza Śródziemnego, a zwłaszcza zajęcie starożytnego Kyzikos na wybrzeżu Morza Marmara – niemal naprzeciw stolicy Bizancjum! – zachęciły Arabów do użycia floty również podczas pierwszej próby zdobycia Konstantynopola w latach 70. VII w. Miasto rozbudował i otoczył murami w IV w. Teodozjusz I, a w VI w. Justynian I uczynił najludniejszym i najwspanialszym miastem świata, którego symbolem stała się Hagia Sophia, genialne dzieło architektury wzniesione ku czci Mądrości Bożej. Podwójne mury o długości 18 km otaczały 1,4 tys. ha zabudowanej powierzchni, którą zamieszkiwało zapewne ponad pół miliona ludzi. Mur zewnętrzny miał wysokość 7,5 m, a wewnętrzny – aż 12 m, czyli kilku pięter. Przed murami wykopano szeroką fosę, a wzmocniono je 190 wieżami.

Mury osłaniały od zachodu (czyli od strony europejskiego lądu) podstawę przypominającego trójkąt półwyspu, na którym leżało miasto. Od południa i wschodu strzegły je nie tylko mury,

Konstantynopol na ilustracji z „Kroniki norymberskiej" z XV w. FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl e73e707b89

ale i silne prądy Morza Marmara, a od północy zatoka Złoty Róg. Dostęp do niej i kotwiczącej tu floty zagrodzono potężnym łańcuchem.

Okręty wojenne będące ożaglowanymi galerami, wyposażonymi w taran i metalowy pancerz dla ochrony przed taranem wroga, zwano dromonami. Ich długość sięgała od 30 do 50 m, a szerokość do 7 m. Na pokład zabierała od 100 do 300 wioślarzy, żeglarzy i żołnierzy. Na dziobie i rufie miała dla łuczników i oszczepników wysokie pokłady, a obok głównego masztu drewnianą wieżę. Bizantyjskie okręty miały jeszcze na dziobie dziwne urządzenia, które ku przerażeniu wrogów, mających nieszczęście znaleźć się wystarczająco blisko na kursie wrogich dromonów, okazywały się… miotaczami ognia.

Płonący Bosfor

Pierwsi islamscy najeźdźcy – Arabowie – stanęli przed Konstantynopolem pod wodzą przyszłego kalifa Jazyda. Cztery lata (674–678) utrzymywali przyczółki na południe od wielkiego miasta, a bazę floty stanowiło pobliskie Kyzikos. Jeszcze nie mieli oczywiście dział ani takiej piechoty jak janczarzy osmańscy, a cesarstwo trzymało się na sporej części Azji Mniejszej, w Grecji i na innych obszarach bałkańskich. Ogromne miasto twierdza kwitło. Zawodową, świetnie wyszkoloną armię bizantyjską trudno byłoby rozbić, a flotę zatopić. Zwłaszcza że właśnie wtedy szykowała ona dla floty arabskiej wspomnianą już bardzo przykrą niespodziankę – grecki ogień.

Wynalazek owej „wunderwaffe" żyjący trzy wieki później kronikarz Teofanes przypisał architektowi Kallinikosowi. Według Marka Greka (XIII w.) ogień grecki składał się z siarki, kamienia winnego (wodorowinian potasu), smoły, soku mlecznego i saletry. Ale łatwopalnej substancji, opartej – jak chcą inni – głównie na ropie naftowej i różnych żywicach, do dziś nie udaje się odtworzyć. Podobnie jak konstrukcji zbiorników i miotaczy, a zwłaszcza wytworzenia ciśnienia pozwalającego „strzyknąć" strumieniem ognia na kilkadziesiąt metrów oraz sposobu zapalania cieczy we właściwym momencie.

Ikona Matki Boskiej z Dzieciątkiem w kanonie Hodegetrii, czyli Wskazującej Drogę FOT. WIKIPEDIA

Gdy pod Konstantynopolem w 674 r. obydwie armady ruszyły ku sobie, na pierwszą linię Bizantyńczyków wysforowały się jednostki z dziwnymi urządzeniami, rurami i zbiornikami na dziobach. Gdy okręty były dostatecznie blisko – z rur trysnęła gorejąca ogniem ciecz, która nie gasła nawet w morzu, a na drewnianych burtach i pokładach arabskich galer oraz – co przerażające! – na ludziach nie można jej było ugasić. Płonęli w ogromnych męczarniach, z krzykiem szukali ratunku skacząc do wody, ale ciecz paliła się na nich nadal. Reszta floty arabskiej z przerażeniem uciekła. „Ogień dobywający się z rury może dosięgnąć i dwunastu ludzi, a płomień jest tak gwałtowny i tak potrafi przylgnąć do wszystkiego, że nikt mu nie stawi czoła" – pisał jeszcze po 400 latach arabski historyk Ibn al-Athir. Wojsko arabskie okazało się zaś bezradne wobec wysokich murów z liczną i dobrze wyszkoloną załogą.

Płonąca cieśnina Bosfor, sztormy oraz fiasko lądowych szturmów przekonały w końcu Jazyda, aby zwinął oblężenie w 674 r. W następnym roku powrócił – z takim samym skutkiem. Podobnie w kolejnych latach, aż w końcu kalif Mu'awija zmuszony został do uznania się za pokonanego. Zawarł z cesarzem Konstantynem IV pokój na 30 lat, przyrzekł mu płacenie co roku 3 tys. sztuk złota oraz przysyłanie 50 jeńców i 50 koni. Mury stolicy i grecki ogień okazały się zaporą nie do pokonania dla zwycięskich do tej pory Arabów. Z ulgą odetchnęli chrześcijanie na zachodzie Europy, a słowiańscy i awarscy poganie nabrali respektu i poprosili o pokój, uznając bizantyjską zwierzchność.

Jazda arabska FOT. DOMENA PUBLICZNA

Jak pisał („Dzieje Bizancjum", PWN 1967) serbski historyk Georgij Ostrogorski: „Zwycięstwo Konstantyna IV w roku 678 jest punktem zwrotnym w historii zaciekłych zmagań, jakie chrześcijańska Europa toczyła z islamem, i może być postawione na równi z późniejszym zwycięstwem Leona III w roku 718" (dalej dodaje: i Karola Młota pod Poitiers w roku 732). „Ale z tych trzech zwycięstw, które uratowały Europę przed zalewem muzułmańskim, zwycięstwo odniesione przez Konstantyna jest nie tylko pierwsze chronologicznie, lecz także najbardziej doniosłe w skutkach".

Leon Zawodowiec

Pod koniec VII i na początku VIII w. Bizancjum ogarnęła anarchia. W ciągu trzech dekad w dramatycznych okolicznościach siedmiokrotnie zmieniali się na tronie cesarze: Justynian II (dwukrotnie: 685–695 i 705–711); Leoncjusz (695–698); Tyberiusz II (698–705); Filipikos Bardanes (711–713); Anastazjusz II (713–715); Teodozjusz III (715–717). Przyczyny bądź preteksty przewrotów były różne. Kolejnym władcom zarzucano okrucieństwo, innym chwiejność i lenistwo, a jeszcze inni narażali się uciskiem podatkowym, uzurpacją korony lub zaniechaniem obrony państwa. Wreszcie nadszedł cesarz, którego śmiało można nazwać Leonem Zawodowcem.

Długie panowanie Leon III (717–741) zawdzięczał wojskowym talentom, które otworzyły dlań drogę na tron i pozwoliły odeprzeć Arabów na samym początku panowania. Korzystając z kłopotów wewnątrz państwa Omajjadów, natychmiast po objęciu władzy wzmocnił mury Konstantynopola. Lecz i potem okazał się cesarzem mądrym i skutecznym, mężnym, ale i pragmatycznym. Ów ikonoklasta nie wahał się podobno podczas arabskiego oblężenia zachęcać miesz-

eprasa.pl e73e707b89

kańców do procesji z obrazem Matki Boskiej, która pomogła im także podczas poprzedniego oblężenia arabskiego.

Na początku lata 717 r. 80 tys. Arabów wkroczyło do Tracji i 15 sierpnia stanęło pod Konstantynopolem pod wodzą Maslamy ibn Abd al-Malika, przyrodniego brata kalifa Sulajmana. Otoczyli miasto rowem i szańcem z kamieni, a kiedy 1 września dotarło tu przez Dardanele i Bosfor 1,8 tys. okrętów wojennych i transportowców dowodzonych przez Umara Ibn Hubajrę al-Fazariego, spróbowali zablokować Konstantynopol zarówno od lądu, jak i od morza. Sam cesarz poprowadził do kontrataku flotę bizantyjską, stojąc na pokładzie jednego z dromonów. I tak jak 40 lat wcześniej czołowe okręty chrześcijan plunęły nagle strugami ognia na statki wroga. W płomieniach stanęło 20 z nich, a inne w panice uciekły. Strach przed ogniem greckim spowodował fiasko blokady na morzu, Konstantynopol nadal był zaopatrywany transportami morskimi oraz przez rybaków.

Po miesiącu niespodziewanie nadeszły śniegi i mrozy, a w syryjskim Dabiku – gdzie wedle muzułmanów ma się rozegrać kończąca dzieje bitwa Dobra ze Złem – zmarł kalif Sulajman (24 września 717 r.). Zimno, choroby i głód dziesiątkowały najeźdźców. Wysłane wiosną na pomoc przez nowego kalifa Omara II dwie arabskie flotylle zostały zniszczone po dezercji załóg złożonych z melchitów (syryjska wspólnota chrześcijańska sięgająca czasów apostołów) i potraktowaniu ogniem greckim. Z kolei wojsko, wysłane w sukurs przez Azję Mniejszą, przepadło w bizantyjskiej zasadzce. Oblegająca Konstantynopol armia poniosła też dotkliwe straty z rąk cesarskich sojuszników – Bułgarów, jeszcze nie zeslawizowanych pogan.

Dokładnie po roku od rozpoczęcia oblężenia Arabowie ustąpili spod stolicy Bizancjum. Stało się to 15 sierpnia 718 r. – w święto Zaśnięcia Dziewicy. Za Jej protekcję konstantynopolitańczycy dziękowali swej Wskazującej Drogę Matce Bożej z Dzieciątkiem na ręku. Dwanaście wieków później w święto Wniebowzięcia NMP inni łupieżcy uchodzili spod Warszawy, a przed jasnogórską ikoną Hodegetrii modlili się Polacy…

Resztkom armii arabskiej udało się dotrzeć do domu, natomiast ich flotę zniszczył sztorm.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Cokolwiek dalej…

Maciej Rosalak

Mojej satysfakcji z powodu wprowadzenia do szkół średnich przedmiotu Historia i Teraźniejszość nie zatruły protesty tych osób i organizacji, od których podobnej reakcji należy się spodziewać, gdy jednym z inicjatorów przedsięwzięcia jest obecny minister edukacji Przemysław Czarnek. Wystarczyło przecież, że – zgodnie z obowiązującą Konstytucją RP, nauką i rozsądkiem – uznał za małżeństwo związek kobiety i mężczyzny, a wszelkie jego poczynania są hucznie oprotestowywane przez „opinię publiczną" wyrażaną w specjalnie dobranych sondażach oraz w wypowiedziach „niezależnych autorytetów". Ja tam prof. Czarnka szybko polubiłem również za jego decyzje dotyczące podstawy programowej, lektur szkolnych czy uzależnienia działań zewnętrznych „edukatorów" na terenie szkół od zgody rodziców. Są zwyczajnie słuszne.

A o Historii i Teraźniejszości wprost poprzednio marzyłem, ze zgrozą patrząc, jak i jakiej historii uczą w polskich szkołach, do których szły kolejno w paroletnich odstępach moje trzy wnuczki, przerabiając w podstawówkach, gimnazjach, a wreszcie w liceach ten sam program. Zaczynał się każdorazowo od solidnie wałkowanych mitów egipskich i greckich, potem wraz z mijającymi tysiącleciami i wiekami przyspieszał, a kończył na ogół przed XX w., nauczycielom bowiem z reguły brakowało czasu. Najnowszej historii Polski nie uczono w ogóle!!! Odkrycie związków przyczynowo-skutkowych między obecną agresją Rosji na Ukrainę a imperializmem bolszewickim (do epoki carów i mongolskiej tradycji Moskwy nawet nie sięgając) jest poza „pojęciem o wyobrażeniu" dzisiejszych maturzystów, a – boję się – że również ich nauczycieli. Jeśli chodzi o nowy przedmiot nauczania w liceach i technikach, to zrazu niepokoiło mnie pytanie o autora podręcznika. I oto mało która wiadomość tak mnie podniosła na duchu, jak jego nazwisko. Okazał się nim prof. Wojciech Roszkowski.

Po raz pierwszy spotkałem się z jego dziejopisarstwem, gdy w stanie wojennym czytałem o prawdziwej historii PRL z powielonego i zszytego jak książka maszynopisu, na którego okładce widniało nic niemówiące nazwisko autora: Andrzej Albert. Logiczny, uporządkowany wykład o ciągu politycznych i gospodarczych wydarzeń czasów ekip Bieruta, Gomułki, Gierka oraz ówczesnych początków Jaruzelskiego przypominał nareszcie, jak powinno wyglądać dzieło obiektywnego historyka, bez nieznośnych, propagandowych sloganów mających zastąpić fakty i analizy. Dopiero po jakimś czasie oświecono mnie, że Albert to pseudonim historyka i ekonomisty Wojciecha Roszkowskiego. Od tamtego czasu wydano dziesiątki jego wspaniałych książek, a dwa lata temu prezydent Andrzej Duda – nadając mu Order Orła Białego – mówił, że Wojciech Roszkowski, walcząc o Polskę, walczył „o prawdę dla sobie współczesnych i dla kolejnych pokoleń, takich jak moje pokolenie [...]. To także wielkie zamiłowanie do polskiej historii. I nie takiej właśnie, jaką wolno było badać i uprawiać, ale do historii prawdziwej, do szukania i zaglądania tam, gdzie w latach 70., 80. bardzo niechętnie widziano jakichkolwiek naukowców interesujących się tymi kwestiami [...]. Pan Profesor nie bał się pisać o historii takiej, jaka ona była naprawdę."

Historia i teraźniejszość… Przypomina się Cyprian Kamil Norwid: „Przeszłość jest to dziś, tylko cokolwiek dalej"… ©℗

eprasa.pl e73e707b89

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Amerykańscy marines – początki

Korpus Piechoty Morskiej uchodzi za formację elitarną, a jego geneza sięga wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych 1775–1783

Uwarunkowania geograficzne sprawiły, że w konflikcie z Brytyjczykami działania na akwenach nabrały dużego znaczenia. Armia królewska uzależniona była od dostaw zaopatrzenia z metropolii drogą morską. Amerykanie z kolei starali się to uniemożliwić, atakując m.in. składy i bazy morskie, co w konsekwencji mogło pozbawić wroga zdolności bojowej. Walki toczyły się zarówno na otwartych wodach, gdzie głównym przeciwnikiem Royal Navy była flota francuska, jak i na szlakach rzecznych i jeziorach. Od samego początku pojawiła się kwestia zorganizowania odpowiednich oddziałów zdolnych do przeprowadzania operacji lądowo-morskich i walki abordażowej.

10 listopada 1775 r. Kongres Kontynentalny upoważnił Komitet Marynarki do utworzenia dwóch batalionów piechoty morskiej. Data ta uznawana jest za symboliczny początek dziejów Korpusu, chociaż po wygranej wojnie z Brytyjczykami i rojalistami oddziały marines zostały rozwiązane, a powołano je ponownie w 1798 r. pod nazwą, która funkcjonuje do dzisiaj: Korpus Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych (United States Marine Corps). Bataliony miały wziąć udział w operacji desantowej skierowanej przeciwko Halifaxowi w Nowej Szkocji, ważnej bazie zaopatrzeniowej Brytyjczyków. Po akcji bataliony miały kontynuować działania zarówno na lądzie, jak i na morzu.

Operacja nie doszła ostatecznie do skutku i dlatego utworzono tylko jeden batalion. Miejscem jego formowania była Filadelfia, a pierwszym punktem rekrutacyjnym była słynna w mieście tawerna Tun Tavern. Jedynym dowódcą marines w okresie wojny z Brytyjczykami był kpt.Samuel Nicholas. Umundurowanie stanowiły zielone kurtki z białymi wypustkami i lamowaniami oraz białe kamizelki, spodnie i długie kamasze. Na głowę nakładano czarne filcowe kapelusze dwurożne lub mniejsze kapelusze z rondem i z wywiniętym do góry jednym bokiem. Zielony kolor munduru był charakterystyczny dla formacji strzelców posługujących się bronią gwintowaną, jednak w tym wypadku chodziło zapewne o to, że kolor ten był popularny w Filadelfii, a zwłaszcza wśród członków miejscowego klubu myśliwskiego, któremu przewodził Nicholas; siedzibą klubu była Tun Tavern.

Uzbrojenie stanowiły skałkowe karabiny z tulejowymi bagnetami. Podczas amerykańskiej wojny o niepodległość były to na ogół brytyjskie Brown Bess, używane przez obie strony, oraz karabiny francuskie, dostarczane w znacznej liczbie Armii Kontynentalnej. Wśród tych ostatnich królował karabin wzór 1766, nazywany popularnie w koloniach karabinem Charleville, ponieważ z tej właśnie królewskiej wytwórni pochodziła większość broni dostarczonej armii Waszyngtona. Kaliber lufy wynosił 17,5 mm, łoże przymocowane było do lufy za pomocą trzech bączków (w brytyjskim karabinie stosowano archaiczny system przetyczek), a newralgiczny kurek miał już wzmocnienie w postaci podpórki pod dolną szczękę na skałkę; niebawem rozwiązanie to okazało się standardem. Karabin był składny, dość wygodny i przede wszystkim lżejszy niż jego brytyjski odpowiednik.

Amerykańscy marines wzięli udział w kilku spektakularnych akcjach morsko-lądowych, w tym w dwukrotnej operacji desantowej na Bahamach (zniszczenie magazynów floty brytyjskiej w Nassau), a także w zajęciu wyspy Nautilus. W 1777 r. walczyli w bitwie pod Princeton; było to pierwsze starcie, w którym marines i żołnierze armii lądowej stanęli ramię w ramię. ©℗

eprasa.pl e73e707b89

Strzelec górski z szarotką

Godłem niemieckich strzelców górskich (Gebirgsjäger) była szarotka alpejska (Edelweiss), którą w formie emblematu noszono z lewej strony sukiennej czapki górskiej Bergmütze. Bardzo charakterystycznym elementem wyposażenia strzelców górskich była także wiatrówka z kapturem – Windbluse, wprowadzona w 1938 r. Wykonywano ją z mocnego, nieprzemakalnego brezentu i zakładano przez głowę; rozcięcie było sznurowane i zamykane dodatkowo klapką zapinaną na guziki. Jeśli kaptura nie używano, to rolowano go i chowano wewnątrz. Kurtka ma z przodu trzy kieszenie na wysokości piersi, zapinane na klapy z guzikami oraz dwie kieszenie z tyłu, poniżej pasa. Z tyłu przymocowany był brezentowy pasek, który przekładano pomiędzy nogami i zapinano z przodu bluzy. W talii wszyty był sznur służący jako ściągacz, a na końcach rękawów przyszywano paski i metalowe szlufki umożliwiające ściągnięcie. Wiatrówkę można było nosić dwustronnie; z jednej strony tkanina była biała, z drugiej zaś w kolorze khaki. Zwykle po prawej stronie naszywano godło państwowe.

Zamiast butów z wysoką cholewą, takich jak w piechocie, strzelcy nosili specjalne, bardzo solidne wiązane buty górskie (Bergschuhe) o podwójnych podeszwach nabijanych gwoździami i ćwiekami wbijanymi wzorem diamentowym. Górna krawędź cholewki obszyta była izolującą warstwą filcu. Buty przystosowano do zakładania nart. Na zdjęciu: niemieccy strzelcy górscy na froncie wschodnim w swoich charakterystycznych czapkach polowych z szarotką. ©℗

Spod Maciejowic

W zbiorach Muzeum Wojska Polskiego wśród wielu pamiątek powstań są dwa cenne okazy broni drzewcowej związane z ostatnią bitwą Tadeusza Kościuszki. Odnaleziono je na pobojowisku maciejowickim w latach 70. ubiegłego wieku. To kosa trawna i pika. Ostrze tej pierwszej osadzono w szczelinie prostokątnego w przekroju drzewca i wzmocniono żelaznym pierścieniem z krótkimi wąsami. Drzewce jest ułamane. Druga broń jest dużo bardziej zaawansowana konstrukcyjnie; ma płaski romboidalny grot z poprzeczką, a jego trzpień włożony jest w wycięcie drzewca. Połączenie wzmocniono dwoma żelaznymi pierścieniami i mosiężnym drutem, a dodatkowa mosiężna płytka ma trójkątne wypustki zabezpieczające dolną część grotu. Na końcu drzewca znajduje się długa żelazna tuleja, a wewnątrz tkwi wiertło świdra, co świadczy o tym, że pika była składana i można ją było zmontować tak, aby zapewnić pożądaną długość. Obydwie należały zapewne do kosynierów, którzy pod koniec bitwy maciejowickiej przypuścili desperacki atak na przełamujących polskie szyki Moskali. ©℗

Efenka „Łupaszki”

W zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie znajduje się belgijski 13-strzałowy Browning High Power wz. 35 kal. 9 mm należący niegdyś do Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”, legendarnego dowódcy 5. Wileńskiej Brygady AK i słynnego zagończyka. Broń wydobyta została ze skrytki na Podlasiu w latach 90. ubiegłego wieku. Tę doskonałą konstrukcję opracowano w Fabrique Nationale d’Armes de Guerre z Herstal koło Liege. Ze słynną wytwórnią przez lata współpracował genialny Samuel Browning, ale ojcem tej akurat efenki był inż. Dieudonné Saive. Pistolet dopracowano na początku lat 30., a kilka lat później ruszyła produkcja seryjna.

Broń działała na zasadzie krótkiego odrzutu lufy i była zasilana z magazynka pudełkowego na 13 nabojów. Tak duża pojemność była w owym czasie novum, żadna inna broń epoki nie miała takiego magazynka. Pistolet produkowano w dwóch odmianach: z celownikiem stałym oraz regulowanym. Prawdziwa kariera rozpoczęła się podczas drugiej wojny światowej. Niemcy wznowili produkcję HP w okupowanej Belgii i do 1944 r. fabrykę opuściło ich przeszło 300 tys. Także alianci docenili walory broni, a dzięki seryjnej produkcji w Kanadzie HP trafiły na uzbrojenie armii kanadyjskiej i brytyjskiej. Pistolet „Łupaszki”, o numerze seryjnym 5102, pochodzi z partii wyprodukowanej w Herstal dla armii litewskiej: ma wybite tzw. słupy Giedymina, którymi oznaczano tam regulaminową broń wojskową. ©℗

eprasa.pl e73e707b89

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

ROMAN CZERNIAWSKI W 1931 ROKU UKOŃCZYŁ SZKOŁĘ PODCHORĄŻYCH LOTNICTWA W DĘBLINIE, A PO WYŻSZYM KURSIE PILOTAŻU TRAFIŁ DO 11 ESKADRY MYŚLIWSKIEJ. WE WRZEŚNIU 1939 ROKU, JUŻ JAKO KAPITAN, LATAŁ W ESKADRZE SZTABOWEJ I ZOSTAŁ SKIEROWANY DO LWOWA. PO KAPITULACJI TEGO MIASTA UDAŁ SIĘ DO RUMUNII, A STAMTĄD PRZEDOSTAŁ SIĘ DO FRANCJI.

NA TERENIE FRANCJI ODBYŁ KURS W ÉCOLE SUPÉRIEURE DE GUERRE, KTÓRY PRZYSPOSOBIŁ GO DO PRACY WYWIADOWCZEJ. DZIAŁAŁ NAJPIERW W TULUZIE, A PÓŹNIEJ DOSTAŁ ROZKAZ UTWORZENIA PLACÓWKI WYWIADOWCZEJ W PARYŻU. STWORZYŁ SIEĆ LICZĄCĄ OKOŁO 150 OSÓB, KTÓRA ZAJMOWAŁA SIĘ POZYSKIWANIEM CENNYCH INFORMACJI I PRZEKAZYWANIEM ICH DO ANGLII. JEDNAK NIEMCY WPADLI NA TROP ORGANIZACJI I 16 LISTOPADA 1941 ROKU ARESZTOWANO CZERNIAWSKIEGO ORAZ 64 JEGO WSPÓŁPRACOWNIKÓW.

ABY UWIARYGODNIĆ CZERNIAWSKIEGO, NIEMCY ZAARANŻOWALI W LIPCU 1942 ROKU JEGO RZEKOMĄ UCIECZKĘ Z KONWOJU. W LONDYNIE CZERNIAWSKI SPOTKAŁ SIĘ Z SZEFEM ODDZIAŁU WYWIADOWCZEGO PŁK. GANO I WYZNAŁ, ŻE ZOSTAŁ NIEMIECKIM AGENTEM O PSEUDONIMIE „BRUTUS". OTWIERAŁO TO MOŻLIWOŚĆ PRZEKAZYWANIA WROGOWI FAŁSZYWYCH INFORMACJI.

NAJWAŻNIEJSZYM ZADANIEM CZERNIAWSKIEGO BYŁO PRZEKAZYWANIE NIEMCOM ODPOWIEDNIO SPREPAROWANYCH RAPORTÓW I INFORMACJI, KTÓRE WPROWADZAŁYBY W BŁĄD, CO DO PRAWDZIWEGO TERMINU I MIEJSCA PLANOWANEJ INWAZJI NA PÓŁNOCY FRANCJI. NIEMIECKIE DOWÓDZTWO BYŁO PRZEKONANE, ŻE NASTĄPI TO PÓŹNIEJ, A GŁÓWNA KONCENTRACJA SIŁ ALIANTÓW BĘDZIE W REJONIE CALAIS.

NORMANDIA, 6 CZERWCA 1944 ROKU.

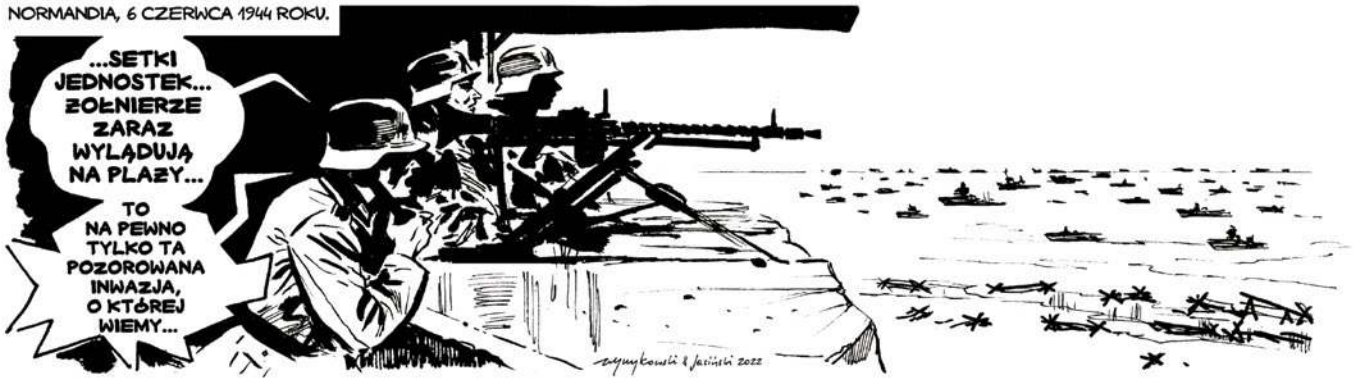

eprasa.pl e73e707b89

Sławomir Cenckiewicz

/ Felieton

80-lecie KNAPP

21 czerwca 1942 r. powstał Komitet Narodowy Amerykanów Polskiego Pochodzenia (KNAPP). Za inicjatorów Komitetu uznać należy m.in. płk. Wacława Jędrzejewicza (1893–1993), płk. Ignacego Matuszewskiego (1891–1946), mjr. Henryka Floyar-Rajchmana (1893–1951) i gen. Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego (1881–1942). Nawiązali oni bliską współpracę ze środowiskiem polonijnych piłsudczyków, którym przewodzili: Maksymilian Węgrzynek (1892–1944) – importer towarów z Polski i prezes spółki wydawniczej dziennika „Nowy Świat"; Franciszek Januszewski (1886–1953) – agent ogłoszeniowy i wydawca „Dziennika Polskiego" w Detroit; Lucjusz A. Kupferwasser (1888–1983) – w czasie pierwszej wojny światowej żołnierz armii amerykańskiej, później inwestował w nieruchomości na terenie Chicago; Stefan Łodzieński (1882–1951) – właściciel sieci piekarni Lakewood Bakery w Detroit i Cleveland, agent nieruchomości.

Celem Komitetu Narodowego była obrona szeroko pojętych interesów polskich, zwłaszcza idei niepodległości i integralności terytorialnej Rzeczypospolitej, oraz lobbing na rzecz dotrzymania gwarancji wynikających z Karty atlantyckiej i układów sojuszniczych z Wielką Brytanią. Działacze KNAPP wychodzili z założenia, że prawa Polski do niepodległego bytu są zagrożone nie tylko bezpośrednio przez okupantów – Niemcy i Związek Sowiecki – lecz także pośrednio, przez nieodpowiedzialną i cyniczną grę aliantów – Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, dla których gwarancją pokonania III Rzeszy jest utrzymanie za wszelką cenę sojuszu z Sowietami. Środowisko KNAPP występowało także zdecydowanie przeciwko polityce rządów polskich na uchodźstwie reprezentowanych przez premierów – Władysława Sikorskiego i Stanisława Mikołajczyka, których oskarżano o uległość wobec Sowietów i naiwność wobec aliantów.

Bardzo szybko okazało się, że działalność KNAPP nie znajduje zrozumienia w kręgach amerykańskiego establishmentu, natomiast największymi jego wrogami są komuniści, którzy w dodatku mienią się reprezentantami całej Polonii amerykańskiej. Liderzy KNAPP od początku mieli świadomość, że za brutalnymi atakami części prasy polonijnej i amerykańskiej na działalność polskich antykomunistów podczas wojny stoi agentura sowiecka. Sprzyjała temu wówczas atmosfera społeczno-polityczna w Stanach Zjednoczonych, będąca owocem żmudnej pracy sowieckiej rezydentury wywiadowczej w Ameryce, która począwszy od lat 30., zdołała opanować znaczną część życia intelektualnego, kulturalnego i naukowego Ameryki, by w przededniu oraz podczas drugiej wojny światowej uzyskać znaczące wpływy w administracji rządowej i współdecydować o kierunkach polityki amerykańskiej.

Rozważając trudności, jakie napotykała działalność KNAPP w okresie wojny, Wacław Jędrzejewicz pisał, że „były to lata, w których społeczeństwo amerykańskie, kierowane krótkowzroczną polityką rządu w Waszyngtonie, całkowicie dowierzało Rosji Sowieckiej i widziało w niej swego wielkiego i szczerego alianta. W ten sposób oświetlała te sprawy prasa amerykańska, nie tylko komunistyczna, jak np. »Daily Worker« lub »New Masses«, lecz także prasa, taka jak dziennik nowojorski »P.M.« i wiele innych". Ta zorganizowana w Moskwie kampania dezinformacyjno-propagandowa okazała się na tyle skuteczna, że Polonia amerykańska „bałamucona stanowiskiem rządu amerykańskiego, prasy angielskiej i polskiej, działalnością takich instytucji jak Liga Kościuszkowska lub Kongres Amerykańsko-Słowiański" nie potrafiła i nie mogła „znaleźć własnej, polskiej drogi działania". „Toteż akcja Komitetu Narodowego – jak pisze Jędrzejewicz – idąca wyraźnie przeciwko powszechnie uznanemu prądowi zaufania do Rosji Sowieckiej, spotykała się w najlepszym razie z obojętnością szerszych mas Polonii, a najczęściej z jej wrogim stanowiskiem. Tym się tłumaczy, że organizacja Komitetu Narodowego była skromna liczbowo w stosunku do wielkiej Polonii amerykańskiej".

Dorobek KNAPP był jednak olbrzymi. Wystarczy wspomnieć, że poza głośnymi akcjami politycznymi, które zaniepokoiły Biały Dom, to właśnie środowisko KNAPP zdołało doprowadzić wiosną 1944 r. do powołania Kongresu Polonii Amerykańskiej (na zjeździe w Buffalo 28–30 maja 1944 r.), który odtąd – jako organizacja federacyjna i sieciowa – miał koordynować działalność całej Polonii, wypracowując jedno stanowisko polityczne. Nie przypadkiem Węgrzynek i Januszewski z KNAPP weszli w skład Zarządu Wykonawczego KPA. ©℗

> Zorganizowana w Moskwie kampania dezinformacyjno-propagandowa okazała się na tyle skuteczna, że **Polonia amerykańska nie potrafiła i nie mogła znaleźć własnej, polskiej drogi działania**

eprasa.pl e73e707b89

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA IWONA KIENZLER: „TAJEMNICZE ZGONY WŁADCÓW"

SIĘGNIJ PO KSIĄŻKĘ IWONY KIENZLER I ODKRYJ MROCZNE STRONY HISTORII!

Od nagłej i niespodziewanej śmierci ginęli carowie, królowie, książęta. Poznaj najbardziej zagadkowe zejścia z tego świata polskich i europejskich monarchów!

Władysław Warneńczyk, Napoleon, car Aleksander, książę Kentu... Śmierć tych i innych władców otacza aura tajemniczości. Żegnali się z życiem wskutek spisku, otrucia, intrygi, z ręki wybranki, a w przypadku niektórych zostały legendy o ich cudownym ocaleniu.

142 zł

oszczędność 41 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl e73e707b89